

novaeres
WISANICTWO JAKO KULTURA

SZPITAL NAD PISĄ

Krzysztof Więckiewicz



Krzysztof Więckiewicz

Szpital nad Pisą



Słowo wstępne

Książkę tę dedykuję Wojtkowi, staremu przyjacielowi i niezrównanemu gawędziarzowi, który swoją przedziwną opowieścią z dawnych, harleyowskich lat, zainspirował mnie do jej napisania.

Wszystkie postacie występujące w książce są fikcyjne, chociaż pewnymi cechami mogą przypominać faktycznie istniejące i znane niektórym z czytelników osoby. Ale, jak wiemy, takie podobieństwa w literaturze się zdarzają i nie da się ich uniknąć.

Większość wydarzeń i dziwnych przypadków, które są udziałem opisanych w książce postaci, również została od początku do końca wymyślona.

I tylko historia nogi straconej w Polsce przez niemieckiego żołnierza w czasie wojny i jego późniejsze próby odnalezienia miejsca nad Pisą, w którym się to stało, jest autentyczna.

Krzysztof Więckiewicz

Rozdział 1

Był lipiec 1942 roku. Spoza ciemnej ściany lasu, widocznego na przeciwległym brzegu szeroko rozlanej rzeki Pisy i oddalonego w tym miejscu o dobre kilkaset metrów, doszedł nieregularny warkot samolotu.

Jeden z jego silników krztusił się i słychać było wyraźnie, jak na przemian zwalniał i przyspieszał obroty, przerywane wybuchami kaszlu, dochodzącego z rur wydechowych.

Siedzący na trawie obok dużych, zamaskowanych siatką kamuflażową namiotów, ubrani w połowe mundury Wehrmachtu młodzi żołnierze, poderwali się gwałtownie i zaczęli wpatrywać w niebo ponad wysoką ścianą lasu, dochodzącego prawie do samej rzeki.

- Chyba dostał w silnik - powiedział jeden z nich.

- Nie kracz, Hans - odezwał się wysoki, lekko utykający mężczyzna w mundurze oficera i narzuconym na ramiona białym, szpitalnym kitlu. - idźcie szykować salę operacyjną i mycie narzędzia. Wiozą znowu rannych, ciekawe ilu...

Żołnierze obrócili się natychmiast i pobiegli w kierunku jednego z dużych, połowych namiotów, rozstawionych na łagodnie schodzącej w kierunku rzeki łące.

- Wyprodukujemy dzisiaj kolejną partię kalek ku chwale naszego Führera i iii Rzeszy - po cichu powiedział do siebie oficer i westchnął ciężko.

* * *

Kapitan Otton Brink nie lubił wojny. był doskonałym chirurgiem i zanim to wszystko się zaczęło, prowadził luksusowe życie w Berlinie, korzystając ze swojej pozycji, znakomitej sytuacji finansowej oraz statusu kawalera, którym się szczycił i który udawało mu się utrzymywać od wielu lat, mimo nacisków swojej rodziny.

Pracował jako naczelny chirurg w jednej z klinik urazowych, zszywając i składając z połamanych kończyn wszystko, co jeszcze nadawało się do złożenia. Specjalizował się w ortopedii i uchodził za jednego z wybitniejszych lekarzy w tej dziedzinie. Niestety, nie był zwierzęciem politycznym i mimo nacisków, jakie na niego wywierano, nie zapisał się do NSDAP, a na dodatek nie krył zbyt dobrze swoich poglądów i braku zainteresowania polityką, co nie przysparzało mu przyjaciół.

Był nieźle ustosunkowany i zanim wybuchła wojna, puszczano mu to płazem, ale gdy tylko się to wszystko zaczęło w 1939 roku, protektorzy nagle gdzieś się ulotnili, a jego zmobilizowano i po ataku Hitlera na Rosję wysłano na front. Miał trochę szczęścia i znajomości i dzięki temu nie posłano go do Rosji. Przydzielono mu stanowisko naczelnego

lekarza w szpitalu polowym Wehrmachtu, mieszczącym się w okolicach Łomży, w okupowanej Polsce.

Samolot wyskoczył nagle sponad krawędzi drzew. był to dwusilnikowy, transportowy Junkers 52, którym regularnie zwożono z frontu wschodniego, gdzieś z okolic Woroneża, rannych oficerów, wymagających intensywnej opieki chirurgicznej. Toczyła się tam w tym czasie operacja wojenna Fall blau, walki musiały być ciężkie, bo rannych z każdym dniem przybywało.

Wypluwając z silnika kłęby czarnego dymu, samolot opadł gwałtownie tuż nad powierzchnię wody i kołysząc się na boki, zaczął zbliżać się do lądowiska znajdującego się na przeciwległym brzegu rzeki, nieopodal szpitala polowego.

- Wszystko gotowe, panie doktorze - zameldowali dwaj młodzi sanitariusze i razem z Ottonem patrzyli z niepokojem na samolot podchodzący do lądowania.

Ale pilot musiał być mistrzem. Tuż przed przyziemieniem wyrównał lot, odpuścił i zwiększył trochę obroty. Junkers zadarł lekko nos, a potem szybko, ale łagodnie, usiadł na trawiastym pasie i zaczął wytracać prędkość.

Samochód straży pożarnej wyjechał na pełnym gazie spoza niedużego wzniesienia, za którym mieściła się baza techniczna, i wyjął, pędził po wyboistej, gruntowej drodze w kierunku końca pasa startowego. Za nim trochę wolniej jechały dwie sanitarki, z wymalowanymi na dachach czerwonymi krzyżami na białym tle.

- No to będziemy dzisiaj mieli roboty do samego rana. Wszystko gotowe?

- Tak jest, panie doktorze - odpowiedzieli sanitariusze.

Pierwszy duży ambulans podjechał pod namioty szpitala polowego po około piętnastu minutach. Wskoczyli z niego szybko dwaj żołnierze, otworzyli tylne drzwi i zaczęli wynosić rannych. Układali ich po kolei na noszach i przenosili do dużego namiotu, tuż obok polowej sali chirurgicznej.

Po chwili przyjechał, kołysząc się niezgrabnie na wybojach, mały wojskowy VW łazik. Młody oficer w mundurze SS wysiadł powoli, rozejrzał się i podszedł bez chwili wahania do oglądającego rannych doktora. Zasalutował, przedstawił się i powiedział:

- Panie doktorze, proszę ze mną na bok, mam coś poufnego do przekazania.

Odeszli kilka kroków w stronę leniwie płynącej rzeki i młody oficer SS, patrząc mu z zimnym uśmiechem w oczy, powiedział:

- Mam dla pana specjalne polecenie od generała dywizji.

- Specjalne polecenie? Nie jesteśmy jednostką specjalną, jeśli pan tego nie zauważył. Jesteśmy szpitalem polowym - odpowiedział doktor, patrząc ironicznie na młodego esesmana.

- Proszę mi nie przerywać, kapitanie, przekażę panu to, co mi polecono, a pan zrobi to, co będzie uważał. Przypominam tylko, że generał Walter von Reichenau ma dobre koneksje w Berlinie... Jeśli nie pasuje panu stanowisko chirurga w szpitalu polowym tutaj, w okupowanej

Polsce, to może panu załatwić przeniesienie na front. Tam też potrzebujemy chirurgów...

Otton Brink był bardzo inteligentnym człowiekiem i natychmiast wyczuł aluzję.

- Dobrze, wszystko jasne, rozumiem, o co chodzi, poruczniku.

- Tutaj są dokumenty pewnego kapitana SS, którego przywieźliśmy dzisiaj transportem. To ktoś z rodziny generała von Reichenau... - Esesman wręczył kapitanowi skórzaną raportówkę. - Proszę zaopiekować się nim w pierwszej kolejności i z nadzwyczajną troską. Zależy nam na tym.

- Nie traćmy zatem czasu - powiedział doktor, biorąc teczkę z papierami. - Który to jest?

- Zaraz panu pokażę, jest nieprzytomny.

* * *

Młody, na oko dwudziestokilkuletni mężczyzna w mundurze SS, leżał nieruchomo na noszach. Jego cała prawa noga, aż do połowy uda, owinięta była grubym opatrunkiem, pod którym widać było jakieś elementy usztywniające. Przez brudny bandaż, w okolicach kolana i poniżej, widoczne były ciemne plamy krwi, nad którymi pobrzękiwały natrętne muchy. Lewa ręka, również obandażowana, była zgięta w łokciu i przymocowana bandażami do torsu.

Mężczyzna nie wyglądał najlepiej. Był zarośnięty, o jasnych blond włosach, z wydatnym nosem i wyrazistej, trawionej gorączką twarzy. Miał zamknięte oczy, którymi poruszał pod powiekami niespokojnie, pewnie majaczył.

- Sanitariusze, do mnie! - krzyknął krótko doktor. Przybiegli natychmiast. - Proszę zanieść pacjenta do sali operacyjnej, zaczniemy od niego!

- Ale jednego już mamy na stole, panie doktorze. Przygotowany do amputacji. Podkolanowa, obie stopy zmiążdżone.

- Przytomny?

- Tak, tylko bardzo go boli.

- Zdjąć ze stołu, niech poczeka. Przygotować miejsce dla tego oficera. Specjalne zadanie. Wykonać! - dodał podniesionym głosem, widząc wahanie na twarzy jednego z nich.

- Tak jest, panie doktorze. - Pobiegli pędem w kierunku namiotu szpitalnego.

Porucznik SS obserwujący zajście z boku uśmiechnął się, podszedł do doktora i

powiedział:

- O to nam właśnie chodzi, panie kapitanie. Proszę o niego dbać, to kapitan SS Rolf von Dornhoff, bardzo zasłużony oficer, generał chce go mieć z powrotem najszybciej jak można.

- Zobaczymy, co się da zrobić, poruczniku. Postaram się mu pomóc.

- Dziękuję, panie kapitanie, Heil Hitler!

Wyprężył się, stuknął obcasami i szybkim krokiem skierował się w stronę łazika.

* * *

Sanitariusze zabrali leżącego na noszach nieprzytomnego kapitana SS i doktor powoli ruszył za nimi w stronę namiotu. Nie lubił tych z SS. W ogóle nie lubił wojska i swojego obecnego życia. Marzył tylko o tym, żeby to się jak najszybciej skończyło i żeby mógł wrócić do kliniki w Berlinie. Ale na to się nie zapowiadało. Był rok 1942, walki na froncie wschodnim, głęboko na rubieżach Rosji trwały i sądząc po liczbie rannych, których do jego szpitala ostatnio przybywało coraz więcej, szykowałą się poważna ofensywa. Dochodziły różne wieści, mówiono nawet o klęsce Hitlera na froncie wschodnim i o tym, że zwycięstwo wymyka mu się z rąk. Ale w to doktor nie wierzył i na pewno z nikim nie chciał się takimi informacjami dzielić. Defetyzm to była poważna sprawa i nikt nie chciał narażać się na taki zarzut, można za to było wyładować bardzo szybko na froncie wschodnim.

* * *

Doktor Otton Brink skończył dokładne mycie rąk, zdezynfekował je spirytusem i podszedł do stołu operacyjnego. Sanitariusze zdejmowali opatrunek z nogi rannego oficera SS, który ciągle nieprzytomny, jęczał w gorączce. Widok nie był ciekawy i chociaż doktor był do tego przyzwyczajony, wywołał w nim lekki dreszcz i odruch odrazy. Usunięte warstwy opatrunku odsłoniły wszystko i sanitariusze popatrzyli na doktora, który kiwnął głową potakująco.

- Początki gangreny, nic się nie da zrobić, trzeba natychmiast amputować.

Cała część nogi, od połowy łydki w dół, przypominała jeden krwawy strzęp. Zmiażdżony i zdeformowany staw skokowy wyglądał jak coś, co w ogóle nie przypominało tego, czym do niedawna jeszcze było, a żałośnie stercząca przez skórę kość piszczelowa dopełniała okropności tego przerażającego widoku.

Nagle nieprzytomny do tej pory Rolf von Dornhoff ocknął się i otworzył trawione gorączką oczy.

- Gdzie ja jestem, co się ze mną stało? - zapytał całkiem przytomnie, zwracając się do doktora.

- Jest pan w moim szpitalu polowym, kapitanie, właśnie pana do mnie przywieziono. Wyjdzie pan z tego, proszę się nie martwić, ale niestety musimy panu amputować tę nogę. Nic tu się nie da zrobić, wszystko zmiążdżone aż do połowy łydki i prawdopodobnie początki gangreny. Musimy się spieszyć. - Doktor patrzył na niego uważnie i czekał na jego reakcję. Nie miał zamiaru niczego ukrywać, to w końcu była wojna, wszyscy ponosili jakieś straty...

- Rozumiem - odpowiedział po krótkiej chwili Rolf von Dornhoff. - Proszę robić, co do pana należy. A co z moją ręką?

- Ma pan złamane przedramię i obojczyk, ale to się da złożyć, nic poważnego - odpowiedział i odwrócił się w kierunku sanitariuszy.

W tym momencie, zupełnie nieoczekiwanie, leżący na stole kapitan SS chwycił go zdrową ręką za ramię i przyciągnął do siebie. Otton Brink spojrzał na niego, wyraźnie zdziwiony jego reakcją.

- O co jeszcze chodzi, kapitanie? - zapytał.

- Doktorze, dziękuję za szczerść, ale mam do pana pytanie, jeśli można.

- Słucham pana?

- Ta moja noga, po amputacji, co z nią zrobicie?

- Obawiam się, że trzeba ją będzie utylizować, tak jak resztę podobnych przypadków - odpowiedział, najgrzeczniej jak potrafił, kapitan Brink. - A ma pan jakieś specjalne życzenie co do swojej własności?

- Tak, panie doktorze, mam. Chciałbym pana prosić, jeśli można, żeby pan włożył tę moją nogę do jakiejś skrzynki amunicyjnej i kazał zakopać w oddzielnym, dobrze oznaczonym miejscu. Czy może pan to dla mnie zrobić? bardzo proszę, to ważne...

Doktor popatrzył na niego z pewnym rozbawieniem. „Dziwny przypadek - pomyślał. - Człowiek jest na krawędzi, nie wiadomo nawet, czy przeżyje, gangrena rozwija się szybko, a on się martwi o resztki czegoś, co jeszcze do niedawna było jego nogą...”

Uśmiechnął się lekko, spojrzał na niego ponownie i wtedy zobaczył w oczach leżącego na stole rannego oficera SS coś takiego, co spowodowało, że nie zastanawiając się, czemu to robi, odpowiedział:

- Dobrze, zrobię to dla pana, kapitanie.

- Dziękuję panu, doktorze. i jeszcze jedno, na szyi mam srebrny ryngraf, pamiątkowy, po moim dziadku. Wie pan, kim był mój dziadek?

Doktor popatrzył na niego pytająco.

- Był ministrem w rządzie Bismarcka... Ale nie o tym chciałem mówić. - Zaśmiał się nagle. - To przez tę gorączkę, przepraszam. Proszę włożyć ten ryngraf do skrzynki i zakopać

gdzieś razem z moją nogą. Proszę tylko zrobić notatkę i dobrze opisać miejsce, w którym pan to zrobi. Mogę na pana liczyć, doktorze?

- Może pan, przyrzekam. Musimy pana teraz uśpić, trzeba się spieszyć. Proszę się nie martwić, wszystko będzie dobrze. Hans, chloroform i zaczynamy.

Sanitariusze oczyścili delikatnie ranę powyżej stawu skokowego, a właściwie tego, co nim kiedyś było, i doktor Brink nachylił się nad nogą Rolfa. „Paskudnie to wygląda” - pomyślał.

Noga była spuchnięta aż do połowy uda, a ponad zdeformowaną, rozerwaną prawie na strzępy stopą, która przypominała krwawy kalafior, widać było ślady postępującej gangreny. Charakterystyczny odór, który doktor tak dobrze znał, drażnił nozdrza, mimo że był już do tego przyzwyczajony.

- Robimy amputację podkolanową, tuż nad złamaniem kości piszczelowej. Mam nadzieję, że to wystarczy i że uda się uratować staw kolanowy. Zaczynamy, panowie.

* * *

Poszło im sprawnie, od dwóch lat było to ich główne zajęcie. Amputacje były normą przy tym rodzaju ran. Tam już nie było czego składać, można było tylko ciąć i zaszywać.

Po założeniu opatrunku wzięli się za rękę kapitana SS, poskładali wszystko, jak należy, zrobili opatrunki i przenieśli Rolfa von Dornhoff do wielkiego namiotu obok, pełnego polowych łóżek, na których leżały dobre dwa tuziny podobnych mu nieszczęśników.

- Wszystko w rękach boga - powiedział doktor Brink, chociaż w boga dawno już przestał wierzyć. Za dużo naoglądał się w ciągu ostatnich lat rzeczy, które jego wiarę w boga i w dobro podobno tkwiące w ludziach bardzo mocno nadszarpnęły.

Reszta dnia, aż do samego wieczora, zeszła im na podobnych zajęciach, głównie amputacjach. Trzech pacjentów było w stanie agonalnym, nie dożyli nawet do operacji, reszta, pozbawiona różnych kończyn, opatrzona i wymyta czekała cierpliwie na swój wyrok. Rany były przeważnie zanieczyszczone, wielodniowe, gangrena siała spustoszenie i nigdy nie było wiadomo, jak to się skończy.

Gdy już uporali się z ostatnim pacjentem, doktor Brink podszedł do jednego z sanitariuszy.

- Hans, zrobiłeś z nogą kapitana to, o co cię prosiłem? - zapytał.

- Tak jest, panie doktorze. Włożyłem ją do pustej, metalowej skrzynki amunicyjnej, której używaliśmy na odpadki. Stoi w pomieszczeniu ambulatoryjnym, tak jak pan kazał.

Wszyscy tak się do niego zwracali, „Herr Doktor”. Nie chciał, żeby go tytułowali kapitanem, czuł się lekarzem, nie wojskowym.

- Dziękuję, Hans, nie mówcie o tym nikomu, to nie jest zgodne z regulaminem. Sam nie wiem dlaczego, ale nie mogłem kapitanowi von Dornhoff tego odmówić, mam nadzieję, że to zrozumiecie. A poza tym nie wiadomo jeszcze, czy w ogóle przeżyje. Odzyskał już przytomność?

- Tak, panie doktorze, wybudziliśmy go po chloroformie, ale bardzo cierpiał, więc dostał morfinę i teraz znowu śpi.

- Dobrze, niech śpi, jak przeżyje następne trzy dni, będzie miał szansę z tego wyjść.

Było już ciemno, gdy Otton Brink mył się dokładnie pod prysznicem. Mimo odczuwanego zmęczenia, nie mógł przestać myśleć o nodze Rolfa von Dornhoff. Zaskoczyła go ta dziwna prośba niezwykłego pacjenta i coraz bardziej się dziwił, czemu właściwie się na nią zgodził.

Przepisy były jasne. Pozostałości pooperacyjne zakopywano w dołach zasypywanych wapnem albo palono w dużym piecu ambulatoryjnym do odpadków. Żadnych prywatnych pochówków amputowanych kończyn przepisy nie przewidywały...

Doktor z zainteresowaniem oglądał stary ryngraf zdjęty z szyi kapitana SS. Srebrny medalion był bardzo oryginalny. „Ciekawa, rzadka robota - pomyślał. - Muszę to włożyć do tej skrzynki i gdzieś to zakopać po zapadnięciu zmroku. Co też mi przyszło do głowy...”.

Noc była widna i ciepła, zbliżał się koniec lipca. Była pełnia, księżyc świecił tak jasno, że można było się poruszać po okolicy jak za dnia. Wszyscy już dawno spali, a terenu pilnowała tylko wartownia umieszczona tuż przy wjeździe na teren szpitala. Z rzadka wzdłuż wysokiego ogrodzenia z drutu kolczastego przechodziły patrole z psami. Miejsce było spokojne, polska partyzantka jeszcze wtedy niezbyt aktywna i wszyscy czuli się raczej bezpiecznie, przynajmniej do końca czterdziestego trzeciego roku.

Doktor Brink po wieczornym obchodzie poszedł do ambulatorium i z zainteresowaniem popatrzył na metalową, solidnie zamykaną skrzynkę amunicyjną, stojącą w rogu pod dużym stołem. Wyciągnął ją, postawił na blacie, otworzył zamek, wziął głęboki wdech, a następnie otworzył lekko pokrywę i szybko wrzucił do środka srebrny ryngraf. Zatrzasnął, zaryglował zamek i odetchnął z ulgą. Zapach nie był przyjemny.

Wziął skrzynkę pod ramię, w drugą rękę złapał wojskową saperkę, wyszedł z ambulatorium i ruszył szybko w kierunku niedużego wzgórza, oddzielającego teren szpitala od pasa startowego. Po kilku minutach marszu stał na szczycie wzniesienia, na skraju grupy drzew, wśród których wyróżniał się imponujący wielkością dąb. Obok przebiegała stara,

gruntowa droga prowadząca z wartowni na lądowisko, wzdłuż której biegło ogrodzenie, a tuż obok niej, pod konarami dębu, stała niewielka, murowana, przydrożna kapliczka.

Otton Brink rozejrzył się wokoło uważnie, panowała zupełna cisza. Tylko z pobliskiej wioski dochodziło szczekanie jakiegoś psa. Patrol chodził regularnie co pół godziny, doktor spojrzął na zegarek - fosforyzujące wskazówki pokazały kilkanaście minut po północy. „Mam dobre piętnaście minut” - pomyślał i położył skrzynkę pod dębem.

Grunt za kapliczką był miękki, pełen zbutwiałych liści i po kilku minutach skrzynka z nogą kapitana von Dornhoff wylądowała w głębokim na pół metra dole. Doktor przysypał wszystko dokładnie ziemią z wykopu, a na wierzchu położył trzy sporej wielkości polne kamienie, których pełno było w tej okolicy. Nagarnął na nie saperką warstwę zbutwiałych dębowych liści, rzucił na to uschlą gałąź i ruszył z powrotem w kierunku wartowni. Nie spotkał nikogo po drodze, uspokoił się, skręcił w kierunku wyraźnie widocznych w księżycowej poświacie namiotów szpitala i po paru minutach siedział w swoim pomieszczeniu.

„Chyba należy mi się po tym wszystkim lampka koniaku - pomyślał doktor Brink i otworzył przechowywaną od dawna butelkę martela. - Lepszej okazji już chyba nie będę miał”.

Delektował się trunkiem przez dobrą chwilę, po czym sięgnął na półkę po swoją raportówkę i wyjął z niej plik map sztabowych okolicy. Przekartkował, wyciągnął jedną stronę, wodząc palcem po mapie, odszukał miejsce na wzgórzu, przez które przechodziła gruntowa droga, i zaznaczył je małym krzyżykiem. Obok napisał: „Kapliczka pod dużym dębem. Noga Rolfa von Dornhoff”.

W poczuciu dobrze wypełnionego obowiązku Otton Brink położył się na swojej polówce i po pięciu minutach spał jak zabity.

Śniły mu się kobiety, a zwłaszcza jego ostatnia kochanka z Berlina, urocza aktorka rewiowa, Anita Billstein, która oprócz wszystkich zalet, jakie kobieta może posiadać, miała też, niestety, jedną wadę - była Żydówką.

Miało ją to wiele kosztować, ale doktor Brink wtedy jeszcze o tym nie wiedział.

Rozdział 2

Na drugi dzień kapitan von Dornhoff wciąż jeszcze żył. Miał wprawdzie wysoką gorączkę, ale był przytomny. Jak przystało na prawdziwego esesmana, dzielnie znosił swoje położenie i z wyraźnym oczekiwaniem na twarzy spojrział pytająco na doktora Brinka, gdy ten pojawił się obok jego łóżka w czasie porannego obchodu. Otton Brink nie kazał mu długo czekać. Zbliżył się do niego, nachylił nad nim i powiedział po cichu:

- Zrobiłem wszystko, o co mnie pan prosił, kapitanie, dokładnie tak jak pan chciał. - Wyjął z kieszeni munduru szarą kopertę. - Jest tu fragment mapy polowej z zaznaczoną pozycją. bardzo charakterystyczne miejsce na terenie naszego szpitala, nie powinien pan mieć trudności z odszukaniem... Co mam z tym zrobić?

- Dziękuję panu serdecznie, doktorze. bardzo mi na tym zależało. Proszę to włożyć do kieszeni mojego munduru, mam tam dokumenty. Co ze mną, jak poszła operacja?

- Cóż, zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy. Mam nadzieję, że gangrena nie posunie się dalej i uratujemy panu staw kolanowy. Musimy czekać, jutro już wszystko będzie wiadomo. bardzo pana boli?

- Jak się obudziłem, nie czułem nic, teraz zaczyna coraz bardziej dokuczać.

- Dostanie pan morfinę, powinno pomóc.

- Jeszcze raz panu za wszystko dziękuję. Gdyby pan miał jakieś kłopoty lub potrzebował pomocy, proszę się na mnie powołać, mam wysoko postawionych przyjaciół, mogę wiele zrobić. Długo tu zostanie?

- Wyślę pana do Berlina pierwszym transportem, samolot powinien być za trzy dni. Mam nadzieję, że pański stan zacznie się poprawiać, ale nie ukrywam, że jeszcze wszystko się zadecyduje. Niestety, ode mnie to już nie zależy.

- Rozumiem, doktorze, jeszcze raz za wszystko dziękuję.

Otton Brink odwrócił się i poszedł do kolejnego pacjenta. Ale cały czas myślał o tym, co zrobił minionej nocy.

„Że też dałem się na to namówić... Co mi do głowy strzeliło? Jakby mnie na tym złapano, to pewnie od razu wylądowałbym gdzieś na froncie wschodnim. Po co ja tak ryzykowałem? - pytał sam siebie. - A z drugiej strony - zastanawiał się - co za dziwny człowiek z niego, nie potrafię zrozumieć. Nie ma jeszcze żadnej pewności, że przeżyje, a martwi się o los amputowanej kończyny? Tak jakby stał jedną nogą nad grobem swojej drugiej nogi i myślał o tym, czy będzie miała ładny pogrzeb...” - Roześmiał się z

makabrycznego i niezamierzonego żartu.

Minęły kolejne dwa dni i kapitan Rolf von Dornhoff wbrew wszystkiemu miał się coraz lepiej. Gorączka spadła, pozostały po amputacji kikut wyraźnie stęchl, a rana się goiła, nie ropiała i nie widać było śladów gangreny. Pacjent bardzo cierpiał, ale znosił to mężnie i nie skarżył się.

- Chyba się panu udało z tego wywinąć, kapitanie. Goi się na panu jak na przysłowiowym psie - zażartował doktor.

- Bardzo w to wierzyłem i wiedziałem, że tak będzie. Ale to głównie pańska zasługa - proszę pamiętać o tym, co panu powiedziałem. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę się na mnie powołać... A może jest coś takiego?

- Nie chciałbym wykorzystywać sytuacji, ale przyznam, że ten szpital polowy dał mi się już solidnie we znaki. Marzę o powrocie do swojej kliniki w Berlinie... Przeniesiono mnie tu, bo nie za bardzo chciałem się angażować przed wojną w politykę, rozumie pan... No i był ktoś, kto się polityką interesował bardziej niż ja, a na dodatek miał ochotę na moje stanowisko...

- Rozumiem. Jak się nazywał ten człowiek? A właściwie - proszę mi nie mówić, tylko napisać na tej mapie na dole, mógłbym zapomnieć...

* * *

Samolot po kolejną partię rekonwalescentów przyleciał zgodnie z planem i kapitan SS Rolf von Dornhoff miał w nim zagwarantowane miejsce. Wyniesiono go na noszach z namiotu szpitala polowego i ustawiono obok dwunastu innych szczęśliwców, którzy mieli wrócić do domu. Wszyscy mieli szansę na przeżycie, ale wojna zrobiła z nich kaleki i już więcej ich nie potrzebowała. Mimo to byli szczęśliwi, że wracają do domu, i dumni ze swojej ofiary dla III Rzeszy.

Kapitan Otton Brink podszedł do Rolfa, podał mu rękę i powiedział:

- Za trzy godziny będzie pan w Berlinie, proszę nie zapomnieć tego pięknego miejsca.
- Wskazał ręką na widoczne w oddali łagodne wzniesienie, na którym wyraźnie dominując nad innymi drzewami, stał dorodny, majestatyczny dąb. - Zwłaszcza tego wysokiego drzewa... - dodał.

Rolf von Dornhoff spojrział we wskazanym przez doktora kierunku, uśmiechnął się i odpowiedział:

- Nigdy go nie zapomnę, zbyt wiele mnie z nim łączy. Żegnam pana, doktorze Brink.

Samolot wystartował o czasie, niemiecka machina wojenna ciągle działała jak dobrze naoliwiony zegarek i kapitan SS Rolf von Dornhoff po trzech godzinach lotu znalazł się w

Berlinie. A po kilku kolejnych, wykąpany, ogolony i ubrany w czystą piżamę leżał wygodnie w jednym z łóżek berlińskiej kliniki, czekając na wstępne badanie.

- Kto panu robił ten zabieg? - zapytał chirurg, patrząc z uznaniem na wyraźnie gojący się kikut nogi kapitana SS. - Powiada pan, doktor Otton Brink? Znałem go, chyba kiedyś tu pracował... Dobra robota, niczego nie będziemy poprawiać, oczyścimy tylko i zmienimy opatrunki. Niedługo zaczniemy szykować panu protezę i za pół roku wróci pan do normalnego życia. Przy okazji, jestem Herman Grinberg, naczelny chirurg tej kliniki, miło mi pana poznać, kapitanie.

Rolf von Dornhoff popatrzył na niego bez słowa.

Rozdział 3

Musiał być rzeczywiście dobrze ustosunkowany i dotrzymywał raz danych obietnic, bo po dwóch tygodniach od tego wydarzenia na lądowisku szpitala polowego położonego nad Pisą, w okolicach Łomży, w okupowanej przez Tysiącletnią Rzeszę Polsce, wylądował niezapowiedziany samolot z Berlina. Wsiadło z niego dwóch oficerów, jeden w czarnym mundurze SS, a drugi w polowym Abwehry. Łazik wojskowy już na nich czekał i po kilku minutach znaleźli się na terenie szpitala. Otton Brink z ciekawością i pewnym niepokojem wyszedł im na spotkanie. Takie niezapowiedziane wizyty zazwyczaj nie wróżyły niczego dobrego.

Strzelili obcasami, powitali go standardowym „Heil Hitler” i ten z SS, w randze porucznika, przedstawił się:

- Porucznik Johan Loewe, witam pana, kapitanie. Mam dla pana pozdrowienia od Rolfa von Dornhoff i dobrą wiadomość - wraca pan do Berlina.

Doktor Brink spojrzał na niego, wyraźnie zaskoczony.

- Jest nam pan tam bardziej potrzebny, mamy sporo trudnych przypadków z powodu tej wojny. Musimy dbać o najlepszych oficerów, to przyszła elita naszej Rzeszy. Zastąpi tu pana kapitan Herman Grinberg. Słyszałem, że się znacie, panowie, tym lepiej... Oto pańskie papiery, zaraz powiadomię o tym dowódcę placówki, pułkownika Schroedera. Proszę się szybko przygotować i przekazać szpital nowemu lekarzowi. Za godzinę wylatujemy do Berlina.

Kapitanowi Brinkowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Spojrzał z satysfakcją na bladą, pokrytą kropelkami potu twarz swojego byłego kolegi, Hermana Grinberga, odwrócił się na pięcie i poszedł się pakować.

* * *

Jeszcze tego samego dnia, późnym popołudniem, pojawił się w berlińskiej klinice obok łóżka kapitana Rolfa von Dornhoff.

- Cieszę się, że pana widzę, doktorze. Mam do pana zaufanie i chciałem, żeby to pan prowadził moją rekonwalescencję.

- Ja też się cieszę, kapitanie, i dziękuję, że pan o mnie pamiętał. Sądzę, że tutaj będę bardziej potrzebny naszej Rzeszy...

- Proszę dać spokój, doktorze... Chyba się na tyle dobrze rozumiemy, że możemy być ze sobą szczerzy. Jestem pewien, że Rzesza mogłaby sobie poradzić i bez nas, ale ja jakoś nie

mogłem sobie poradzić bez pana. Widzi pan, jak wycenili moją nogę? - Wskazał na żelazny krzyż zasługi, leżący na szpitalnej szafce.

Otton Brink popatrzył na odznaczenie i uśmiechnął się nieznacznie.

- No właśnie, też tak myślę - powiedział z nutą sarkazmu w głosie kapitan von Dornhoff. - Muszę powiedzieć, że cholernie się do tej mojej nogi przyzwyczaiłem i mam poważne wątpliwości, czy to odznaczenie może mi jej stratę choć w części zrekompensować... Ale cóż, stało się i teraz muszę zacząć martwić się o siebie. Muszę jeszcze jakoś przeżyć resztę życia i sądziłem, że pan mi w tym pomoże. Podobno przed wojną specjalizował się pan w zaawansowanych protezach?

- Tak, to prawda, robiliśmy tu prawdziwe cacka dla zamożnych klientów.

- O to proszę się nie martwić, moja rodzina nie ma problemów finansowych. Przynajmniej na razie, doktorze Brink...

- To dobrze, bo to nie są tanie rzeczy. Nie chciałbym się chwalić, ale nasza klinika należała do przodujących w świecie placówek w dziedzinie zaawansowanej pro tetyki. Współpracowaliśmy z pewnym specjalistą ze Szwajcarii i obawiam się, że w pewnym momencie będziemy musieli się tam udać. Czy ma pan takie możliwości?

- Mam wszystkie możliwości, panie doktorze. Pochodzę z Bawarii i spora część mojej rodziny od wielu pokoleń mieszka w Szwajcarii. Ma pan tam otwarte konto.

- W takim razie wszystko jasne. Pozwoli pan, że udam się teraz do domu i postaram się jakoś zorganizować swoje życie w Berlinie. A jutro rano zaczynamy. Proszę być dobrej myśli, zrobimy wszystko, żeby stratę pańskiej nogi zrekompensować na tyle, na ile jest to możliwe.

Doktor Otton Brink wysiadł ze służbowego mercedesa i stanął na chodniku, naprzeciwko okazałego, otoczonego wielkimi platanami domu na Kaiserstrasse, gdzie mieściło się jego luksusowe mieszkanie.

Wszystko wyglądało tak samo jak przed dwoma laty, gdy równie szybko, jak teraz powrócił, kazano mu opuścić to miejsce. Wojna znowu stała się jakimś fikcyjnym ciągiem wydarzeń, które go w ogóle nie dotyczyły.

Na chodnikach, po obu stronach szerokiej ulicy, życie toczyło się normalnym, spokojnym trybem. Doktor Brink wyjął z bocznej kieszeni swoją srebrną papierośnicę, wyciągnął papierosa, przypalił go i z wielką przyjemnością się zaciągnął. Resztki wspomnień z ostatnich, niezbyt ciekawych dwóch lat odchodziły od niego z każdą wydychaną porcją aromatycznego dymu i gdy skończył, wydało mu się, że to był tylko zły sen i że właśnie się obudził.

Ruszył w kierunku wejścia, ale zanim zdążył nacisnąć solidną, wypolerowaną mosiężną klamkę, za mrożonymi szybami coś się poruszyło, drzwi się otworzyły i ukazała się w nich uśmiechnięta twarz znajomego portiera, pana Stedtke.

- Witam pana, doktorze, cieszę się, że znowu pana widzę, i to w dobrym zdrowiu.

- Witam pana, panie Stedtke. Jak tam moje mieszkanie?

- Wszystko w jak najlepszym porządku, panie doktorze. Nic się nie zmieniło, oto pańskie klucze, gdyby pan czegoś potrzebował, to jak zwykle proszę do mnie zadzwonić. bardzo się cieszę z pańskiego powrotu.

Otton Brink dotarł szerokimi schodami na pierwsze piętro i powoli otworzył drzwi do swojego apartamentu. Wszedł do środka i rozejrzał się dookoła. „Rzeczywiście, nic się nie zmieniło” - pomyślał.

Zdjął płaszcz, powiesił go na wieszaku i przeszedł do salonu. Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił znajomy numer.

- Teatr Adria, czym mogę służyć? - powiedział sympatyczny kobiecy głos z drugiej strony.

- Tu doktor Otton Brink, czy mogę prosić do telefonu pannę Anitę Billstein?

Po drugiej stronie słuchawki zapanowało kłopotliwe milczenie i tym razem męski głos odpowiedział:

- Witam pana, doktorze. Niestety, panna Billstein już u nas nie pracuje, podobno gdzieś wyjechała.

- Ach, tak. A czy zostawiła jakiś adres?

- Niestety nie, chyba wyjechała z Rzeszy.

Doktor Brink powoli odłożył słuchawkę i usiadł w fotelu. był rozczarowany. Nie upłynęło więcej niż pięć minut, gdy telefon zadzwonił.

- Kapitan Otton Brink, słucham?

- Witam pana, kapitanie. Cieszymy się, że wraca pan do kliniki. Czy w mieszkaniu zastał pan wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję, wszystko dobrze. Kto mówi?

- To dobrze - głos po drugiej stronie zignorował pytanie. - A o pannę Anitę Billstein proszę więcej nie pytać, tak będzie dla pana lepiej... - Rozmówca odłożył słuchawkę.

A zatem jego telefon był na podsłuchu, nawet nie starali się tego ukryć...

Pewnie zrobili to celowo, żeby wszystko było jasne. Otton Brink siedział w fotelu przez dłuższą chwilę i rozluźniające uczucie, że wyrwał się wreszcie z łap wojny, którego doznał, wracając do swojego domu w Berlinie, ulotniło się jak kamfora.

Z ciekawością rozglądał się po domu, nie było go tu ponad dwa lata. Wszystko wyglądało tak, jak to wówczas zostawił, ale nie mógł pozbyć się wrażenia, że ktoś grzebał w jego rzeczach. Duża, zamykana szuflada jego biurka w gabinecie, w której trzymał najważniejsze dokumenty dotyczące pracy i inne prywatne notatki, była otwarta. A mógł przysiąc, że ją zamykał, jak wychodził z domu. Wyjął klucz z sekretnej skrytki i spróbował przekręcić go w zamku, ale nie udało mu się to, zamek był zepsuty, ktoś musiał przy nim grzebać.

Przebrał się, założył cywilne ubranie i wyszedł na miasto. Znajomy portier w jego ulubionej restauracji zachował się tak, jakby zobaczył ducha swojego dziadka, i aż zaniemówił.

- Proszę stolik na dwie osoby, gdzieś przy oknie na ulicę - powiedział Otton Brink, podając mu płaszcz.

- Oczywiście, panie doktorze, proszę usiąść i chwileczkę poczekać, zaraz przygotują.

Stolik stał w samym rogu głównej sali i doktor Brink usadowił się wygodnie na jednym z dwóch krzeseł, naprzeciwko dużego okna. Po chodniku spacerowali ludzie, jak zwykle, a po drugiej stronie ulicy duży czerwonozłoty neon głosił: „ADRiA, teatr muzyczny”.

Przesiedział tam dobre dwie godziny, zjadł wyborną kolację i przeczytał wszystkie gazety, pełne propagandowych haseł głoszących chwałę Führera i III Rzeszy. Gdy skończył, z teatru zaczęli wychodzić ludzie. Doktor chciał uregulować rachunek, ale przyszedł kierownik sali, powitał go wylewnie i poinformował, że z okazji jego powrotu, jako stały klient restauracji, tym razem nie musi płacić. Kolacja jest na koszt firmy.

- Nasza restauracja jest zaszczycona, mogąc pana znowu gościć, panie doktorze. Mamy nadzieję, że pozostanie pan w gronie naszych stałych klientów. Czy wszystko smakowało?

- O tak, jak zwykle wyśmienite. To miłe, dziękuję bardzo. Tak, na pewno będę tu stale bywał, do widzenia.

Wyszedł z lokalu, przeszedł na drugą stronę ulicy i stanął za rogiem, obserwując drzwi wyjściowe z teatru, przeznaczone dla personelu. Zapalił papierosa i udawał, że czyta wiadomości na pobliskim słupie ogłoszeniowym. Po kilku minutach na ulicy ukazała się znajoma kobieca sylwetka i skierowała się do stojącego nieopodal samochodu. Doktor Otton Brink podszedł do niej szybko od tyłu, złapał delikatnie za ramię i powiedział:

- Dobry wieczór, panno Mueller, dawno się nie widzieliśmy, co za spotkanie.

Młoda kobieta odwróciła się gwałtownie, na jej twarzy pojawił się uśmiech radości, po czym zarzuciła doktorowi na szyję ramiona, mówiąc:

- Wspaniale pana znowu widzieć, doktorze! bardzo nam tu pana brakowało. Zapraszam na przejażdżkę, jeśli nie ma pan nic innego do roboty.

- Z miłą chęcią, jeśli ma pani dla mnie trochę czasu.

Wsiadli do samochodu. To był duży, luksusowy horch, z kabiną dla kierowcy oddzieloną grubą szybą od części dla pasażerów.

- Chyba dobrze się pani powodzi, widzę, że robi pani karierę. Cieszy mnie to.

- Chyba nie sądzi pan, doktorze, że to mój samochód... Aż tak dobrze to mi się jeszcze nie powodzi. Mam tylko zamożnego protektora... Ale proszę raczej opowiedzieć o sobie. Skąd się pan tu wziął? Podobno był pan na froncie wschodnim?

- Niezupełnie, byłem w okolicach Łomży, na terenie okupowanej Polski, jako lekarz w szpitalu polowym. Całkiem niespodziewanie przeniesiono mnie z powrotem do Berlina i od jutra będę znowu odpowiedzialny za moją klinikę.

- To wspaniała wiadomość, mam nadzieję, że będziemy się częściej widywać. Do dzisiaj jestem panu wdzięczna za uratowanie mojego stawu skokowego, gdyby nie pan, utykałabym do końca życia.

- No cóż, zrobiłem tylko to, co do mnie należało - odpowiedział skromnie doktor.

- Może i tak, ale zrobił to pan jak prawdziwy artysta i uratował pan moją karierę, zawsze będę to panu pamiętać. Jeśli jest coś, co mogłabym dla pana zrobić, to proszę się nie krępować... - Popatrzyła na niego, uśmiechając się zachęcająco.

Doktor Otton Brink nie krępował się, bynajmniej. był przystojnym, atrakcyjnym mężczyzną, świadomym swojej pozycji, ale zastanawiał się, jak na tę niewątpliwie kuszącą propozycję zareagować. Nie chciał spłoszyć panny Mueller, była bardzo łakomym kąskiem, a on od dawna nie miał kobiety, ale obawiał się, że to, czego od niej oczekiwał, nie było tym, czego ona się spodziewała...

I dlatego, mimo że bardzo chciał, nie zapytał jej o Anitę billstein. Postanowił poczekać, aż ona sama mu o niej powie. były, jak pamiętał, dobrymi koleżankami z teatru i niejedną wieczór spędziły w swoim towarzystwie. Liczył na to, że się domyśli i sama poruszy ten temat.

I nie mylił się, bo w pewnym momencie panna Greta Mueller zdecydowała się przerwać moment przedłużającej się dwuznacznie ciszy.

- Nie zapyta pan o Anitę? - powiedziała, patrząc mu uważnie w oczy.

- A powinienem? - odpowiedział wymijająco. Po anonimowym telefonie miał dziwne przeczucie, że coś w tej sprawie brzydko pachnie.

- Myślałam, że byliście dosyć blisko ze sobą, czyżbym się myliła?

- To prawda, ale to było dwa lata temu. Ale skoro już pani zaczęła, panno Greto, to co się z nią stało? Próbowałem się z nią skontaktować, ale powiedziano mi, że gdzieś wyjechała. Czy to prawda?

Panna Mueller przestała się uśmiechać.

- Tak, można to tak nazwać, rzeczywiście wyjechała. Ale to dłuższa historia... Nie mogę, niestety, pana do siebie dzisiaj zaprosić, obawiam się trochę niedyskrecji szofera, nie chciałabym panu ani sobie sprawić kłopotów...

- Rozumiem. Co pani proponuje?

- Proszę do mnie jutro wpaść, mam wolny wieczór, będę cały czas w domu. Porozmawiamy sobie przy lampce koniaku i wszystko panu opowiem, bo coś mi się wydaje, że w tej pańskiej Łomży nie mieliście dostępu do najświeższych informacji...

Zapukała końcem parasolki w szybę oddzielającą ich od kabiny kierowcy i samochód po przejechaniu kolejnych kilkuset metrów zatrzymał się przed niewielkim, zatopionym w zieleni domem.

- Do jutra zatem, panie doktorze, będę czekać...

Wysiadła i przez szybę rzuciła do kierowcy:

- Proszę odwiedzić pana doktora do domu na Kaiserstrasse.

Samochód ruszył i Otton Brink miał jeszcze okazję zobaczyć, jak panna Mueller zgrabnie kręci swoim apetycznym tyłeczkiem. „Rzeczywiście, w ogóle nie utyka - powiedział do siebie z dumą. - Nie dziwię się, że jest mi wdzięczna...”

Rozdział 4

Cały następny dzień doktor Brink spędził w klinice. Dokładnie obejrzał gojący się kikut kapitana i szczególnie dużo uwagi poświęcił stawowi kolanowemu amputowanej nogi. Często sięgał do swoich notatek, coś sprawdzał, zapisywał i widać było, że był na tyle skoncentrowany na tym, co robił, że Rolf von Dornhoff cierpliwie znosił te czynności i w ogóle się nie odzywał, od czasu do czasu posykując tylko z bólu, co doktorowi w ogóle nie przeszkadzało. W końcu Otton Brink odłożył notatnik, wyprostował się i powiedział:

- Wydaje mi się, kapitanie, że czeka pana jeszcze jedna operacja. Nie będzie to przyjemne, ale jeśli chce pan w przyszłości normalnie funkcjonować z dobrą protezą, musimy tam jeszcze trochę pogrzebać. Trzeba zapewnić jak najlepszą ruchliwość stawu kolanowego po rehabilitacji i jego prawidłowe współdziałanie ze stawem biodrowym.

Otton Brink zaczął wprowadzać kapitana Dornhoff w zawilóści budowy stawu kolanowego i wyjaśniać mu problemy związane z przystosowaniem jego nogi do wymogów nowoczesnej protezy, ale kapitan tylko się uśmiechnął i bez chwili wahania powiedział:

- Mam do pana pełne zaufanie, doktorze. Jeśli pan mówi, że jest to konieczne, to daję panu wolną rękę. Proszę robić wszystko, co w pana mocy, żeby mi jak najbardziej złagodzić ból pozostania kaleką do końca życia. Trudno mi nawet myśleć o tym, że nie będę mógł robić już tylu rzeczy...

- Proszę się nie martwić, postaramy się, żeby było ich jak najmniej.

I tak zaczął się długi proces rehabilitacji tego, co pozostało po amputowanej nodze kapitana SS, Rolfa von Dornhoff.

* * *

Jego noga tymczasem, a właściwie krwawy ochłap, w który się zmieniła, gdy łązik kapitana wjechał dziwnym zrządzeniem losu na niemiecką minę przeciwczołgową gdzieś pod Woroneżem, leżała spokojnie w metalowej skrzynce amunicyjnej, zakopanej na tyłach starej kapliczki, pod wielkim dębem rosnącym gdzieś na skraju lasu nad rzeką Pisą, niedaleko miasta Łomży, w okupowanej przez Tysiącletnią Rzeszę Polsce.

Ale poza jej prawnym właścicielem oraz doktorem Ottonem Brinkiem, który ją tam zakopał, nikt o tym nie wiedział.

* * *

Panna Greta Mueller musiała chyba na niego czekać, bo drzwi wejściowe otworzyły się natychmiast po naciśnięciu dzwonka. Doktor Otton Brink wszedł do środka i wręczył jej

bukiet kwiatów.

- Witam panią, panno Mueller, bardzo proszę, to kwiaty dla pani na nasze przywitanie. Chciałem to zrobić za pierwszym razem, ale nie byłem pewien, czy panią spotkam.

- Dziękuję panu, doktorze, to miłe, dawno od nikogo nie dostałam kwiatów. Proszę do środka.

Mieszkanie było przytulne i urządzone ze smakiem. Widać było, że jego właścicielka dba o to, by jej goście czuli się tam dobrze.

- Czego się pan napije, doktorze? - zapytała panna Mueller i zanim zdążył odpowiedzieć, wyjęła z barku butelkę martela. - Proszę otworzyć, nareszcie jest okazja, żeby to zrobić.

Usiedli na miękkich fotelach i doktor Brink od razu poczuł się lepiej.

Uwielbiał tę atmosferę luksusu i towarzystwo pięknych kobiet wokół siebie. Chyba tego brakowało mu w szpitalu polowym w Polsce najbardziej. Zaczęli rozmawiać o starych czasach przed wojną, ale doktor spojrzał wymownie na swoją towarzyszkę.

- Tak, oczywiście rozumiem pańską niecierpliwość, doktorze, zaraz przejdę do rzeczy.
- Zaśmiała się. - Ale zanim zacznę, mam do pana pytanie - czy zdawał pan sobie sprawę z tego, że Anita Billstein była Żydówką?

- Nie miałem pojęcia, szczerze powiem, nie interesowało mnie to i nigdy nie sprawdzałem jej rodowodu - zażartował. - A powinienem?

- Panie doktorze, na jakim świecie pan żyje, czy nie słyszał pan nigdy o tak zwanej kwestii żydowskiej?

- Oczywiście, że słyszałem, ale nie sądziłem, że to mnie dotyczy, jestem rodowitym Niemcem. Co ja mogę mieć z tym wspólnego?

- Pan jako rodowity Niemiec nic, ale jeśli zadaje się pan z Żydówką, to powstaje groźba zanieczyszczenia rasy i wtedy to już zaczyna pana dotyczyć. Anita Billstein na podstawie czyjegoś donosu została wysłana do obozu koncentracyjnego gdzieś w Polsce, a pana za kontakty z nią wysłano na front wschodni. Czy pan tego jeszcze nie rozumie?

Otton Brink popatrzył na pannę Mueller tak, jakby właśnie przebudził się z głębokiego snu, a ona kontynuowała swoją opowieść.

- Zaraz po tym, jak pana wysłano do tej Polski, w naszym teatrze pojawiło się gestapo. Przesłuchiwali nas wszystkich, sprawdzali dokumenty i wypytywali o pana związki z Anitą. Zabrali ją ze sobą, podobno w celu potwierdzenia danych, a potem ktoś z gestapo zadzwonił i powiedział, że już do nas nie wróci. Podobno zdecydowała się opuścić Rzeszę i wyjechała dobrowolnie do jednego z obozów pracy w okupowanej Polsce... To oczywiście była jawna

kpina, bo od dawna wszyscy wiedzą, że te obozy pracy to są tak naprawdę obozy zagłady, w których prowadzi się planową eksterminację Żydów, Cyganów i innych narodowości.

Doktor Otton Brink, zaczerwieniony i zmieszany, słuchał jej ze zdumieniem widocznym na twarzy i gdy Greta to spostrzegła, zapytała:

- Czy pan naprawdę nie zdawał sobie z tego wszystkiego sprawy?

- Jestem wstrząśnięty. Obiło mi się oczywiście coś o uszy, słyszałem o obozach, ale byłem przekonany, że są to obozy pracy albo deportacyjne i że tych ludzi po prostu przesiedlają...

- Panie doktorze, niech pan nie będzie naiwny - powiedziała, patrząc na niego z życzliwym uśmiechem politowania. - Przesiedlają ich, jak najbardziej, tyle tylko że prosto do nieba. Podobno trują ich masowo jakimś gazem, a ciała palą w wielkich krematoriach, tysiące ludzi. Może pan to sobie wyobrazić?

- Nie mogę, panno Mueller, naprawdę nie potrafię. Kiedy to wszystko się zaczęło?

- Zaraz po wybuchu wojny, na początku 1940 roku. Siedział pan w tej Polsce w lesie, gdzieś w jakimś szpitalu polowym, jak na obozie dla skautów. Dlatego nic pan nie wiedział, bo i skąd.

- Tak, teraz rozumiem, dochodziły i do nas jakieś strzępy informacji, ale nikt z nas nie traktował tego poważnie, myśleliśmy, że to wroga propaganda.

- Teraz już pan wie. Proszę bardzo uważać, nie rozmawiać z nikim o tej sprawie, nie wypytywać, najlepiej jest udawać, że się nie wie, o co chodzi. No i pod żadnym pozorem proszę nie próbować szukać Anity Billstein.

Otton Brink był wstrząśnięty tym, co usłyszał, i żeby się trochę uspokoić, wypił kolejną lampkę, potem jeszcze jedną, aż w butelce pokazało się dno i zrobiło mu się jakoś tak smutno, że aż się popłakał.

Greta Mueller usiadła obok niego na sofie, przytuliła jego splakaną twarz do swoich pięknych dużych piersi i doktor nawet nie zauważył, jak to się stało, że w pewnej chwili wylądowali w jej alkowie. Greta starała się zrekompensować mu stratę Anity i szok wywołany tym, co powiedziała, a doktor, spragniony kobiecego ciała jak nigdy przedtem, zupełnie się w tym zatracił.

* * *

Obudzili się następnego dnia koło ósmej i Otton Brink czuł się już znacznie lepiej.

Greta, wesoło nucąc, przygotowywała coś w kuchni, a doktor zaczął się powoli ubierać, starając się przypomnieć sobie wydarzenia ubiegłej nocy.

- Zaraz podam śniadanie, proszę się szykować - zawołała Greta.

Otton Brink przeszedł do salonu, a stamtąd do dużej, urządzonej w bawarskim stylu kuchni z okrągłym, masywnym stołem pośrodku. Zapach świeżo parzonej kawy był zachęcający. Usiedli naprzeciwko siebie.

- Jak samopoczucie, doktorze? - zapytała Greta, patrząc na niego sponad filiżanki z kawą i uśmiechając się znacząco.

- Znakomite, Greto, dziękuję ci, to była wspaniała noc. Marzyłem o czymś takim przez ostatnie dwa lata. Czuję się doskonale.

- To dobrze, cieszę się z tego, ale od razu chcę pana uprzedzić, doktorze, że musimy być bardzo ostrożni w naszych kontaktach. Widzi pan, nie jestem wolna i mam pewne zobowiązania wobec kogoś bardzo wpływowego, kogo nie chciałabym stracić... Mam nadzieję, że pan to zrozumie.

- Oczywiście, że tak, panno Greto. Wypiłem trochę za dużo alkoholu i na dodatek to wszystko, czego się od pani dowiedziałem, spowodowało, że pewnie straciłem nieco kontrolę nad sobą, proszę mi to wybaczyć.

- Ależ doktorze, nie mam niczego do wybaczenia panu, to była wspaniała noc i też poddałam się tym emocjom... Chciałam tylko postawić sprawę jasno, żeby nie było między nami nieporozumień. No i żebyśmy oboje nie narobili sobie niepotrzebnych kłopotów. Ten mój wpływowy znajomy jest bardzo zazdrosny...

- To zrozumiałe, dziękuję, że jest pani ze mną tak szczerą. Mam nadzieję, że nadal będziemy przyjaciółmi.

- Ależ oczywiście, doktorze, będę zaszczycona i z pewnością będziemy się widywać. Mamy sporo nowych tancerek w naszym teatrze, może powinien pan którąś z nich poznać?

- To bardzo kusząca propozycja, panno Greto, na pewno skorzystam.

Zjedli razem śniadanie. Greta z zapalem opowiadała doktorowi wszystkie plotki z Berlina, a on nie przerywał, ciesząc się tą chwilą tak inną od tego, co zapamiętał z ostatnich dwóch lat.

O panie Anicie Billstein już nie rozmawiali, tylko tuż przed tym, zanim doktor Otton Brink opuścił jej dom, Greta, patrząc mu poważnie w oczy, powiedziała:

- Proszę jej nie szukać, doktorze. Proszę o nią nie pytać i pod żadnym pozorem nie mówić otwarcie z nikim o sprawach, o których wczoraj rozmawialiśmy...

- Będę pamiętał i dziękuję jeszcze raz za szczerą, panno Greto. Do zobaczenia zatem, proszę się do mnie odezwać przy okazji, jestem zawsze pod telefonem w klinice.

* * *

Postanowił pójść piechotą do swojego mieszkania. Nie było daleko, sierpniowy ranek

sam do tego zachęcał, a natłok myśli, jaki powstał mu w głowie w związku z tym, czego się ostatnio dowiedział, wymagał pewnego uporządkowania przed pojawieniem się w klinice.

Otóż doktor Otton Brink nabrał pewnych bardzo niepokojących podejrzeń, graniczących z pewnością, że wbrew temu, czego się spodziewał, Berlin, do którego wrócił po ponad dwóch latach, to już nie było to samo miejsce, które zapamiętał sprzed wojny...

Nie wiedział jeszcze, na czym to dokładnie polegało, ale czuł, że musi dojść do sedna tego dziwnego i wydawałoby się irracjonalnego poczucia osaczenia, jakie nagle zaczęło mu towarzyszyć.

W domu wziął prysznic, ogolił się i przebrał w nowy mundur, który mu właśnie wczoraj dostarczono. Pan Stedtke zadbał o wszystko i jak zwykle mundur leżał znakomicie. Po kilku minutach pod dom na Kaiserstrasse podjechał mercedes przysłany z kliniki, a Otton Brink usadowił się na tylnym siedzeniu i na krótką chwilę znowu poczuł się nieco lepiej.

- Do kliniki, proszę - rzucił do kierowcy.

Rozdział 5

Kapitan Rolf von Dornhoff musiał chyba dużo myśleć o tym wszystkim, co mu się ostatnio przydarzyło, bo najwyraźniej przechodził jakąś metamorfozę, wskazującą na lekkie załamanie psychiczne.

- Doktorze Brink - zagadnął przy porannym obchodzie - proszę mi powiedzieć szczerze, jakie mam szanse na powrót do normalnego życia, nawet z najlepszą protezą?

Otton Brink popatrzył na niego uważnie. Dotychczasowy entuzjizm jego najważniejszego pacjenta, z którym wiązała go również tajemnica dziwnego pochówku jego amputowanej kończyny, wydawał się powoli przygasać. Zamiast tego pojawiły się u niego lekkie nastroje depresyjne oraz bardzo krytyczne refleksje dotyczące przeszłości, a zwłaszcza wydarzeń, które do jego obecnej sytuacji doprowadziły.

Trudno się zresztą było dziwić temu, że młody, niespełna trzydziestoletni, sprawny i wysportowany mężczyzna nie mógł się pogodzić ze stratą nogi. Doktor rozumiał te nastroje doskonale, bo nieraz w swojej karierze obserwował takie reakcje u pacjentów.

- Widzi pan, kapitanie, rozumiem dobrze, że utrata kończyny to bardzo poważna sprawa - powiedział spokojnie. - Ja sam byłem tego bardzo bliski w młodym wieku w wyniku nieszczęśliwego wypadku, jaki mi się przydarzył podczas jednych z wakacji. Moją nogę udało się wprawdzie uratować, ale będę utykał do końca życia. Paradoksalnie ten mój wypadek zainspirował mnie na tyle, że postanowiłem zostać lekarzem i zająć się ortopedią. W pańskim przypadku powrót do normalnego życia - jak to pan nazwał - będzie długi, bolesny i skomplikowany, nie będę tego ukrywał. Ale jeśli postawi pan sobie taki cel, to obiecuję panu, że po dwóch, najwyżej trzech latach rehabilitacji, przy odpowiednio skonstruowanej do pańskich możliwości protezie będzie pan mógł robić większość z tego, co robił pan poprzednio. Oczywiście nie próbuję panu wmówić, że zostanie pan zawodowym tancerzem - to niemożliwe. Ale będzie pan mógł się sprawnie poruszać, nieźle chodzić, prowadzić samochód, jeździć na rowerze i robić wiele innych rzeczy przydatnych w codziennym życiu. Z czasem przyzwyczai się pan do swojej przypadłości i powoli zacznie zapominać o tym, że ma pan sztuczną nogę. Wtedy dopiero proces rehabilitacji uznamy za zakończony.

Kapitan SS Rolf von Dornhoff popatrzył na niego przez dłuższą chwilę.

- Cóż, wygląda na to, że nie mam wyjścia i czeka mnie ciężka praca. Dziękuję panu, doktorze, za szczerą i mam nadzieję, że to pan poprowadzi tę moją rehabilitację aż do końca.

- Oczywiście, kapitanie, to będzie dla mnie zaszczyt. Zaczynamy od pańskiej operacji w przyszłym tygodniu, proszę się do tego psychicznie przygotować. Ja muszę opracować plan tego, co jest u pana do zrobienia, oraz skontaktować się ze swoim przyjacielem z zakładu protez w Szwajcarii. Mam nadzieję, że nie będę miał problemów z wykonaniem paru telefonów do Zurychu?

- Proszę się nie obawiać, załatwię wszystko, co trzeba, przez mojego asystenta, porucznika Johana Loewe, potrzebuję na to dwóch dni. Udostępnię panu linię telefoniczną.

Kapitan Rolf von Dornhoff musiał mieć rzeczywiście dobre dojścia gdzieś na samej górze w SS, bo następnego dnia zadzwonił telefon i miły głos telefonistki poinformował doktora Brinka, że gdyby zechciał połączyć się z Zurychem, to może to zrobić w każdej chwili, dzwoniąc najpierw pod numer, który doktor skrzętnie zanotował.

* * *

Jeszcze tego samego wieczoru zatelefonował do swojego przyjaciela, inżyniera Roberta Duffrie, właściciela szwajcarskiej pracowni, która specjalizowała się w wykonywaniu zaawansowanych protez zastępujących utracone kończyny. Doktor pokrótce opisał stan swojego pacjenta i opowiedział o planowanej operacji oraz o tym, co w jej wyniku spodziewał się osiągnąć.

Robert Duffrie, małomówny specjalista, słuchał go uważnie, potakiwał grzecznie, a gdy doktor Brink skończył, zadał tylko jedno pytanie:

- Ottonie, czy mamy jakieś ograniczenia finansowe?

- Z tego, co wiem, żadnych - odpowiedział doktor i na tym zakończyła się ich pierwsza rozmowa.

Otton Brink miał nadzieję, że jego przyjaciel ze szwajcarskiej kliniki dobrze zrozumiał to, co w specjalistycznym, lekarskim żargonie starał się mu przekazać. A była to delikatnie wyrażona sugestia, że dla dobra pacjenta i dla zapewnienia spełniających jego oczekiwania wyników najlepiej byłoby, gdyby cały proces rehabilitacji i doboru protezy odbył się w klinice specjalistycznej w Zurychu.

Robert Duffrie był starym lisem i wszystko zrozumiał aż nadto dobrze.

W czasie ich kolejnej rozmowy zażądał, żeby pacjent oraz doktor Brink, kiedy tylko zagoją się rany pooperacyjne, pojawili się razem w Zurychu w celu pomiarów, doboru wstępnej protezy i dalszej rehabilitacji pacjenta. Doktor Brink miał nadzieję, że ich rozmowy są podsłuchiwane, i oczywiście nie pomylił się. Ale tym razem zagrało to na jego korzyść.

* * *

Od chwili, kiedy tylko zorientował się, jak naprawdę wygląda sytuacja w Berlinie, i

gdy dotarło do niego i poraziło go całkowicie to uczucie osaczenia, którego doznał po spotkaniu z Gretą Mueller, natychmiast postanowił, że to nie jest miejsce dla niego. intensywnie zaczął myśleć o tym, jak by tu się wyrwać z tej matni. A pierwszą rzeczą, która mu przyszła do głowy, był pomysł przeczekania wojennej zawieruchy w Szwajcarii.

Ale zwykły wyjazd nie wchodził w rachubę. Zdawał sobie sprawę, że był aktywnym oficerem Wehrmachtu i nie mógł tak sobie po prostu wyjechać. byłaby to jawna dezercja, a on nie mógł i nie chciał narażać swojej rodziny.

Kapitan Rolf von Dornhoff spadł mu wtedy jak z nieba i Otton Brink zaczął tkąć misterną sieć intrygi, która, jak miał nadzieję, pozwoliłaby mu spędzić następne kilka lat w Zurychu i to oficjalnie, za zgodą jego przełożonych i bez żadnych konsekwencji dla pozostałej w Rzeszy rodziny.

Tuż przed operacją postanowił powiedzieć Rolfowi otwarcie, że jego dalsza rehabilitacja i dopasowywanie oraz pełna adaptacja do protezy zajmą co najmniej dwa lata, które najlepiej byłoby spędzić w Zurychu, w bezpośredniej bliskości kliniki i zakładu protez.

- Kapitanie - zagadnął go po obchodzie - rozmawiałem ze specjalistą z Zurychu i wygląda na to, że jak tylko dojdzie pan do siebie po operacji, najlepiej będzie, jeśli obaj się tam udamy i dokończymy wszystko na miejscu. Tylko w takich warunkach mogę panu zagwarantować pełny sukces. Myśli pan, że byłoby to możliwe?

Kapitan Rolf von Dornhoff patrzył na niego badawczo przez długą chwilę, uśmiechnął się lekko i powiedział:

- Wszystko jest możliwe, doktorze, zależy tylko od tego, kogo poprosimy o zgodę na taki wyjazd. Jak długi czas musielibyśmy tam spędzić?

- Sądzę, że nawet do dwóch lat, kapitanie. W przeciwnym wypadku ciągnęłoby się to znacznie dłużej i musiałby pan jeździć tam regularnie, co najmniej raz na miesiąc - dopasowywanie protezy i jednoczesna rehabilitacja kończyny to skomplikowany proces i, niestety, nie da się tego uniknąć.

- A czy pan mógłby sobie pozwolić na tak długi wyjazd, doktorze?

- Myślę, że tak. Powiem szczerze, byłoby mi to na rękę. Jestem lekarzem, nie wojskowym, do wojska wcielono mnie wbrew mojej woli i patrząc na to, co się tutaj dzieje, z chęcią bym się stąd wyrwał i przeczekał ten najgorętszy okres... Jestem kawalerem, nie mam zobowiązań, a jeśli idzie o moją rodzinę, to właściwie został mi tylko ojciec, który przebywa w swojej niedużej posiadłości w okolicach Aachen i z pewnością za mną nie tęskni. Nie jesteśmy w najlepszych stosunkach. Ale nie chciałbym sprowadzić na niego kłopotów...

- Tak, rozumiem i wcale się panu nie dziwię - powiedział kapitan Rolf von Dornhoff i

zaśmiał się ironicznie. - Gdyby mi pan powiedział coś takiego pół roku temu, to już by po pana jechało gestapo. Ale wszystko się w moim życiu ostatnio tak zmieniło, że sam siebie nie poznaję... Jeszcze niedawno wierzyłem w ideę wielkich Niemiec. Na front zgłosiłem się na ochotnika, da pan wiarę? Prawdziwy idealista był ze mnie. - Zaśmiał się gorzko. - Ale to, czego, korzystając ze swojej pozycji, dowiedziałem się w ciągu ostatnich dwóch lat o pewnych ludziach, zachwiało tę wiarę. Jeśli to oni mają te wielkie idee realizować, to nic z tego nie wyjdzie. Zostaliśmy zdradzeni od środka, doktorze, a nasz Führer przestał nad tym panować. Nie wiem, co nas czeka, ale bardzo się boję, że to będzie coś zupełnie innego niż to, co głosi oficjalnie nasza propaganda. Powiem panu w tajemnicy, bo nie wiem czemu, ale mam do pana pełne zaufanie, że wielka operacja wojskowa, którą tocymy obecnie pod Stalingradem, wygląda bardzo źle. Jeśli nie zdołamy przełamać tam Rosjan, to możemy ponieść klęskę, która zadecyduje o losach wojny, wyobraża pan to sobie?

- Nie bardzo - odpowiedział doktor Brink - ale od powrotu do Berlina mam dziwne uczucie, że coś tu brzydko pachnie. Mój telefon jest na podsłuchu - powiedział szeptem, pochylając się nad łóżkiem Rolfa.

- Tak, to ich normalne metody, do tego przywykłem. Cóż, byłem inaczej wychowany i nie akceptuję pewnych działań. Ale musiałem stracić nogę, żeby to wszystko przemyśleć i zrozumieć. Niech pan robi tę operację, doktorze, jak najszybciej i postaramy się, żeby nas wypuścili do Szwajcarii. Dopóki jeszcze jest to możliwe, bo jak się zacznie wkoło nas palić, to może być za późno. Proszę robić swoje i z nikim o tym nie rozmawiać. Jeśli ktoś próbowałby panu powiedzieć, że mówi w moim imieniu bądź w mojej sprawie, to będzie to prowokacja. Proszę o tym pamiętać. - Uścisnął doktorowi rękę i opadł na poduszki.

- Muszę trochę odpocząć, jestem jeszcze bardzo słaby. - Uśmiechnął się lekko.

* * *

Ottom Brink wystraszył się nie na żarty. Z tego, co Rolf von Dornhoff mu powiedział, wyglądało na to, że sytuacja była jeszcze gorsza, niż przypuszczał. Tego samego wieczoru ponownie zadzwonił do swojego przyjaciela Roberta Duffrie do Zurychu i poprosił go o listowne przysłanie szczegółowego planu rehabilitacji i pasowania protezy oraz kosztorysu całości.

Później usiadł w fotelu, nalał sobie lampkę koniaku i zadzwonił do panny Grety Mueller.

- Ach, to pan, miło pana słyszeć, doktorze - odezwał się w telefonie miły głosik. - Dobrze, że pan dzwoni, zastanawiałam się, czy się z panem skontaktować. Mamy dzisiaj małą imprezę po występie, jak zwykle w restauracji naprzeciwko teatru. będzie kilka osób,

chciałabym pana zaprosić. Wpadnie pan?

- Z prawdziwą przyjemnością, panno Greto.

- Wspaniale, to co, o dziesiątej? będziemy na pana czekać...

Rozdział 6

Otton Brink pojawił się w restauracji parę minut po dziesiątej i jeszcze zanim wszedł na salę, usłyszał, że towarzystwo, które się tam zebrało, najwyraźniej bardzo wesoło się bawiło. Większość z nich to byli starzy znajomi z kabaretu Adria, za wyjątkiem paru nieznanymi młodych kobiet - pewnie nowych tancerek, o których wspominała Greta - oraz dwóch mężczyzn w mundurach wyższych oficerów. Jeden z nich, postawny, wysoki, ubrany w mundur SS, nosił czarną, ukośną przepaskę na jednym oku.

Doktor Brink poprawił przed lustrem muszkę, odetchnął głęboko dla dodania sobie animuszu i z godnością wkroczył na salę.

Jego wejście zostało natychmiast zauważone i wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę z wyraźnym oczekiwaniem. Panna Greta Mueller uśmiechnęła się do niego na przywitanie, wstała zza stołu, wyszła mu naprzeciw i, biorąc pod rękę, powiedziała:

- Proszę pozwolić, że przedstawię pana tym z państwa, którzy go jeszcze nie znają. Mój stary przyjaciel, któremu wiele zawdzięczam, pan kapitan doktor Otton Brink!

Doktor skłonił głowę, patrząc po sali.

- Wilfried von Crousaz. Słyszałem wiele o panu, doktorze - powiedział pułkownik w mundurze SS i z opaską na oku, podchodząc do niego.

Kapitan Otton Brink zaszalutował, uściśnął podaną mu rękę i spojrzał w niepokojąco wpatrzone w niego jedno oko pułkownika. Było jasnoniebieskie, wyraziste i wydawało się przewiercać go na wylot. Przeszedł go dreszcz.

- Ja też o panu słyszałem, panie pułkowniku. Cieszę się, że mam okazję pana poznać - powiedział, patrząc odważnie w świdrujące go oko.

Lustracja musiała chyba wypaść pomyślnie, bo oko złagodniało, zmrużyło się w lekkim uśmiechu i jego właściciel powiedział:

- Cieszę się, że nasz Rolf znajduje się pod pańską opieką - proszę o niego dbać i przywrócić go do zdrowia jak najszybciej. Bardzo nam na tym zależy...

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, a nawet więcej - proszę mi wierzyć.

- Wierzę panu, doktorze. Dlatego jest pan tu z nami, w Berlinie... Ale będziemy jeszcze mieli okazję o tym porozmawiać. Proszę pozwolić, że przedstawię panu resztę towarzystwa.

Po dokończeniu prezentacji Otton Brink został usadzony pomiędzy dwoma młodymi kobietami, które natychmiast zadbały o to, żeby dobrze się poczuł w ich towarzystwie.

Najwyraźniej miały w tym sporą wpra wę, bo szybko sprawiły, że się rozluźnił, i kolacja toczyła się dalej w bardzo wesołej atmosferze. i tylko niebieskie oko pułkownika Wilfrieda von Crousaz badawczo patrzyło po wszystkich tak, jakby jego właściciel nie brał udziału w tej zabawie.

- Jak się pan czuje, doktorze? - zapytała Greta Mueller, przytulając się do doktora Brinka w tańcu.

- Doskonale, panno Greto, tęskniłem za czymś takim przez ostatnie dwa lata.

- Tylko proszę bardzo uważać na to, co pan mówi i do kogo, doktorze... Widzi pan, wszystko się tu przez te dwa lata zmieniło i ciągle się zmienia, i to coraz szybciej. Nikomu nie można ufać.

- Jest aż tak źle?

- Tak, proszę tego nie lekceważyć. Chyba z braku sukcesów nad wrogiem zewnętrznym zaczęliśmy już szukać wrogów we własnym narodzie - powiedziała mu do ucha. - Gestapo szaleje, wszyscy się ich boją, wystarczy cień podejrzeń... Proszę uważać na te dwie tancerki, z którymi tak dobrze się pan bawił podczas kolacji. Przysłano je do nas z poleceniem zatrudnienia w teatrze, podejrzewamy, że to wtyczki urzędu bezpieczeństwa.

- Będę pamiętał, dziękuję za ostrzeżenie, Greto.

Otton Brink odprowadził pannę Gretę Mueller z parkietu i postanowił wyjść na chwilę na taras, żeby zaczerpnąć parę haustów świeżego powietrza. W głowie kręciło mu się trochę od nadmiaru koniaku, ale myślał trzeźwo i wnioski, do jakich dochodził, nie podobały mu się za bardzo.

„Co tu się stało?” - pomyślał, pytając sam siebie i wiedząc, że nikt mu nie odpowie na to pytanie. Dziwne i przerażające uczucie osaczenia, którego zaczął doświadczać od momentu powrotu do Berlina, nie tylko go nie opuszczało, ale wydawało się wzmacniać. „Muszę się stąd wyrwać i to jak najszybciej, a ty, kapitanie von Dornhoff, i twoi przyjaciele pomożecie mi w tym. Tak, to moja jedyna szansa...”

- Zapali pan, doktorze?

Otton Brink drgnął niezauważalnie i odwrócił się. Za nim stał pułkownik Wilfried von Crousaz i wyciągał w jego kierunku srebrną, otwartą papierośnicę.

- Przestraszyłem pana? Przepraszam, nie chciałem. - Zaśmiał się.

- Nie, nie przestraszył mnie pan, pułkowniku, raczej zaskoczył. Dziękuję za papierosa, właśnie skończyłem palić, ale z chęcią dotrzymam panu towarzystwa.

- Dziękuję panu, dobrze się składa, bo chciałem panu zadać kilka pytań na osobności. Chodzi o Rolfa.

- Rozumiem, a co chciałby pan wiedzieć, pułkowniku?

- Proszę mi szczerze powiedzieć, czy ta kolejna operacja i ten cały plan wyjazdu na rehabilitację do Szwajcarii są naprawdę konieczne?

Doktor Brink uspokoił się i powoli odzyskał nad sobą panowanie. „To o to chodzi” - pomyślał.

- Panie pułkowniku - zaczął stanowczo, tonem kogoś, kto wie, o czym mówi, i bierze za to pełną odpowiedzialność. - Szczerze mówiąc, odpowiedź na pańskie pytanie brzmi „nie”. Ta druga operacja i rehabilitacja w Szwajcarii nie są konieczne do tego, żeby kapitan von Dornhoff mógł kontynuować swoje życie. Oczywiście już tylko jako kaleka wojenny, czyli niepełnosprawna osoba, poruszająca się o kulach i wymagająca stałej opieki. Ale z tego, co wiem, nie o takim życiu pan Rolf von Dornhoff myśli.

- To ciekawe, proszę kontynuować - powiedział pułkownik, a Otton Brink mimo panującego na tarasie półmroku, rozświetlonego tylko blaskiem dochodzącym z pobliskich latarni ulicznych, czuł prawie fizycznie, jak niebieskie oko pułkownika starało się przewiercić mu mózg na wylot.

- Otóż jeżeli mamy mu przywrócić pełną sprawność, panie pułkowniku, taką, która pozwoli mu wieść życie samodzielne, w którym będzie miejsce prawie na wszystko, czego zazwyczaj pozbawia człowieka brak połowy jednej nogi, to wtedy odpowiedź na pańskie pytanie musi już brzmieć zupełnie inaczej. Wtedy ta odpowiedź brzmi „tak, ta operacja i ten wyjazd do Szwajcarii są do tego konieczne”. i uprzedzając pańskie następne pytanie, powiem, że im wcześniej się to zrobi, tym większe są szanse powodzenia i tym lepsze wyniki osiągniemy. Nie da się tego przełożyć na później, bo nie ma żadnego później, pułkowniku. Później są tylko kule i w końcu, po latach, wózek inwalidzki. Mam nadzieję, że to wyjaśnienie panu wystarczy, pułkowniku?

Niebieskie oko złagodniało, uśmiechnęło się lekko i pułkownik von Crousaz po chwili odpowiedział:

- Tak, wydaje mi się, że wszystko zrozumiałem. Muszę przyznać, że potrafi pan, doktorze, być bardzo przekonujący. Widzę, że w tym, co o panu mówiono, nie ma przesady. Ale mam jeszcze jedno pytanie: Czy jest konieczne, żeby to pan towarzyszył osobiście kapitanowi w tej wyprawie do Szwajcarii?

Otton Brink bez chwili zastanowienia postawił wszystko na jedną kartę.

- Nie, panie pułkowniku, to nie jest konieczne, ale byłoby bardzo pożądane z punktu widzenia wyników, jakie chcemy osiągnąć. Widzi pan, ja za to, co robię, biorę pełną odpowiedzialność. Ale muszę brać udział w procesie rehabilitacji i pasowania protezy od

początku do końca. Może to zabrzmie nieskromnie, ale byłem i chyba nadal jestem jednym z najlepszych specjalistów w tej dziedzinie. No i mam swoje sprawdzone metody, które nie są przez innych stosowane, a które moim zdaniem gwarantują najlepsze wyniki. A żeby je zastosować, powinienem być na miejscu, razem z moim pacjentem. inaczej się nie da, pułkowniku von Crousaz.

- Tak, rozumiem, doktorze. Proszę mi wybaczyć te pytania, ale wszystkim nam leży na sercu przyszłość naszego Rolf'a i musiałem to usłyszeć z pańskich ust. Pewnie pan nie wie, doktorze, ale Rolf to mój siostrzeniec i zrobię wszystko, żeby miał zapewnioną prawidłową opiekę. Wierzę, że pan jest właściwym człowiekiem, doktorze.

- Dziękuję za zaufanie, panie pułkowniku, postaram się pana nie zawieść.

- Proszę zatem kontynuować przygotowania do rehabilitacji. Jak już uzna pan, że wszystko jest gotowe, proszę wystąpić do swojego bezpośredniego przełożonego, pułkownika Weizloga, z wnioskiem o pozwolenie na wyjazd. Z krótką adnotacją, że robi to pan z mojego polecenia, ja już załatwię resztę. To co, chyba wrócimy do naszych pań, pewnie się za nami stęskniły?

Rozdział 7

Otton Brink wracał do domu taksówką i po raz pierwszy od dnia powrotu do Berlina to uczucie osaczenia, którego wówczas doznał, zaczęło powoli ustępować. Na jego miejsce pojawiło się coś zupełnie nowego. Coś, co powodowało, że uśmiechał się do swoich myśli, a nawet, gdy już dojechali pod jego dom na Kaiserstrasse, zupełnie nieoczekiwanie dla siebie samego dał taksówkarzowi pokazny napiwek.

„Chyba się zanadto rozkleiłem - powiedział do siebie. - Ale co tam, odbijemy to sobie w Szwajcarii”.

Na drugi dzień podczas obchodu obejrzał jeszcze raz nogę Rolfa von Dornhoff, pokiwał głową z uznaniem i powiedział:

- Proszę się przygotować, panie kapitanie, jutro pana operujemy.

Rolf spojrział na niego spod przymrużonych powiek, uśmiechnął się i zapytał:

- Słyszałem, że widział się pan, doktorze, z moim wujem, pułkownikiem von Crousaz.

- Tak, wczoraj byliśmy razem z większym towarzystwem na kolacji i miałem okazję go poznać, a nawet ucieliśmy sobie dłuższą rozmowę.

- Domyślam się o czym. Ale widzę i cieszę się, że go pan przekonał. Wuj nie chciał się początkowo zgodzić na pańską podróż do Szwajcarii. Jest pan czynnym oficerem w randze kapitana, musi pan mieć rozkaz wyjazdu, a taki rozkaz musi ktoś podpisać... Trzeba to jakoś załatwić i wuj nie miał ochoty się w to angażować, jest bardzo zasadniczy - zauważył pan, doktorze?

- Tak, nietrudno to dostrzec, przewiercił mnie prawie na wylot tym swoim przenikliwym okiem. Ale w końcu albo zrozumiał, że inaczej się nie da, albo po prostu, mając pańskie dobro na względzie, machnął na to ręką.

- O nie, doktorze, on nie macha na nic ręką... Musiał go pan przekonać.

* * *

Operacja była długa, trwała kilka godzin i doktor Otton Brink nieźle się namęczył, zanim zrobił to wszystko, co sobie zaplanował. Lekkie skrócenie obciętej pod kolanem kości piszczelowej pozwoliło na prawidłowe ułożenie i połączenie z nią zaczepów i wiązań kolanowych tak, żeby można było później uzyskać jak największą ruchliwość w obu stawach.

„Dobrze, że tam nad Pisą udało mi się uratować większość ścięgien i wiązań, bo nie byłoby teraz do czego się przyczepić - pomyślał doktor Brink w czasie operacji. - Zrządzenie losu chyba, sam nie wiem, czemu to wtedy zrobiłem. Może dlatego, że tak mnie

zaintrygowała ta jego prośba o pochówek nogi? Tak czy owak, udało mu się, no i przy okazji mnie też... Chyba skończyłem”.

Sprawdził jeszcze raz wszystkie klamry i specjalne zaczepy ścięgien przysłane przez Roberta Duffrie, zaznaczył linię szycia i przekazał dokończenie zabiegu swojemu asystentowi.

- Zszywamy, doktorze Neuman, dokładnie tak jak zaznaczyłem, proszę, ta fałda do środka, drobnym ścięciem - zażartował.

A po pół godzinie kapitan Rolf von Dornhoff otworzył oczy i rozejrzał się po sali.

* * *

„Wszystko udało się znakomicie” - pomyślał Otton Brink, badając po czterech tygodniach swoje dzieło. Rana goiła się bez powikłań, wszystko zrastało się zadziwiająco szybko i doktor pokiwał głową z uznaniem.

- Doskonale to wygląda, kapitanie, za tydzień zaczynamy ćwiczenia i postaramy się jak najszybciej uruchomić to zastaje już kolano. Jak pańskie samopoczucie?

- Bardzo dobre, doktorze Brink. Przez pierwsze parę dni bardzo mnie to bolało, ale teraz zaczęło się uspokajać i już jest w porządku. Kiedy pan planuje nasz wyjazd?

- Nie wcześniej niż pod koniec stycznia. Rana musi się dobrze zagoić.

Kapitan von Dornhoff pokręcił przecząco głową i spojrzał na doktora Brinka tak, jakby wyraźnie chciał dać mu coś do zrozumienia.

- Wydaje mi się, że powinniśmy się pospieszyć, panie doktorze. Mam niezbyt dobre wiadomości z frontu wschodniego, niestety...

Otton Brink popatrzył na niego, wyraźnie zaskoczony.

- Tak. A co się stało?

- Musimy się stąd wynosić i to jak najszybciej. Moi informatorzy donoszą mi, że pod Stalingradem zapowiada się na wielką klęskę. Rosjanie mają nas w kotle i chyba już się z niego nie wydostaniemy. Jeśli to się stanie, to nastąpi odwrót i bóg jeden wie, jak to się wówczas skończy. Ja mogę wyjechać w każdej chwili, bo zostałem przeniesiony do rezerwy, ale uprzedzam pana, że jak sprawa Stalingradu wybuchnie, to Führer się wścieknie i nastąpi panika w sztabie. Mogą być w związku z tym kłopoty z załatwieniem dla pana rozkazu wyjazdu. Jest pan wciąż czynnym oficerem. Wuj mi przekazał tę wiadomość...

- Co pan w takim razie sugeruje, kapitanie?

- Proszę złożyć wniosek o rozkaz wyjazdu jeszcze dzisiaj. Za dwa dni wyjeżdżamy. Potem może być za późno...

- Skoro tak, to nie mamy czasu do stracenia. Zaraz wypiszę wniosek i zajmę się

swoimi sprawami, jeśli pan pozwoli.

- Oczywiście, doktorze, ja będę gotowy na czas, mój asystent nad tym czuwa.
- Do zobaczenia zatem, kapitanie von Dornhoff.

Rozdział 8

Pułkownik Weizlog, dobroduszny starszy jegomość, nie wydawał się być zdziwiony wnioskiem, z jakim Otton Brink u niego się pojawił. Najwyraźniej był uprzedzony przez kogoś, że coś takiego się zdarzy.

- Tak, to poważny przypadek, no i ważny pacjent, doktorze Brink. Proszę robić wszystko, żeby postawić naszego kapitana jak najszybciej na nogi. Dużo ważnych osób się nim interesuje... Oczywiście rozumie pan chyba, że jedzie pan prywatnie, jako doktor Otton Brink, munduru proszę raczej nie zabierać...

- To zrozumiałe, panie pułkowniku, nie brałem pod uwagę takiej możliwości.

- Oczywiście żartowałem. - Pułkownik Weizlog zaśmiał się. - Ale nadmiar ostrożności nie zaszkodzi. Rozumie pan, że muszę te papiery odesłać do gestapo, w obecnej sytuacji ja czegoś takiego nie mogę podpisać... Ale sądzę, że będą do odebrania jutro koło południa, tak mi przynajmniej powiedziano. To byłoby wszystko, zastąpi pana tutaj doktor Voight. Proszę się zacząć szykować do wyjazdu.

- Tak, oczywiście, dziękuję, panie pułkowniku.

Otton Brink wyszedł z gabinetu pułkownika stanowczym, energicznym krokiem, starając się nie dać po sobie poznać emocji, jakie w nim szalały. Cieszył się jak dziecko, że opuszcza Berlin. Jednocześnie to, co o spodziewanej klęsce pod Stalingradem, a zwłaszcza o jej możliwych i bardzo niepokojących następstwach powiedział Rolf, rozlewało mu się po żołądku jak bryła roztopionego lodu. bał się, że może być za późno...

Odbył krótką, rzeczową rozmowę z doktorem Voightem, bardzo obiecującym młodym chirurgiem, który uważał go za swojego mentora i był zachwycony perspektywą tego, że będzie przez jakiś czas zastępował tak znamienitego specjalistę.

Otton Brink przekazał mu listę swoich pacjentów, krótko omówił najważniejsze przypadki i postanowił jechać do domu, żeby się spakować.

- Proszę się nie martwić, na pewno da pan sobie ze wszystkim radę, poruczniku Voight - powiedział z uśmiechem i poszedł do swojego gabinetu. Celowo tytułował Voighta „porucznikiem”, co tamten przyjmował z lekkim gestem zniecierpliwienia, marząc o chwili, gdy doktor Brink nazwie go wreszcie doktorem...

Samochód podjechał pod klinikę i po kilkunastu minutach jazdy przez dziwnie spokojny i przyprószony wczesnym, grudniowym śniegiem Berlin doktor Brink znalazł się pod swoim domem.

Pakowanie było czystą formalnością. Z metodyczną dokładnością powkładał przygotowane rzeczy do dużej, skórzanej walizy i gdy wreszcie skończył, usiadł w swoim fotelu, zastanawiając się, co dalej.

Wszystkie potrzebne dokumenty miał od dawna przygotowane, a wizy szwajcarskie, załatwione wcześniej przez Roberta Duffrie, czekały na nich w urzędzie celnym w miasteczku Dornbirn, nad Jeziorem bodeńskim, tam gdzie zbiegały się granice Niemiec, Szwajcarii i Austrii, oczywiście zanim ta ostatnia została zaanektowana przez III Rzeszę...

A stamtąd było już około stu kilometrów do Zurychu, które mieli pokonać przysłanym przez Roberta ambulansem. Wszystko zostało zaplanowane z prawdziwie zegarmistrzowską precyzją i jego szwajcarski przyjaciel czekał tylko na wiadomość o ich wyjeździe. „Zadzwoń do niego jutro - pomyślał Otton Brink - jak już będę miał w ręku rozkaz wyjazdu, z tym nigdy nic nie wiadomo...”

Rozejrzał się po swoim uroczym mieszkaniu. Przyzwyczyił się do niego, mieszkał tam, od kiedy tylko zaczął pracę w klinice w 1934 roku.

„Jak niewiele jest człowiekowi potrzebne - pomyślał, patrząc na swoją skórzaną walizę. - Oczywiście, jak się ma dobre konto w szwajcarskim banku”. - Zaśmiał się do siebie.

A jego tajne konto w jednym z banków w Zurychu było rzeczywiście bardzo pokaźne i Otton Brink nie musiał się martwić o swoją przyszłość w tym pięknym, małym, ale ciągle niepodległym kraju. Założył je przed wielu laty, tuż po ukończeniu studiów, gdy dostał wreszcie swoją część spadku po matce. Wtedy poznał też Roberta Duffrie, gdy jako młody lekarz praktykował w klinice ortopedycznej w Zurychu. Coś go wtedy tknęło i przy okazji jednego z wyjazdów do Szwajcarii, kiedy jeszcze granice były otwarte, zdeponował w jednym z większych banków całe swoje oszczędności, oczywiście we frankach szwajcarskich...

Od tamtej pory przelewał na swoje konto przy każdej nadarzającej się okazji spore sumy. był dobrze opłacanym lekarzem, kawalerem, miał niewielkie potrzeby i konto rosło w oczach. Teraz miał zamiar zacząć korzystać ze swojej niezależności finansowej, z której, co tu dużo ukrywać, był bardzo dumny. „Szkoda mi tylko tego mieszkania - pomyślał. - Żałuję, że nie sprzedałem go przed wybuchem wojny. bóg jeden wie, kiedy i czy w ogóle jeszcze tutaj powrócę i jak to wszystko w ogóle się ułoży...”

Otton Brink po tej dziwnej rozmowie o spodziewanej klęsce wojsk niemieckich pod Stalingradem miał bardzo złe przecucia i jego uczucie osaczenia znowu zaczęło mu dokuczać, i to jeszcze bardziej niż poprzednio.

Postanowił pojechać jeszcze raz do kliniki i porozmawiać z Rolfem von Dornhoff.

„Może to mnie trochę uspokoi” - pomyślał i zadzwonił po samochód. Jechali wolno, bo zaczął padać śnieg i kierowca kilkakrotnie musiał wycofywać i omijać większe zasy, które się tworzyły w niektórych miejscach, ale po godzinie był znowu w swoim gabinecie.

Kapitan von Dornhoff chyba na niego czekał, bo gdy doktor otworzył drzwi i wszedł do jego pokoju, ten uśmiechnął się szeroko na powitanie, odkładając słuchawkę telefonu.

- Pańskie papiery przed chwilą zostały podpisane, będą u nas jutro przed dziesiątą rano. Gratuluję, doktorze Brink.

- Widzę, że jest pan informowany na bieżąco - Doktor się uśmiechnął.

- Tak, to prawda, najważniejsze są dobre znajomości i oddani ludzie, obawiam się, że bez tego nigdzie byśmy nie pojechali.

- Na pewno, kapitanie von Dornhoff. Jeśli idzie o mnie, jestem gotowy, mogę jechać w każdej chwili. Będę tylko musiał zawiadomić Roberta o naszym wyjeździe i podać mu przybliżony termin naszego przybycia na granicę. Odbierze nas stamtąd ambulans, bo pan oczywiście całą podróż musi odbyć na wózku inwalidzkim.

- Chyba inaczej nie dałbym rady, doktorze. - Rolf von Dornhoff zaśmiał się. - Wszystko zostało już załatwione przez mojego nieocenionego asystenta, może pan jeszcze dzisiaj zadzwonić do Zurychu. Wyjeżdżamy jutro późnym popołudniem pociągiem specjalnym do Monachium. Będziemy mieli cały przedział sypialny w wagonie oficerskim dla siebie, Johan pojedzie z nami do Monachium, stamtąd pomoże nam dostać się na granicę do Dornbirn i dalej pojedziemy już sami... Wszystkie papiery, pozwolenia i przepustki są gotowe, proszę nie zapomnieć o swoich cywilnych dokumentach.

- Doskonale pan zaplanował tę operację, kapitanie - powiedział z podziwem w głosie doktor Brink. - Proszę się nie obawiać, niczego nie zapomnę, też jestem zazwyczaj dobrze zorganizowany. Kiedy zatem przewiduje pan, że pojawimy się w Dornbirn?

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze i śnieżycy nie narobi nam jakichś nieprzewidzianych kłopotów, to w Monachium powinniśmy być pojutrze, około dwudziestej, zgodnie z rozkładem. Tam zanocujemy i rano o ósmej następnego dnia wyruszymy ambulans, do Dornbirn. To około dwustu kilometrów i znowu, jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, powinniśmy być na miejscu najpóźniej około czternastej. Proszę przekazać panu Duffrie, żeby o tej porze już tam na nas czekał ambulans. - W takim razie wszystko ustalone, jutro z samego rana, po odebraniu rozkazu wyjazdu zadzwonię do Roberta i przekażę mu tę wiadomość.

- Widzę, że szybko pan się uczy, doktorze... - Tak, mam dobrego nauczyciela. - Otton Brink zaśmiał się. - Do jutra, kapitanie.

* * *

Tego wieczoru doktor Brink zadzwonił jeszcze do Grety Mueller. była bardzo zaskoczona wiadomością, że doktor niedługo znowu gdzieś wyjeżdża, ale nie zadawała żadnych pytań przez telefon. Powiedziała tylko:

- Będzie nam pana bardzo brakowało, doktorze, proszę wracać jak najszybciej.

- Obowiązki wzywają, panno Mueller, odezwę się do pani po powrocie. Proszę na siebie uważać i cały czas stosować te ćwiczenia rehabilitacyjne, które pani zaleciłem. Gdyby pojawiły się jakieś problemy, proszę skontaktować się z doktorem Voightem z naszej kliniki. będzie mnie zastępował pod moją nieobecność.

- Dziękuję jeszcze raz za wszystko, co pan dla mnie zrobił, będę o wszystkim pamiętać. Też proszę na siebie uważać.

- Zrobię, co będę mógł, ale obowiązki przede wszystkim. Do widzenia, panno Greto.

- Do widzenia, doktorze.

Otton Brink ułożył się wygodnie na swojej skórzanej, klubowej kanapie, postawił na stoliku obok szklaneczkę brandy i przykrył się pledem. Obserwował duże, wolno spadające płatki śniegu za oknem, słuchał radia, które bez przerwy nadawało jakieś przemówienia Führera, i myślał o tym, co go czeka w ciągu najbliższych dwóch dni. był dobrej myśli, kolejna szklaneczka brandy jeszcze poprawiła ten nastrój i doktor Brink nawet nie zauważył, gdy spokojnie zasnął.

Rozdział 9

Obudził się wypoczęty i w dobrym nastroju, wziął prysznic, ogolił się i, czekając na kierowcę, robił sobie śniadanie. Ktoś zapukał do drzwi, Otton Brink otworzył i ze zdziwieniem zobaczył, że na progu stał zarządca domu, pan Stedke.

- Mam dla pana list, panie doktorze, przepraszam, że nie przyniosłem go wczoraj, ale dosyć późno pan wrócił i nie chciałem przeszkadzać. Doręczył go posłaniec, proszę bardzo.

Doktor sięgnął po list, zerknął na znajome, zamaszyste pismo i uśmiechnął się.

- Od mojego ojca, dziękuję panu, Stedtke.

Zamknął drzwi i obejrzał dokładnie kopertę. Oczywiście była otwierana i zaklejona ponownie, dosyć nieudolnie. „Ty kanalio” - pomyślał o zarządcy domu, panu Stedtke, i otworzył kopertę.

Ojciec jak zwykle narzekał na zdrowie, na samotność, na brak rodziny, a zwłaszcza wnuków, których on, Otton Brink, jego jedyny syn, ciągle nie potrafił mu zapewnić. Wieczne narzekanie starego człowieka, który siedząc w swojej małej posiadłości na zachodzie Niemiec, gdzieś pod granicą z Belgią w okolicach Aachen, odizolowany od świata i ludzi, ciągle myślał, że wszystko jest takie samo jak za czasów jego młodości. Posługaczka, która z nim mieszkała, stary i równie niedołączony jak on sam ogrodnik oraz dochodząca gosposia i kucharka w jednej osobie stanowili jego jedyną łączność ze światem. Otton pokiwał z uśmiechem głową i odłożył list. „Wybacz, ale nie mam teraz do tego głowy, ojciec - powiedział do siebie. - Napiszę, jak już będę w Szwajcarii”.

Przed dziesiątą był już na miejscu w klinice i gdy przeglądał karty chorych przed porannym obchodem, zadzwonił telefon.

- Tu pułkownik Weizlog, proszę do mnie na chwilę, kapitanie. Mam dla pana rozkaz wyjazdu.

Doktor Brink poczuł się tak, jakby wojna właśnie się skończyła i jakby znowu został zwykłym, odpowiedzialnym tylko za swoje życie cywilem. Energicznym krokiem wyszedł na korytarz i ruszył w kierunku gabinetu pułkownika Weizloga.

- Oto pańskie papiery, kapitanie, a raczej doktorze Brink od tej pory - powiedział, nie przeciągając sprawy, pułkownik. - Czy wszystko przygotowane do transportu pacjenta?

- Tak jest, panie pułkowniku, ruszamy dzisiaj pociągiem do Monachium o godzinie szesnastej.

- Doskonale, doktorze, życzę w takim razie powodzenia i proszę o regularne

przesyłanie do mnie raportów z postępów w rehabilitacji.

- Jak mam to robić, panie pułkowniku?

- Proszę się o to na razie nie martwić, we właściwym momencie ktoś się do pana zgłosi i zostawi odpowiednie instrukcje. To byłoby wszystko, ma pan mało czasu, proszę się zbierać. Do widzenia panu.

- Do widzenia i jeszcze raz dziękuję za pomoc, pułkowniku - powiedział Otton Brink, stuknął po raz ostatni, jak miał nadzieję, obcasami i wyszedł z gabinetu.

Poszedł szybko do siebie, usiadł przy telefonie i zadzwonił do urzędu telekomunikacji. Słuchawkę podniosła znana mu ze słyszenia kobieta o miłym głosie i zapytała:

- Witam, doktorze Brink, łączyć z tym samym numerem?

- Tak, proszę Zurych, jak zwykle.

Po dłuższej chwili ze słuchawki odezwał się znajomy głos Roberta Duffrie.

- Słucham, czy to ty, Ottonie?

- Witaj, Robercie, tak, to ja. Chciałem cię tylko poinformować, że dzisiaj wyjeżdżam z moim pacjentem popołudniowym pociągami do Monachium. Tak, dzisiaj - potwierdził doktor Brink. - Słucham? Tak, w Dornbirn powinniśmy być pojutrze po południu, umówmy się na czternastą. Zrozumiałeś mnie?

- Tak, wszystko jasne, ambulans będzie na was czekał na przejściu granicznym w Dornbirn pojutrze od czternastej. Tak, wszystkie papiery potrzebne na wjazd do Szwajcarii są gotowe, przyjadę z kierowcą. Do zobaczenia zatem, miłej podróży, Ottonie!

- Do zobaczenia, Robercie! - Doktor Brink odłożył słuchawkę.

Wszystko było przygotowane do wyjazdu, ale Otton Brink wciąż nie mógł ochłonąć z emocji ostatnich dwóch dni. Usiadł w swoim fotelu i na chwilę zatopił się w myślach, które przelatywały mu przez głowę jedna za drugą... Sam nie wiedział, jak to było możliwe, że coś takiego dało się tak szybko zorganizować i szacunek oraz uznanie dla możliwości jego pacjenta oszołomiły go kompletnie. „Coś takiego - pomyślał. - Jeszcze niecałe pół roku temu tkwiłem gdzieś w jakiejś dziurze, w połowym namiocie nad dziką rzeką... Co za przedziwny splot okoliczności, aż się nie chce wierzyć, że wszystko to spowodowała jedna, przeoczona gdzieś pod Woroneżem niemiecka mina i rozszarpana przez nią noga, którą musiałem amputować w połowym szpitalu...”

Doktor Otton Brink poderwał się energicznie z fotela, spojrzął na swojego złotego schaffhausena - prezent od jednego z wdzięcznych pacjentów - poprawił ubranie i poszedł zobaczyć się z kapitanem von Dornhoff.

- Jak pan się czuje, kapitanie? Długa droga przed nami, niewiele czasu zostało.

- Dziękuję, jestem dzisiaj w doskonałej formie, praktycznie gotowy do drogi. Johan stanął na wysokości zadania i zadbał o wszystko. A pan, doktorze?

- Muszę jeszcze tylko spakować swój lekarski neseser i zabrać wszystko, co może nam być w czasie tej podróży potrzebne. O której ruszamy?

- Nasz ambulans wyjeżdża z kliniki o czternastej. - Von Dornhoff spojrzął na zegarek. - Ma pan zatem jeszcze dobre trzy godziny, proszę je wykorzystać.

- Wspaniale, kapitanie, pozwoli pan zatem, że jeszcze wpadnę na chwilę do swojego mieszkania, przekażę klucze zarządcy i wrócę tu przed czternastą.

- Oczywiście, to miałem właśnie na myśli, do zobaczenia zatem o czternastej. - Rolf uśmiechnął się do niego. - Proszę nie marnować czasu, niewiele go przed odjazdem zostało...

Te ostatnie trzy godziny w Berlinie minęły doktorowi jak mgnienie oka. W swoim mieszkaniu na Kaiserstrasse przebrał się w cywilne ubranie na drogę i stanął przed dużym lustrem. Z przyjemnością popatrzył na szczupłego, wysokiego dżentelmena w jasnym płaszczu z wielbłądziej wełny i ciemnym kapeluszu i pokiwał z uznaniem głową. „Jesteś znowu cywilem, Ottonie Brink” - powiedział do siebie i opuścił dom.

A po dwóch godzinach siedzieli już w dużym przedziale wagonu oficcerskiego specjalnego pociągu, który punktualnie o szesnastej opuścił dworzec główny w Berlinie, kierując się do Monachium. Berlin pożegnał ich lekko prószącym śniegiem topiącym się na ulicach i wyraźnie już widocznymi przygotowaniami do zbliżających się świąt. Życie w mieście na pierwszy rzut oka toczyło się normalnie i nic nie zapowiadało zbliżającej się katastrofy. Ale Otton Brink wiedział, że to były tylko pozory, i gdy wreszcie zabrzmiał gwizdek zawiadowcy i pociąg ruszył, odczuł nieopisaną ulgę.

Rozdział 10

Był początek grudnia 1942 roku i za oknem szybko poruszającego się pociągu zaczął zapadać zmrok. W przedziale było ciepło i przyjemnie, niemieccy oficerowie wtedy jeszcze podróżowali w komfortowych warunkach, zwłaszcza ci, którzy jeździli pociągami specjalnymi. A linia Berlin - Monachium należała do najbardziej uczęszczanych. Rolf von Dornhoff leżał na swoim łóżku przysłonięty kotarą i spał spokojnie. Musiał być zmęczony tym dniem i bólem, jaki mu jeszcze sprawiały wszelkie ruchy. dzielnie się trzymał i panował nad tym z godną podziwu wytrwałością, ale doktor Brink wiedział, ile go to kosztowało. Dlatego jak tylko znaleźli się w przedziale, zaaplikował mu środek nasenny z morfną i Rolf od razu zasnął.

Doktor siedział naprzeciwko niego pod oknem, rozkoszował się lampką koniaku oraz swoim chwilowo odzyskanym statusem cywila. Rozmyślał o wydarzeniach dzisiejszego dnia i uśmiechał się w duchu do siebie - nie miał wątpliwości, że był coraz bliżej zrealizowania swojego planu wyrwania się z objęć Rzeszy i wszystko jak do tej pory układało się po jego myśli. Miał nadzieję, że uda mu się przeciągać pobyt w Szwajcarii tak długo, aż sytuacja się wyjaśni. Nie miał zamiaru wracać do Berlina, zanim to się nie stanie, i chociaż nie wiedział jeszcze, jak to zrobi i do czego będzie się musiał posunąć, żeby to osiągnąć, to jego postanowienie umacniało się w nim z każdą chwilą.

Co do tego, że totalna wojna z całą Europą i resztą świata była całkowitym szaleństwem, Otton Brink nigdy nie miał najmniejszych wątpliwości. Zdawał sobie też sprawę, że ta wojna, tak jak wszystkie poprzednie, kiedyś się wreszcie skończy, i po cichu - bo powiedzieć czegoś takiego na głos nigdy by się nie odważył - liczył na to, że Hitlera i popierającą go klikę ktoś odsunie od władzy. i że ten ktoś dogada się z resztą Europy i zakończy tę bezsensowną wojnę. Niestety, nic nie zapowiadało jak do tej pory takiego rozwoju sytuacji.

Otton Brink uważał Hitlera za niebezpiecznego szaleńca i czuł instynktownie, że za pozogę, którą rozpętał, Niemcy zapłacą kiedyś dużą cenę. Często słuchał jego emocjonalnych, pompatycznych wystąpień i nie mógł się nadziwić, jak to było możliwe, że tylu ludzi dało się złapać na te bzdury o Tysiącletniej Rzeszy...

Zdumiewające dla niego było to, że ten psychopata potrafił pociągnąć za sobą masy i poderwać je do czynu, który nie miał sobie równych w dziejach Niemiec.

Doktor Brink bał się nawiedzonych psychopatów, a ten akurat miał w ręku władzę,

która przerażała swoją destrukcyjną siłą i jak na razie nic nie mogło go powstrzymać.

* * *

Pociąg kołysał i stukał miarowo na złączach szyn, a kolejna lampka koniaku rozluźniła doktora całkowicie.

Zaczął myśleć o tych wszystkich rzeczach, które jako wolny człowiek, cywil na dodatek, będzie robił w Zurychu, aż wreszcie zasnął na swoim siedzeniu.

Obudził się, gdy pociąg się zatrzymał. Postanowił wpuścić trochę świeżego powietrza i z ciekawością rozglądał się przez opuszczoną szybę po dworcu kolejowym. Okazało się, że byli w Lipsku. Rolf ciągle spał i Otton Brink zamknął po chwili okno, żeby go nie obudził szum dochodzący z zewnątrz. Ktoś zapukał, otworzyły się drzwi przedziału i ukazała się w nich głowa Johana Loewe.

- Proszę do środka, poruczniku - odezwał się doktor. - Gdyby zechciał pan posiedzieć trochę z kapitanem von Dornhoff, to mógłbym w tym czasie wyskoczyć na małą kolacyjkę do wagonu restauracyjnego - trochę zgłodniałem.

- Oczywiście, kapitanie Brink, z przyjemnością. Z tą myślą tu zresztą wpadłem, ja już tam byłem, dobrze karmią, muszę przyznać.

- Dziękuję panu, poruczniku, i jeszcze jedna mała rzecz - proszę mnie nie tytułować kapitanem. Wolałbym „doktorze”, jeśli można. Proszę pamiętać, że jadę jako osoba cywilna i nie chciałbym wzbudzać żadnych podejrzeń.

- Oczywiście, ma pan rację, doktorze Brink. będę o tym pamiętał.

Wagon restauracyjny funkcjonował tak, jakby żadnych ograniczeń związanych z wojną nie było. Ale w końcu to był pociąg specjalny...

„Skorzystajmy zatem z tego luksusu” - pomyślał doktor Brink i zajął miejsce przy wolnym stoliku.

Gdy wrócił do swojego przedziału, Rolf ciągle spał, a Johan Loewe zapisywał coś w swoim notatniku. Podniósł głowę i uśmiechnął się.

- Jak smakowała kolacja, doktorze? - zapytał.

- Miał pan rację, poruczniku, doskonale karmią. Widzę, że nasz pacjent ciągle śpi.

- Tak, starałem się go nie obudzić, ten dzień go zmęczył. Cóż, pójdę w takim razie do swojego przedziału, gdyby pan mnie potrzebował, jestem obok do pańskiej dyspozycji w dowolnej chwili.

- Dziękuję, poruczniku, myślę, że kapitan von Dornhoff pośpi jeszcze co najmniej kilka ładnych godzin - dostał środek nasenny. W razie potrzeby zastukam do pana.

Pociąg ruszył dokładnie o jedenastej i Otton Brink postanowił się położyć. Emocje

dnia i zmęczenie porządnie dały mu się we znaki i nawet nie zauważył, kiedy zasnął. Obudziło go pukanie do drzwi. Spojrzał na fosforyzujące wskazówki zegarka - dochodziła szósta rano. Ubrał się szybko i wyszedł na korytarz, wprost na porucznika Loewe, który rozmawiał z dwoma podoficerami w mundurach gestapo. Odwrócił się w stronę Ottona.

- Kontrola dokumentów, doktorze Brink. Proszę przynieść swój rozkaz wyjazdu i dokumenty kapitana von Dornhoff.

Otton Brink wrócił do przedziału, wyjął z teczki potrzebne papiery, wyszedł ponownie i wręczył je prowadzącym kontrolę podoficerom. Zajrzeli w nie z twarzami niezdradzającymi żadnych emocji, ale gdy zerknęli na podpis na dole, wyraźnie zeszywnieli. Oddali je szybko doktorowi, zaszalutowali i jeden z nich powiedział:

- Dziękujemy, panie doktorze, przepraszamy za kłopot, ale sprawdzamy wszystkich, takie mamy rozkazy.

Zakończyli standardowym „Heil Hitler”, stuknęli obcasami, odwrócili się i poszli korytarzem w kierunku wyjścia.

- Gdzie jesteśmy, poruczniku?

- Na przedmieściach Norymbergi. Jeśli pan pozwoli, pójdę teraz do kapitana von Dornhoff i sprawdzę, czy czegoś nie potrzebuje. Myślę, że już się obudził.

* * *

W Norymberdze mieli znowu dłuższy postój. Jakieś metalowe, zaplombowane skrzynki wyładowywano i załadowywano do wagonów pocztowych pod czujnym okiem patrolu gestapo. Wreszcie skończono i przed południem pociąg ruszył dalej. Rolf czuł się znacznie lepiej po kilkunastu godzinach snu. Siedział w półleżącej pozycji na swoim łóżku i obserwował krajobrazy przesuwające się za oknem. Doktor Brink przeglądał jakieś zapiski. Odłożył notatnik, spojrzął na Rolfa i powiedział:

- Większą część drogi mamy za sobą, kapitanie, jak tam noga?

- Chwilowo się uspokoiła, dziękuję, mam nadzieję, że gorzej już nie będzie.

- O nie, kapitanie, teraz powinno się już tylko poprawiać. Gdyby zaczęła panu znowu dokuczać, proszę mi powiedzieć, to coś zaaplikujemy.

Dobrze im się ze sobą rozmawiało i ta wspólna podróż bardzo ich do siebie zbliżyła. Odkryli, że mają wiele wspólnych zainteresowań i bardzo podobne poglądy na wiele spraw.

Rolf von Dornhoff opowiedział doktorowi o swoich przeżyciach na froncie wschodnim i o wypadku, jaki mu się przydarzył pod Woroneżem, gdy kierowany przez niego łaźnik wjechał na niemiecką, nieoznakowaną i przeoczoną przez saperów minę. Sam z ciekawością wysłuchał opowieści doktora o jego dwóch latach służby w szpitalu polowym w

Polsce. Ale najbardziej zaciekała go dokładna relacja z operacji, którą sam przeżył w szpitalu polowym. Pytał o wszystkie szczegóły i śmiał się długo, gdy doktor Brink bardzo kolorystycznie opisywał mu swoją nocną wyprawę pod wielki dąb na wzgórzu, z jego nogą zapakowaną w skrzynkę amunicyjną pod pachą.

- Ma pan wielki dar, doktorze, doskonale pan opowiada i myślę, że mógłby pan pisać książki przygodowe - powiedział kapitan von Dornhoff, po czym spoważniał na chwilę i dodał: - Zaciągnąłem u pana wielki dług wdzięczności. Do dzisiaj tego nie rozumiem i nie potrafię wyjaśnić dlaczego, ale z jakichś powodów świadomość tego, że moja noga miałaby zostać gdzieś tam, daleko, zakopana w obcej ziemi, jak niepotrzebny nikomu ochłap mięsa, obok wielu innych, bezimiennych kończyn, była dla mnie nie do zniesienia. Nie wiem,

78 jak się panu za to odwdzięczę i czy w ogóle jest to możliwe.

- Już pan to zrobił, kapitanie. Gdyby nie pan i ta pańska noga, która spowodowała tyle zamieszania, to siedziałbym do dzisiaj w namiocie nad Pisą i produkował kolejne zastępy kalek, ku chwale naszej Tysiącletniej Rzeszy.

- Proszę nie żartować, doktorze. Nie potrafię nawet wyrazić, jak ważne było to, co pan dla mnie wtedy zrobił... A na dodatek teraz liczę na to, że doprowadzi mnie pan do stanu, który pozwoli mi jeszcze kiedyś tę moją nogę odzyskać. Pańską mapę sztabową z zaznaczonym miejscem przechowuję jak relikwię, a widok tego wzgórza nad rzeką z wielkim dębem na skraju lasu mam przed oczami cały czas i mocno wierzę w to, że moja noga jeszcze kiedyś do mnie powróci.

- Byłoby to najbardziej niezwykle zakończenie tej historii, jakie można sobie wyobrazić - odpowiedział Otton Brink. - Życzę panu z całego serca, żeby to się kiedyś stało, kapitanie. i tak rozmawiając, powoli zbliżali się do Monachium.

* * *

Od czasu do czasu zaglądał do nich porucznik Loewe z pytaniem, czy przypadkiem czegoś kapitanowi nie potrzeba, ale widząc, że są zajęci rozmową, przeważnie wycofywał się dyskretnie do swojego przedziału obok. Na miejsce dojechali o przewidzianym czasie i na peronie czekało już dwóch sanitariuszy z noszami, wysłanych przez dyrektora pobliskiej kliniki.

Johan Loewe kierował całą operacją przewiezienia kapitana i doktor Brink z pełnym uznaniem patrzył na zdolności organizacyjne i oddanie młodego porucznika SS.

- Ten pański asystent to nieoceniony skarb - powiedział cicho, nachylając się nad kapitanem.

- Tak, porucznik Loewe to bardzo zdolny i oddany mi człowiek. Poza tym, doktorze,

każdy ma jakieś długi wdzięczności do spłacenia, on też...

Monachium przywitało ich ciepłem, o którym o tej porze roku w Berlinie zdążyli już zapomnieć.

Do kliniki dotarli wysłanym po nich ambulansem, który na włączonym sygnale przeciskał się przez zatłoczone o tej porze ulice miasta. Po drodze Otton Brink z zainteresowaniem wyglądał przez okno i z zadowoleniem stwierdził, że wszystko wygląda tak samo jak przed kilkoma laty, gdy po raz ostatni odwiedził to miasto. Widać było tylko więcej wojska na ulicach i często natykali się na wojskowe, zmotoryzowane patrole, które starały się ułatwić im przejazd przez zakorkowane skrzyżowania Monachium. Poza tymi oznakami nie było widać, że toczy się wojna i że Niemcy są w stanie pełnej mobilizacji. A sądząc po ilości fąg, na których dumnie powiewał symbol III Rzeszy, czarna swastyka, wyglądało to raczej, jakby zbliżały się obchody jakiegoś święta narodowego. „Mam nadzieję, że w Szwajcarii odetchnę wreszcie od tego wszystkiego, dosyć to przygnębiające” - pomyślał doktor Brink.

Przenocowali w klinice. Doktora i porucznika Loewe umieszczono w małym hotelu gościnnym na terenie szpitala, a Rolfa jako pacjenta w specjalnie dla niego przygotowanym pokoju na oddziale ortopedii.

Wszyscy byli zmęczeni długą podróżą i podekscytowani czekającą ich nazajutrz drogą do Zurychu.

Doktor Brink mimo zmęczenia nie spał zbyt dobrze tej nocy. Długo nie mógł zasnąć, ale ku swojemu zdziwieniu obudził się rześki i wypoczęty. Wziął prysznic, ogolił się i poszedł do pokoju Rolfa, żeby zmienić mu opatrunek i przygotować go do drogi.

- Jak się spało, kapitanie? - zapytał od progu.

- Nie za bardzo, chyba za dużo spałem w pociągu po tych proskach, które mi pan zaaplikował. - Kapitan von Dornhoff roześmiał się. - Muszę chyba przestać to brać, bo całkiem mi się wszystko rozreguluje.

- To było tylko po to, żeby nie męczył się pan zbyt w podróży, kapitanie. Jak dojedziemy na miejsce, wszystko wróci do normy i mimo że nieraz będzie pana bolało, będzie pan musiał powoli zacząć się do tego przyzwyczajać. Rehabilitacja może być chwilami dosyć przykra...

- Zdaję sobie z tego sprawę, doktorze. Ale jestem na to przygotowany, bo mam nadzieję, że jej efekty będą tego warte.

- Za to rękę, kapitanie.

Rozdział 11

Po szybkim śniadaniu Johan Loewe zameldował, że ambulans jest gotowy do drogi. Kierownik kliniki, pułkownik Wenzel, przyszedł sprawdzić, czy wszystko jest w porządku i czy jego pacjent oraz towarzyszący mu goście są zadowoleni z przyjęcia w jego placówce. Odnosił się z wielkim szacunkiem do kapitana von Dornhoff - był chyba przygotowany na tę wizytę i chciał sprawić jak najlepsze wrażenie. Widać było wyraźnie, że ktoś bardzo wpływowy musiał do niego dzwonić w tej sprawie i że był to ktoś, kogo prośby nie można było zlekceważyć.

Rolf wymienił z doktorem Brinkiem porozumiewawcze spojrzenie i uśmiechnął się do pułkownika Wenzla.

- Tak, panie pułkowniku, dziękujemy panu bardzo za okazaną nam pomoc i zapewniam, że wszystko było w jak najlepszym porządku. Nie omieszkam o tym zameldować pańskiemu przełożonemu i również podziękować mu za wsparcie.

Pożegnali się szybko, pułkownik Wenzel nie zapomniał oczywiście o sakramentalnym „Heil Hitler”, na które z dużym zapałem odpowiedział mu Johan Loewe, i ambulans ruszył w drogę. Kierowali się na południowy zachód. Johan siedział z kierowcą w kabinie, a Rolf, ułożony wygodnie na przytwierdzonych do ściany ambulansu noszach, miał znowu sposobność do swobodnej rozmowy z towarzyszącym mu doktorem Brinkiem.

- Wszystko jak do tej pory idzie zgodnie z planem, mam nadzieję, że tak będzie do końca - zaczął doktor.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości, doktorze. Mamy takie podpisy na naszych dokumentach podróжных, że chyba nikt nie odważy się ich zakwestionować. A gdyby nawet, to wystarczy jeden telefon... Wie pan, doktorze, nie mogę się już doczekać chwili, gdy znowu stanę na dwóch nogach, nawet biorąc pod uwagę, że jedna z tych nóg będzie protezą.

- Cierpliwości, kapitanie. Czekają nas ciężka praca, ale gwarantuję, że za trzy miesiące będzie pan już stawiał pierwsze kroki...

Gdy wyjechali poza Monachium, na drogach zrobiło się pusto i poruszali się bez przeszkód, zatrzymywani tylko czasami przez wojskowe patrole, przeważnie wtedy, gdy musieli przejeżdżać przez jakieś miasto.

Johan Loewe i jego mundur SS zawsze robiły na kontrolujących duże wrażenie, a okazywane przez niego dokumenty, zaopatrzone w magiczny podpis na dole, odbierały im

ochotę do dalszej kontroli. Do środka ambulansu, tam gdzie siedzieli Rolf i doktor Brink, nikt nawet nie zajrzał i koło południa wjechali do Mammingen, gdzie planowali krótki postój. A stamtąd było już tylko około osiemdziesięciu kilometrów do granicy ze Szwajcarią. Stanęli na parkingu obok dużego gasthausu i po szybkim posiłku, który Rolf spożył na swoich noszach w ambulansie, ruszyli dalej.

Pozostała część podróży upłynęła im bez przeszkód i tuż przed czternastą pojawili się w Dornbirn, na niemieckim posterunku granicznym. Porucznik Loewe wysiadł z szoferki z dokumentami podróźnymi, a Rolf z doktorem Brinkiem siedzieli w ambulansie i czekali na wyniki jego rozmów z dowódcą posterunku granicznego.

Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich niemłody już człowiek w randze kapitana, któremu towarzyszył porucznik Loewe oraz dwóch wartowników pod bronią.

- Witam panów, jestem kapitan Reinhart. Przepraszam za kłopot, mam obowiązek sprawdzić dokumenty. Porucznik Loewe wszystko mi wyjaśnił, ale przepisy są w tym względzie wyraźne. Proszę panów o okazanie paszportów i rozkazu wyjazdu w przypadku pana kapitana doktora Brinka. Zgaduję, że to pan?

- Tak, kapitanie, to ja - powiedział Otton Brink i wręczył mu rozkaz wyjazdu i swój paszport.

Kapitan uważnie przeczytał rozkaz wyjazdu, zerknął w paszport, popatrzył na zdjęcie, przeniósł wzrok na doktora i powiedział:

- Wszystko się zgadza, dziękuję panu, doktorze Brink. Dokumenty pacjenta, pana Rolfa von Dornhoff, już widziałem - miło mi pana poznać, baronie. Jak pańskie samopoczucie po tak długiej podróży?

- Dziękuję, jakoś wytrzymałem, chociaż wytrzęsło mnie trochę na tym ostatnim odcinku - odpowiedział z uprzejmym uśmiechem Rolf.

- Domyślam się, te lokalne drogi nie są momentami najlepsze. No cóż, wszystko w porządku, nie będę panów dłużej zatrzymywał. Życzę szybkiego powrotu do zdrowia, kapitanie von Dornhoff. Heil Hitler!

Odwrócił się i energicznym krokiem wrócił do wartowni.

Otton Brink odetchnął z ulgą i popatrzył na Rolfa z niemym pytaniem. Tamten odpowiedział lekkim uśmiechem i powiedział:

- Jak pan widzi, nie było się czym martwić, za pół godziny będziemy w Szwajcarii. Widzę, że nawet nie wiedział pan, doktorze, iż podróżuje w towarzystwie barona?

- Tak, jestem zaskoczony i zaszczyczony jednocześnie. Nigdy pan o tym nie wspominał kapitanie, o, przepraszam, baronie von Dornhoff...

- Proszę dać spokój, doktorze... To tylko Johan postanowił tak sobie zażartować dla zrobienia większego wrażenia. Osobiście nie przywiązuję do tego żadnej wagi, chociaż podobno odziedziczył kiedyś ten tytuł po moim ojcu. Jak pan zapewne wie, w bawarii mamy sporo takich utytułowanych rodów. Lokalny zwyczaj...

Z wartowni wyszedł porucznik Loewe i podszedł do ambulansu.

- Wszystko gotowe, kapitanie von Dornhoff, możemy ruszać.

- Bardzo dobrze, jedźmy zatem, szkoda czasu.

Johan zamknął drzwi, wszedł do szoferki i ambulans ruszył powoli w kierunku przejścia granicznego, przy którym dumnie powiewała chorągiew z czarną swastyką. Dwóch wartowników zsalutowało i ciężki szlaban pomalowany w żółto-czarne pasy podniósł się powoli. Ambulans przyspieszył, wjechał na most i wreszcie opuścił teren III Rzeszy. Otton Brink poczuł się tak, jakby wielki kamień spadł mu z piersi, gdy na parkingu przed szwajcarskim posterunkiem granicznym zobaczył czekającego na nich Roberta Duffrie.

Już od dawna spotkanie kogoś nie sprawiło mu takiej radości jak ta, którą poczuł na widok swojego starego przyjaciela. Uściskali się serdecznie, po czym przedstawił go reszcie towarzystwa.

Robert Duffrie, który był człowiekiem niezwykle konkretnym i nie lubił marnować czasu, natychmiast przejął inicjatywę.

- Proszę panów - powiedział - po kontroli paszportowej proponuję szybko przenieść pana von Dornhoff do mojego samochodu i ruszamy. Do Zurychu mamy stąd około stu kilometrów, powinniśmy za dwie godziny być na miejscu, w klinice. Tam już na nas czekają.

Tak też zrobili i w ciągu pół godziny byli gotowi do drogi. Rolf zamienił na uboczu parę zdań z Johanem Loewe. Porucznik słuchał uważnie, notował coś w swoim notatniku, a gdy skończyli, pożegnał się ze wszystkimi i wszedł do ambulansu. Pomachał im przez szybę na pożegnanie i razem z kierowcą pojechali z powrotem w kierunku niemieckiej granicy.

A Robert Duffrie i Otton Brink wsiedli do samochodu, w którym wygodnie ułożony na tylnym siedzeniu spoczywał już Rolf von Dornhoff, i ruszyli w kierunku Zurychu.

To była najprzyjemniejsza część podróży dla doktora Brinka. Emocje związane z niejasno przeczuwanymi kłopotami z opuszczeniem Rzeszy wreszcie z niego opadły. Przed przekroczeniem granicy niemieckiej czuł się tak, jakby próbował uciec ze strzeżonego obozu. Bał się, że ktoś rozszyfruje jego zamiary i będzie starał się mu w tym za wszelką cenę przeszkodzić.

Na szczęście jego obawy okazały się bezpodstawne i uczucie osaczenia, które go gnębiło od czasu powrotu do Berlina, całkowicie gdzieś wyparowało. „Chyba zaczęły się już

we mnie rozwijać początki paranoi” - pomyślał i zaśmiał się sam z siebie.

- Z czego się pan śmieje, doktorze? - zapytał z tylnego siedzenia Rolf, który obserwował go uważnie od dłuższego czasu.

Otton Brink odwrócił się w jego stronę i zaskoczony nie bardzo wiedział w pierwszej chwili, jak odpowiedzieć na to pytanie.

- Myślę, że winieniem panu szczerą, kapitanie - odparł po krótkiej chwili. - Może się to panu wydawać trochę irracjonalne, ale miałem pewne obawy, czy uda nam się wyjechać z Niemiec. Od dłuższego czasu, a dokładnie od dnia mojego powrotu do Berlina, trapiło mnie dziwne uczucie osaczenia. Czuję się tak, jakbym był bez przerwy przez kogoś obserwowany. Teraz to uczucie minęło i gdy o tym pomyślałem, wydało mi się, że miałem początki paranoi. i to właśnie mnie rozśmieszyło.

Robert Duffrie, który nie brał do tej pory udziału w rozmowie zajęty prowadzeniem samochodu, odwrócił się na moment do doktora Brinka i powiedział:

- Było aż tak źle, Ottonie? Wyczuwałem coś takiego w twoim głosie, gdy do mnie dzwoniłeś, ale nie brałem tego zbyt poważnie.

- Obawiam się, że doktor Brink miał wiele powodów, żeby tak właśnie się czuć - odezwał się z tylnego siedzenia Rolf. - i sądzę, że jego obawy nie były bezpodstawne. Nie chciałem o tym z panem mówić, doktorze, żeby nie wywoływać paniki, ale sądzę, że sugestia mojego wuja, żeby przyspieszyć nasz wyjazd, była dobrze uzasadniona. Za kilka tygodni mogłoby się nam to nie udać. bitwa pod Stalingradem jest praktycznie przegrana mimo tego, co trąbi nasza propaganda, a gdy ta klęska stanie się faktem, posypią się głowy i zacznie się polowanie na winnych w najwyższym dowództwie. być może za kilka tygodni nie będzie już nikogo, kto mógłby podpisać pański rozkaz wyjazdu z pacjentem do Szwajcarii. Mogłoby to zostać potraktowane jako próba ucieczki z tonącego okrętu... Dlatego nalegałem, żebyśmy to zrobili jak najszybciej.

- Z tego, co pan mówi, kapitanie von Dornhoff, wynika, że wszystko wygląda zupełnie inaczej, niż próbuje się to nam wmówić. Miałem takie przeczucie, ale nie sądziłem, że jest aż tak niedobrze. Ale cieszę się przynajmniej, że to jednak nie była paranoja.

- Na pewno nie i przekona się pan wkrótce, że miałem rację. Ale mam jedną propozycję - skoro już jesteśmy w Szwajcarii, to chyba najwyższy czas, żebyście przestali mnie panowie tytułować kapitanem. Kapitan bez jednej nogi źle się kojarzy i może tutaj budzić niepotrzebne zainteresowanie. A tego epizodu z mojego życia nie mam zamiaru szczególnie nagłaśniać. W końcu jestem również obywatelem Szwajcarii i nie wiem, czy byłoby to mile widziane...

- Skoro tak, to jak mamy się do pana zwracać? - zapytał Robert Duffrie.

- Po prostu Rolf, o ile doktor Brink nie będzie miał nic przeciwko temu, w końcu on też jest kapitanem i to w czynnej służbie, a nie w rezerwie tak jak ja.

Zaśmiali się wszyscy jak z dobrego żartu.

- Oczywiście, że nie, będę zaszczycony, Rolfe. Mów mi proszę Otton. A oficjalny bruderszaft wypijemy, jak dostaniesz swoją pierwszą protezę.

- Trzymam cię zatem za słowo, Ottonie.

Po dwóch godzinach wjechali na przedmieścia Zurychu i zatrzymali się na parkingu niewielkiej, ale imponującej nowoczesnością i rozmachem kliniki.

- No to jesteśmy w domu - powiedział Otton Brink i powoli wysiadł z samochodu.

Rozdział 12

Następnych kilka tygodni Rolf von Dornhoff spędził w klinice. Okazało się, że będzie potrzebna jeszcze jedna, raczej kosmetyczna, operacja w celu poprawienia szwów i przesunięcia ich w trochę inne miejsce. Wykonał ją zespół kliniki pod nadzorem doktora Brinka, który jak się okazało, był tam dobrze znanym i cenionym specjalistą. Znano go z wielu osiągnięć w dziedzinie ortopedii i związanej z nią protetyki kończyn.

Nowe szwy goiły się bardzo szybko i pod koniec stycznia Robert Duffrie przystąpił do pierwszych pomiarów kończyny i przygotował projekt wstępnej protezy. W tym czasie doktor Brink zamieszkał w dużej i luksusowo wyposażonej willi na przedmieściach Zurychu, należącej do kogoś z licznej rodziny Rolfa von Dornhoff i oddanej mu do jego dyspozycji.

Wzbraniał się przed tym przez dłuższy czas - planował wynajęcie jakiegoś samodzielnego apartamentu, ale Rolf nalegał i w końcu Otton Brink się zgodził.

- Ottonie, nie musisz mieć żadnych skrupułów - przekonywał go Rolf. - Willa i tak stoi cały czas pusta, ja jestem jedynym spadkobiercą i stryj będzie zachwycony, że ktoś tam zamieszka. Zrobisz mi tym ogromną przyjemność i nie próbuj mi za to dziękować, bo to ja cały czas czuję się twoim dłużnikiem. Chcę, żebyś tam zamieszkał ze mną do końca mojej kuracji. Proszę, zgódź się...

- Sam nie wiem, co zrobić, Rolfe, nie chciałbym ci w niczym zawadzać i przyznam też, że nie jestem przyzwyczajony do dzielenia z kimś mieszkania. Krępowałoby mnie to.

- Przyjacielu, rozumiem cię doskonale, ale willa jest na tyle duża, że nawet gdy już wyjdę z kliniki, starczy tam miejsca dla nas obu. Możesz zająć całe lewe skrzydło, nie było używane od lat, ale wystarczy zdjąć pokrowce z mebli i odkurzyć. i będziesz tam miał swoje własne, niezależne wejście. Nikt nie ośmieli się naruszyć twojej prywatności. - Rolf zaśmiał się.

Doktor Brink w końcu uległ namowom i po kilku dniach, wbrew swoim obawom, przyzwyczał się do nowego lokum. było stamtąd bardzo blisko do kliniki i niewiele dalej do zakładu protez Roberta Duffrie, co okazało się kolejnym atutem tego miejsca. Otton rozkoszował się spokojem panującym w Zurychu i całkowitym brakiem jakichkolwiek oznak wojny, toczącej się w ogarniętej pożogą Europie.

Większość dnia spędzał w klinice z Rolfem, pracując nad poprawą ruchliwości zastałego stawu kolanowego i odbudowaniem zanikających mięśni. Ciężka praca w sali rehabilitacyjnej, dziesiątki godzin spędzonych na wspólnych ćwiczeniach i okupionych

litrami potu i bólem towarzyszącym rozciąganiu skurczonych więzadeł kikuta i wzmacnianiu mięśni przyniosły jednak efekty.

W połowie lutego Rolf von Dornhoff stanął ponownie na dwóch nogach, podziwiając w lustrze dzieło Roberta Duffrie.

Tego samego dnia opuścił klinikę, przeniósł się do swojej willi i zaczął pod okiem doktora Brinka naukę chodzenia. A następnego dnia przyszła do niego depesza z informacją o klęsce wojsk niemieckich pod Stalingradem.

Żadna z bojowych dywizji nie wydostała się ze stalingradzkiego kotła, a dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi i całe dowództwo z generałem von Paulusem na czele dostało się do niewoli rosyjskiej.

- Jak widzisz, mieliśmy szczęście, Ottonie - powiedział Rolf któregoś dnia. - Gdybyśmy czekali z wyjazdem do połowy lutego, tak jak planowałeś, pewnie byśmy już nie wyjechali. Może mnie by się udało, jestem już tylko rezerwistą i kaleką bez wartości dla wojennej maszyny, ale twojego rozkazu wyjazdu chyba nikt by w tej sytuacji nie podpisał. Myślę, że to dobra okazja, żeby wypić ten nasz zaległy bruderszaft, Ottonie.

Doktor Brink z radością przystał na tę propozycję. Zadzwonili po Roberta, żeby razem z nimi spędził ten wieczór, i do późnej nocy siedzieli w salonie, wspominając wspólnie wydarzenia ostatnich kilku miesięcy i snując domysły co do dalszego rozwoju wojny, która, jak przewidywali, kiedyś musiała się mimo wszystko zakończyć...

* * *

W Niemczech po klęsce stalingradzkiej rozpętało się piekło. Hitler szalał i tak jak to zapowiadał Rolf, zaczęło się szukanie winnych i polowanie na czarownice. Odwrót z frontu wschodniego wkrótce stał się faktem i informacje o tych wydarzeniach, które w jakiś tajemniczy sposób ciągle dochodziły do Rolfa i którymi dzielił się szczerze z doktorem Brinkiem, kreśliły ponury obraz tego, jak ta cała awantura może się zakończyć.

Dużo w tym okresie dyskutowali o możliwych losach wojny i przyszłości Niemiec i obaj zgadzali się co do tego, że dopóki się to wszystko nie wyjaśni, o powrocie do Rzeszy trzeba raczej zapomnieć.

- Ależ ja byłem głupi, Ottonie. Dałem się złapać na te ideologiczne brednie o Tysiącletniej Rzeszy i wydawało mi się, że biorę udział w budowaniu czegoś, co będzie podziwiane przez resztę świata. Sam dziś nie mogę w to uwierzyć i nie wiem, jak to się stało, ale pozwoliłem się opętać temu szaleńcowi do tego stopnia, że zgłosiłem się na ochotnika na front wschodni. Dopiero wtedy, gdy z racji mojej pozycji w SS zaczęły do mnie docierać informacje demaskujące tę całą demagogiczną bzdurę i szaleństwo ludzi, którzy za nią stali,

zrozumiałem, że dałem się oszukać. Ja, idealista, ochotnik, musiałem stracić nogę na niemieckiej minie gdzieś pod Woroneżem i otrzeć się o śmierć, żeby to wszystko zrozumieć. Twoje zdrowie, Ottonie.

Okazało się, że mieli w tym wszystkim trochę szczęścia. W tym całym bałaganie po szoku stalingradzkim chyba o nich w Berlinie zapomniano. Po zapowiadane przez pułkownika Wenzla raporty z postępów w rehabilitacji nikt się do doktora Brinka nie zgłosił, a losami pozbawionego przez III Rzeszę nogi Rolfa von Dornhoff też nikt się najwyraźniej nie interesował.

Doktor Brink tak na wszelki wypadek zapuścił brodę i wąsy. bardzo to zmieniło jego wygląd, ale Rolf śmiał się z tego przyjaźnie i często powtarzał:

- Ottonie, gdyby cię naprawdę chcieli znaleźć, nie byłoby to dla nich żadną przeszkodą, możesz mi wierzyć. Po prostu mają teraz inne, dużo ważniejsze sprawy na głowie. Cieszymy się i korzystajmy z uroków tego pięknego kraju i z tego, że udało się nam umknąć z rąk szaleńca.

I tak też postępowali. Nauka chodzenia na wstępnej protezie już po pół roku dała zdumiewające rezultaty. Ktoś, kto nie wiedział o tym, że Rolf von Dornhoff nie ma jednej nogi, nie byłby w stanie tego zauważyć, gdyby oceniał tylko po tym, jak Rolf się poruszał. bardzo nieznacznie utykał, ale chodził energicznie, i to nawet po schodach. W ogóle nie sprawiał wrażenia osoby, której by czegoś brakowało. był bardzo zadowolony i wróciła mu dawna radość życia. A mimo to doktor Brink bez przerwy powtarzał:

- Za pół roku, drogi Rolfe, jak już twoja noga się ustabilizuje i stawy przyzwyczają się do nowej sytuacji, dostaniesz prawidłową protezę. Robert już pracuje nad jej projektem i zapewnia, że będzie to prawdziwy cud techniki, proteza, jakiej jeszcze nikt nie wykonał. Same najnowsze zdobycze protetyki, w tym ruchomy staw skokowy z regulacją. Dopiero wtedy zobaczysz, co znaczą słowa, które kiedyś do ciebie skierowałem, a które mówiły o tym, co to jest dla mnie koniec rehabilitacji. Ale na to musimy jeszcze poczekać.

- Tak, teraz to dopiero zaczynam rozumieć, Ottonie, po roku od chwili, gdy w tak głupi i niepotrzebny sposób straciłem swoją nogę. Ale przyznaję, że miałeś rację. Już teraz momentami zapominam, że używam protezy.

Rozdział 13

I tak ich życie toczyło się dalej w oczekiwaniu na kolejne etapy wyznaczające postęp w rehabilitacji i powoli przywracające Rolfowi wiarę w to, że młody, energiczny i wysportowany mężczyzna może wieść normalne życie bez jednej nogi.

Z dnia na dzień poruszał się coraz sprawniej i uparcie, aż do bólu, ćwiczył wchodzenie po schodach, co stało się widać dla niego wyznacznikiem stanu jego sprawności fizycznej. Otton Brink podziwiał jego siłę woli i determinację. Regularnie sprawdzał stan jego nogi w miejscu osadzenia w protezie, robił jakieś notatki i spędzał dużo czasu w pracowni Roberta Duffrie.

Często też wzywano go do kliniki jako konsultanta w szczególnie trudnych i skomplikowanych przypadkach. Angażował się w to chętnie i kiedy tylko miał okazję, brał udział w operacjach, stosując swoje metody, które budziły podziw wśród młodszych lekarzy.

Jego sława i uznanie, jakimi się cieszył, nie pozostały bez echa. Pod koniec 1943 roku doktor Brink dostał propozycję objęcia posady naczelnego chirurga w klinice, w której kiedyś odbywał swoją praktykę dyplomową i z którą wiązał tak wielkie nadzieje.

Rolf obserwował z satysfakcją, jak rozwija się kariera jego przyjaciela, i któregoś dnia powiedział:

- Ty chyba już nigdy nie wrócisz do Niemiec, Ottonie, nawet gdy skończy się wojna. Wydaje mi się, że znalazłeś swoje miejsce w życiu.

- Tak, chyba masz rację, przyjacielu. Czuję się tu znakomicie, robię to, co lubię robić, i rozwijam się tak, jak to sobie kiedyś zaplanowałem. Nie tęsknię za powrotem do Niemiec, nic dobrego tam na mnie nie czeka. Aż sam się dziwię, jak szybko Zurych stał się moim drugim domem.

- Mam nieodparte wrażenie, że te twoje uczucia w jakiś dziwny sposób związane są z twoją ostatnią pacjentką, której kolano i staw skokowy z takim zapalem starasz się doprowadzić do stanu pełnej używalności po tym nieszczęśliwym wypadku na nartach, jakiego doznała. - Rolf roześmiał się.

- Widzę, że tu wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą, więc nie będę ukrywał, że od pewnego czasu z panną Eriką, bo tak ma na imię ta urocza młoda dama, łączą mnie pewne osobiste więzy. No cóż, może zbyt wiele czasu poświęciłem, badając jej staw biodrowy, który okazał się na szczęście być w zupełnym porządku... Ale zmieniając temat, Rolfe, mam dla ciebie wiadomość - Robert Duffrie ma jutro przynieść twoją nową protezę. Miała być gotowa

dopiero po Nowym Roku, ale postanowiliśmy ci zrobić niespodziankę. Potraktuj to jako nasz wspólny prezent pod choinkę.

- Wspaniale! Nie mogę się tego doczekać i ta wiadomość jest rzeczywiście najpiękniejszym prezentem, jaki mogliście mi zrobić.

Następnego dnia punktualnie o dziewiątej rano w drzwiach pojawił się Robert Duffrie z dużym, podłużnym pakunkiem pod pachą.

Rolf i Otton Brink już na niego czekali i nie pozwolili mu nawet na chwilę zwłoki. Robert otworzył kartonowe opakowanie i ich oczom ukazała się nowa noga Rolfa von Dornhoff.

Tak jak zapowiadał Otton, był to jak na owe czasy prawdziwy cud techniki. Proteza miała ruchomy staw skokowy, z układem sprężyn i cięgieł wykonanych według projektu Roberta i symulujących układ ruchowy ludzkiej stopy, a dwie boczne szyny, zachodzące aż do połowy uda i zaopatrzone w obrotowe zawiasy, stabilizowały i wspomagały staw kolanowy. Wszystko to zamknięte w elastycznej powłoce wieńczyło dzieło, któremu dorównać mogła tylko prawdziwa noga.

Proteza była bardzo lekka i pasowała na nogę Rolfa tak jak dobry but od najlepszego szewca. Przymierzyli ją natychmiast, Robert zrobił szybko kilka koniecznych według niego poprawek, coś tam dokręcił, coś poluzował i po pięciu minutach Rolf von Dornhoff stał na czymś, co miało mu przez wiele następnych lat zastępować jego prawdziwą nogę.

Od tego dnia ćwiczył jeszcze bardziej zapamiętałe, a wiosną 1944 roku - dokładnie tak, jak to przewidział Otton Brink - jeździł już na rowerze i razem z nim oraz jego narzeczoną, Eriką Sommer, chodził na piesze wycieczki w dolne partie Alp, niedaleko Zurychu.

Spotykani na trasach turyści z zazdrością obserwowali dwóch wysokich, szczupłych mężczyzn, poruszających się sprawnie po szlakach w towarzystwie pięknej, roześmianej młodej kobiety, ale nikomu nie przyszło do głowy, że jeden z tych mężczyzn poruszał się za pomocą protezy. Podczas jednej z takich wypraw, gdy siedzieli na drewnianym, jodłowym balu i odpoczywali po wyczerpującym marszu pod górę, Otton Brink popatrzył z uśmiechem na swojego przyjaciela i powiedział:

- Twoja rehabilitacja jest zakończona, Rolfe von Dornhoff, i nasze drogi muszą się rozejść. Ja i Erika postanowiliśmy się pobrać - jesteś pierwszą osobą, której o tym mówimy.

- To wspaniała wiadomość, gratuluję wam obojgu i cieszę się razem z wami. Mam nadzieję, że pozostaniemy na zawsze przyjaciółmi?

- To oczywiste i pamiętaj, że będę do Twojej dyspozycji, kiedy tylko będziesz mnie

potrzebował, ale teraz musisz chyba ustąpić pierwszeństwa Erice. Nie wiem, czy zgodziłaby się na inny układ...

- Ottonie, poświęciłeś mi dwa lata swojego życia, to dużo więcej, niż mogłem od kogokolwiek się spodziewać. Ciągłe jestem twoim dłużnikiem i chyba już tak pozostanie.

- Nie mówmy o tym, proszę. Los dziwnie poplątał nasze drogi życiowe, to wszystko. Tak to się jakoś złożyło, bez naszego wpływu na pewne wydarzenia, więc nie mówmy, kto tu jest czyim dłużnikiem, bo ja mam na ten temat zupełnie inne zdanie.

- Skoro tak, to uznajmy chociaż, że wzajemna przyjaźń jest czymś, co jesteśmy sobie winni bez żadnych wątpliwości.

- Tak, na to mogę się zgodzić, Rolfe von Dornhoff - odpowiedział, śmiejąc się, Otton Brink i ruszyli w drogę powrotną.

* * *

Czas od tej chwili zaczął im płynąć bardzo szybko. Doktor Brink po zaślubieniu Eriki przeprowadził się do jej rodzinnej willi po drugiej stronie Zurychu i widywał się z Rolfem regularnie, ale już nie tak często jak poprzednio.

- Ta proteza powinna wystarczyć ci co najmniej na następne pięć lat, Rolfe - powiedział kiedyś podczas rutynowej kontroli stanu nogi i dopasowanej do niej protezy.

- A co później?

- Będziesz musiał przychodzić do mnie na rutynowe badania przynajmniej raz do roku. Gdy uznamy, że przyszła pora na nową protezę, zamówimy ją z wyprzedzeniem w zakładzie Roberta. To spory wydatek, ale opłaci się, a ty chyba, na szczęście, nie musisz oszczędzać na takich rzeczach. Pamiętaj, że każda następna proteza będzie lepsza od poprzedniej. Robert stale pracuje nad nowymi rozwiązaniami i śledzi regularnie światowe postępy w tej dziedzinie inżynierii. Myślę, że za pięć lat to, co ci będzie mógł zaproponować, będzie się bardzo różniło od protezy, której w tej chwili używasz. A co nowego w naszej Rzeszy? Zgaduję, że masz jak zwykle aktualne i poufne wieści, których nie rozgłasza za bardzo oficjalna propaganda?

- No cóż, Ottonie, wygląda na to, że dostajemy baty na wszystkich frontach i koniec wojny zbliża się nieuchronnie. Alianci wylądowali na plażach Normandii i podobno planujemy wielką kontrofensywę, ale moim zdaniem nic z tego nie wyjdzie i przyspieszy to tylko moment ostatecznej klęski. W Rosji ponieśliśmy sromotną porażkę, obecnie wycofujemy się z Polski pod naporem Rosjan i ich sprzymierzeńców. Ich wojska wkrótce staną na linii Odry, a stamtąd do Berlina jest już tylko około stu kilometrów. Wygląda mi to na koniec wielkich, niemieckich marzeń o Tysiącletniej Rzeszy, mój przyjacielu.

- Cieszy mnie to, bo zawsze uważałem, że ta wojna to jakaś tragiczna pomyłka. Szkoda mi tylko tych wszystkich ludzi, wplątanych w tę zawieruchę bez swojej woli, pozbawionych jakichkolwiek możliwości decydowania o swoim losie. My mieliśmy trochę więcej szczęścia...

- To jest niestety cena, jaką Europa musi zapłacić za obłąd szaleńca, który zdołał przekonać wielki naród do tego, żeby poszedł jego śladem.

- Nie widzę w tobie żalu z powodu tej wielkiej niemieckiej tragedii, Rolfe. - Otton Brink zaśmiał się sarkastycznie.

- No cóż, nie zapominaj, że w końcu jestem bawarczykiem, a nie Niemcem. Nie ja to wszystko wymyśliłem i przyznaję, że dałem się złapać na początku na tę szaleńczą ideologię, ale jakoś udało mi się z tego wyplątać. Ceną za to była moja noga.

- Skoro o tym mówimy, to co zamierzasz? Ciągłe myślisz o odzyskaniu twoich szczątków pochowanych nad rzeką Pisą?

- Nigdy nie przestanę o tym myśleć, Ottonie. Stało się to moją obsesją i dopóki żyję, nie zrezygnuję z mojego planu. Ale nie jestem szaleńcem i rozumiem, że na razie muszę się z tym wstrzymać. Mogę mieć tylko nadzieję, że ta wojna wreszcie się skończy i powróci do nas normalne życie. A w normalnym życiu ludzie jeżdżą po świecie i bywają w różnych miejscach, również w Polsce...

- Tak, chyba masz rację, mam nadzieję, a nawet pewność, że uda ci się to kiedyś zrealizować. Tylko jeszcze nie teraz, drogi przyjacielu, nie teraz...

Okazało się, że Rolf von Dornhoff miał doskonałe wyczucie polityczne i przewidział losy wojny niezwykle trafnie. Dokładnie osiem miesięcy po tej rozmowie Rosjanie zdobyli Berlin i Niemcy podpisały akt kapitulacji.

Maj 1945 roku zmienił wszystko w życiu wielu ludzi i miesiące, które po nim nastąpiły, odsłoniły cały bezmiar zniszczeń i ludzkich tragedii spowodowanych wojenną pożogą. Niemcy zaczęły płacić rachunek za swoje marzenia o Tysiącletniej Rzeszy.

Rozdział 14

Minęło kilka lat i pewnego niedzielnego popołudnia na podjazd willi, którą zamieszkiwał doktor Brink wraz ze swoją piękną żoną Eriką Sommer, podjechał wielki, połyskujący chromami motocykl. Kierujący nim wysoki, odziany w czarny, skórzany kombinezon, pilotkę i lotnicze gogle mężczyzna oparł go na bocznym podnóżku, zsiadł z niego i szybko pokonał kilka schodów dzielących go od drzwi wejściowych. Nie zdążył użyć starej, misternie odlanej mosiężnej kołatki, gdyż drzwi gwałtownie się otworzyły i stanął w nich Otton Brink.

- Czy moje oczy mnie zawodzą, czy też mój przyjaciel, Rolf von Dornhoff po raz kolejny postanowił udowodnić, że wszystko jest dla niego możliwe? Czy to na pewno ty, Rolfe? - zapytał.

Motocyklista ściągnął z głowy gogle i pilotkę, uśmiechnął się szeroko, tak jak to potrafił zrobić ktoś, kto jest bardzo szczęśliwy, i wziął doktora Brinka w ramiona.

- Witaj, drogi Ottonie, dawno się nie widzieliśmy i postanowiłem cię odwiedzić. No i przy okazji pochwalić się nowo pozyskaną sprawnością kaleki - jak widzisz, z moją ostatnią protezą mogę jeździć na tym stalowym rumaku!

- Podziwiam cię, Rolfe, i cieszę się razem z tobą. A cóż to za piękny motocykl, na którym przyjechałeś? Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Pozwól, że obejrzę z bliska.

Zeszli na podjazd i doktor Brink z ciekawością oglądał to „coś, czego jeszcze nigdy nie widział”. Motocykl był wielki, ale miał niezwykle smukłą sylwetkę. Nisko osadzony, dwucylindrowy silnik w układzie V imponował zwartością swojej bryły, a całość błyszczała w świetle zachodzącego słońca chromami i pięknym, metaliczno-niebieskim lakierem. Po obu stronach zbiornika paliwa były widoczne wytłaczane, stylizowane napisy.

- HarleyDavidson - przeczytał doktor Brink. - To ciekawe, jeździsz amerykańskim motocyklem? Spodziewałbym się raczej bmw lub jakiegoś zundappa...

- To nie jest zwykły motocykl, przyjacielu - roześmiał się nieco ironicznie Rolf - patrzysz na „amerykańskie marzenie o wolności”. Spodobał mi się, gdy go tylko zobaczyłem, i natychmiast postanowiłem, że będzie mój. Właśnie wczoraj mi go dostarczono, prosto z Ameryki, jeszcze pachnie fabryką. - Z czułością pogłaskał czarne, skórzane siedzenie. - A na bmw i zundappy napatrzyłem się w czasie wojny...

Otton Brink spojrział jeszcze raz z wyraźnym podziwem na imponujący pojazd i powiedział:

- Wejdźmy do środka, Rolfe, dawno się nie widzieliśmy, na pewno mamy dużo do pogadania. Co u ciebie, poza tym, że jeździsz na motocyklu? Jak się sprawuje twoja ostatnio zrobiona proteza?

- Jest wspaniała, Ottonie. Trochę trwało, zanim się przyzwyczałem do niej i do możliwości, jakie oferuje, ale jak widzisz, teraz już nawet nie utykam. Robert Duffrie jest cudotwórcą.

- Cieszę się bardzo. A jak twoje plany powrotu do Niemiec? Nie zmieniłeś zdania?

- Wszystko jest na jak najlepszej drodze, Ottonie. Jak wiesz, w ciągu ostatnich dwóch lat byłem tam kilka razy i wydaje mi się, że to jest miejsce dla mnie. Uspokoilo się już tam po tych wszystkich wydarzeniach powojennych i Niemcy zajęli się odbudową tego, co sami przez swoją głupotę zniszczyli. Proces w Norymberdze już się dawno zakończył, winni ponieśli karę, a ja, jak wiesz, nigdy nie byłem na żadnej liście poszukiwanych zbrodniarzy wojennych, więc nie muszę się niczego obawiać. byłem oczywiście sprawdzany przez jakąś komisję aliancką, tak jak wszyscy, którzy służyli w SS i gestapo, ale moja karta jest czysta. Dwa lata na froncie wschodnim w jednostce liniowej i strata nogi na minie pod Woroneżem to wszystko, czego się dopatrzili, i zwolnili mnie z jakichkolwiek zarzutów. Jestem czysty jak łąza!

- Nie dziwię się, w końcu ty też jesteś, tak jak większość z nas, ofiarą tej wojny. A co planujesz zrobić w Niemczech po powrocie?

- Zajmę się pomnażaniem mojego majątku, Ottonie. - Rolf zaśmiał się. - Amerykanie realizują teraz w Niemczech coś, co się nazywa planem Marshalla, i inwestują wielkie fundusze w odbudowę zniszczonej infrastruktury naszego kraju. To są grube miliony dolarów, Ottonie, a ja mam nadzieję wyrwać z tego swoją część. bardzo się do tego zapaliłem i powoli zaczynam przygotowywać się do powrotu. Widzisz, tutaj, w Szwajcarii nie za bardzo mam co robić. Mógłbym tu wieść dostatnie, próżniacze życie zamożnego rentiera, to wszystko. To mały kraj, a ja potrzebuję przestrzeni i rozmachu, tutaj się duszę.

- Chyba cię rozumiem, Rolfe, i nie dziwię się. A czym dokładnie zamierzasz się zająć w Niemczech?

- Jak wiesz, jestem między innymi właścicielem dużej posiadłości pod Monachium. Odziedziczyłem ją niedawno po moim świętej pamięci wuju, Wilfriedzie von Crousaz, którego poznałeś w Berlinie, jeszcze przed naszym wyjazdem do Szwajcarii.

- Tego nie wiedziałem, Rolfe. To pułkownik von Crousaz nie żyje? Ogromnie mi przykro, domyślałem się, że bardzo nam wtedy pomógł. i chyba sporo ryzykował...

- Tak, to prawda, wykazał się wielką odwagą, narażając się wtedy dla nas, i bardzo

przeżyłem jego odejście. Stało się to w czasie mojego ostatniego pobytu w Niemczech. No cóż, takie jest życie. Wracając do moich planów, to zamierzam w odziedziczonej po nim posiadłości otworzyć wielką firmę transportową i włączyć się w program budowy autostrad w tym regionie. Wyobrażasz sobie to przedsięwzięcie, Ottonie? Setki, a nawet tysiące kilometrów nowych autostrad w całych Niemczech? Ktoś musi przecież przewieźć to wszystko, co jest potrzebne na takim placu budowy. Mam nadzieję, że moja firma weźmie w tym udział.

106

- Wspaniały plan, podziwiam twój zapał i energię, która cię napędza. Jestem pewien, że wszystko ci się znakomicie powiedzie, jak zwykle.

- Ja też mam tę pewność, Ottonie. Gdybym jej nie miał, nie zabierałbym się za coś takiego. Zdaję sobie sprawę, że konkurencja będzie ostra i zdobycie kontraktów i kredytów na rozwój takiej firmy nie będzie łatwe, ale jak wiesz, pochodzę z dużej rodziny o rozbudowanych koneksjach i dobrych znajomościach. Wojna tego nie zmieniła...

- Tak, to prawda, Rolfe. W takich interesach zawsze są potrzebne znajomości tam, gdzie podejmowane są jakieś decyzje. Tak to już na tym świecie jest.

- A co u ciebie Ottonie, co zamierzasz - nie sądzę, żebyś chciał powrócić do Niemiec?

- Oczywiście, że nie. Znalazłem tutaj wszystko, co jest mi potrzebne, i nie zamierzam niczego zmieniać. Mam pracę, która mnie pasjonuje, piękną i kochającą żonę, dostatek finansowy, czego jeszcze można chcieć od życia? Mogę powiedzieć, że w każdym względzie czuję się szczęśliwym i spełnionym człowiekiem. Nie wiem, czy wiesz, ale moje osiągnięcia w dziedzinie ortopedii i związanej z nią protetyki oraz rehabilitacji powoli zaczynają być znane na całym świecie. Razem z Robertem opatentowaliśmy ostatnio kilka unikalnych pomysłów, a ja zacząłem publikować swoje artykuły w specjalistycznych pismach medycznych w USA i dostaję zapytania z całego świata. A nasza klinika, jak pewnie sam zauważyłeś, rośnie i kolejka pacjentów oczekujących od nas pomocy wydłuża się w zastraszającym tempie. Większość z nich zresztą to ofiary tej nieszczęsnej wojny, która paradoksalnie wydaje się napędzać nam teraz wielu zamożnych klientów. Chyba będziemy musieli otworzyć kolejną filię...

- Jestem dumny, że mam takiego przyjaciela jak pan, doktorze Brink. - Rolf zaśmiał się. - Kiedy po raz pierwszy cię poznałem, Ottonie, gdy trawiony gorączką ocknąłem się na chwilę w twoim szpitalu polowym nad Pissą, tuż przed amputacją, od razu wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. i nie zawiodłem się.

- Tak, to było dziwne zrzędzenie losu i aż trudno uwierzyć, ale większość tego, co

zdarzyło się później w naszym życiu, było następstwem tego nieszczęśliwego wypadku.

- To prawda, Ottonie. A skoro już o tym mówimy, to uprzedzając twoje pytanie, które, jak cię znam, na pewno zaraz mi zadasz - zaśmiał się Rolf - mogę tylko potwierdzić, że nie zmieniłem swoich planów... Nie ma takiego dnia, żebym nie myślał o szczątkach swojej nogi i o tym, jak je odzyskać. Nawet udało mi się ostatnio zdobyć trochę informacji o tym miejscu od mojego starego znajomego, pewnego Holendra, który regularnie jeździ do Polski w interesach. Nie wtajemniczając go w szczegóły, określiłem miejsce szpitala polowego, prosząc, żeby zorientował się, jak ono teraz wygląda. Otóż ten człowiek twierdzi, że najprawdopodobniej nic się nie wydarzyło i wszystko wygląda prawie tak samo jak w czasie wojny. Są to typowe tereny rolnicze i nie zapowiada się, żeby planowano tam jakieś duże inwestycje, które mogłyby zburzyć spokój szczątków mojej nogi.

Przejeżdżał niedawno przez Łomżę i miał okazję widzieć te okolice na własne oczy, co mnie trochę uspokoiło. Ale jeszcze nie mogę tam pojechać, mój znajomy mi to odradza. Wiesz dobrze, co stało się po wojnie. Okazało się, że walcząc z Hitlerem i nazistami, zupełnie przeoczyliśmy coś, co wyrosło po tej wojnie na nowe imperium zła. Wyhodowaliśmy sobie komunizm, a Stalin okazał się być zbrodniarzem dorównującym naszemu Führerowi.

- Tak, widać zawsze musi być ktoś, z kim trzeba walczyć, bez tego nie byłoby polityki, mój przyjacielu. Co najgorsze, zawsze najbardziej cierpią na tym zwykli ludzie.

- Niestety, chyba nie potrafimy inaczej. Ale dla mnie w tej chwili najważniejsze jest to, że ta polityka, jak to nazwałeś, przeszkadza mi w zrealizowaniu mojego planu. Jak wiesz, w Polsce rządzą komuniści, dla których wojna chyba wciąż się nie skończyła. Mają obsesję na punkcie Niemców, zwłaszcza nazistów, czemu akurat się nie dziwię, i podobno nie traktują nas tam zbyt przyjaźnie. Chyba nie odważyłbym się teraz pojechać do Polski, za duże ryzyko. Wprawdzie zostałem oczyszczony z wszelkich możliwych zarzutów przez komisję aliancką, ale faktem jest, że służyłem w SS i na pewno moje nazwisko znajduje się na niejednej z oficjalnych list będących w ich posiadaniu. Pod Stalingradem cała dokumentacja sztabowa wpadła w ręce Sowieców i jestem pewien, że mają moje dokładne dane.

- Zapewne masz rację, Rolfe, wstrzymaj się jeszcze, nie warto pakować się w nowe kłopoty. Zwłaszcza z Sowiecami.

- Tak, będę cierpliwie czekał, aż sytuacja się poprawi. Mam nadzieję, że skrzynka amunicyjna, której użyłeś do symbolicznego pochowku mojej nogi, wytrzyma jeszcze trochę.

- Rolf von Dornhoff zaśmiał się.

- Za to ręczę, była to wyjątkowo solidna, metalowa skrzynka po pociskach do moździerza, nieprędko się rozpadnie...

Rozdział 15

Przez wiele następnych lat Rolf von Dornhoff z wielkim powodzeniem realizował swój plan zbudowania wielkiego biznesu. Jego firma transportowa, zlokalizowana w niewielkiej miejscowości pod Monachium, rozwijała się prężnie i stała się w tym czasie jedną z większych firm tego typu na terenie bawarii. Wyrosła na kontraktach związanych z budową autostrad i infrastruktury drogowej, a kiedy większość tych prac się skończyła, przeistoczyła się w firmę transportową, która po wybudowanych przez siebie drogach zaczęła wozić po Niemczech i całej Europie Zachodniej wszystko to, co tylko dało się przewieźć na kołach. Setki ciągników siodłowych woziły kontenery z jednego na drugi koniec Europy i stale pomnażały majątek firmy i jej właściciela.

Ale Rolf von Dornhoff się nie zmienił. Zawsze był bardzo zamożnym człowiekiem i majątek, który zgromadził, był tylko dodatkiem do tego, co już posiadał, zanim zaczął się bawić w prowadzenie swojej firmy.

Robił to wszystko, bo taką już miał naturę, że zawsze chciał sobie coś udowodnić. Niewątpliwie był człowiekiem sukcesu i jego osiągnięcia budziły dużo uznania, ale też sporo zazdrości wśród wielu osób z jego środowiska.

Ale jego nie interesowało to, co o nim i jego poczynaniach myśleli inni ludzie. Nie zwracał na nich uwagi i z lekceważeniem traktował to, co o nim mówiono. Z tego powodu nie był ulubieńcem tak zwanych wyższych sfer, mimo że z racji urodzenia, koligacji rodzinnych i majątku na pewno się do nich zaliczał. Uważał tych ludzi za próżniaków i głupców, zapatrzonych w przeszłość i marzących o powrocie idei wielkich Niemiec.

Otwarcie śmiał się z ich przekonań i bezlitośnie krytykował idiotów - jak ich nazywał - którzy doprowadzili do wybuchu wojny i rozpętali tę szaleńczą pogoń za nierealnym marzeniem o Tysiącletniej Rzeszy.

Publicznie wyrażał zdanie, że Hitler był chory psychicznie, i wyśmiewał tych wszystkich, którzy wzięli wariata za proroka. Wiele osób nienawidziło go za to i traktowało jak zdrajcę narodu niemieckiego, ale niewielu było takich, którzy ośmieliliby się powiedzieć mu to w oczy. Był bogaty, niezależny pod każdym względem i uchodził za porywczego. No i podczas wojny służył w SS, co nie było tajemnicą i co powodowało, że większość ludzi bała się go. Formacja SS przez wiele lat po wojnie ciągle uchodziła w Niemczech za coś w rodzaju tajnego bractwa, które miało duże wpływy w różnych środowiskach i z którym niebezpiecznie było zadzierać...

Wśród znajomych, których tolerował, miał opinię postępowego socjalisty, a rodzina uważała go za co najmniej ekscentryka i tłumaczyła wszystko szokiem związanym z wojną i utratą nogi. Czekali cierpliwie, aż Rolf von Dornhoff ożeni się i ustatkuje, ale nic takiego nie chciało się wydarzyć i powoli przyzwyczajali się do tej sytuacji.

On sam celebrował swoją niezależność i nie miał zamiaru robić niczego, co byłoby niezgodne z jego filozofią życiową tylko dlatego, że ktoś tego po nim oczekiwał. Gdy jego firma stała się już samonapędzającym się mechanizmem do robienia pieniędzy, powierzył jej kierowanie swojemu siostrzeńcowi, świeżo upieczonemu prawnikowi po Harvardzie, a sam zajął się tym, co go interesowało najbardziej, czyli swoim własnym życiem.

Uważał się za zapalonego sportsmena i powoli, ale uparcie przekraczał bariery, które stawiał przed nim fakt, że musiał używać protezy. Wiele czasu spędzał w Alpach na trasach, które nawet dla kogoś całkiem sprawnego i posiadającego obie nogi uważane były za trudne. Zimą jeździł z zapalem na nartach i był traktowany w większości szwajcarskich kurortów jak stały bywalec.

Rolf miał własny samolot, którym regularnie latał do Nicei, gdzie trzymał jacht pełnomorski. Spędzał na nim każdą wolną chwilę w sezonie letnim i, jak można się było spodziewać, zawsze kręciło się wokół niego dużo pięknych kobiet, polujących na bogatego męża i uważających go za doskonałego kandydata do tej roli. Ale żadnej nie udało się go do tego nakłonić.

Był zdeklarowanym kawalerem i nie miał zamiaru tego zmieniać. bezbłędnie wyczuwał moment, w którym zaczynał być traktowany jak zwierzyna łowna, i natychmiast kończył taki związek, zanim się on na dobre zaczął. Tolerował wokół siebie wyłącznie kobiety, które od początku potrafiły zaakceptować to, że Rolf von Dornhoff na męża się nie nadaje i nie ma zamiaru nim zostać. Nie zwracał uwagi na to, kim były i jaki był ich status społeczny, chciał się tylko dobrze bawić w ich towarzystwie wtedy, gdy miał na to ochotę.

Nic zatem dziwnego, że kobiety w jego życiu pojawiały się równie często, jak znikwały, a okresy, kiedy był sam, bez reszty poświęcał swoim pasjom i zainteresowaniom.

Miał ich wiele, ale z niewiadomych nawet dla niego samego powodów, jego pasją numer jeden stał się motocykl HarleyDavidson.

Od chwili, kiedy po raz pierwszy go zobaczył wiele lat temu w biurze delegatury amerykańskiej misji doradczej związanej z planem Marshalla, Rolf von Dornhoff wiedział, że odkrył swoje nieznane marzenie, o którym w jakiś dziwny sposób cały czas wiedział, ale nie potrafił go nazwać.

Było to na początku lat pięćdziesiątych i John Whiteman, menedżer monachijskiej delegatury USA, z rozbawieniem obserwował przez okno swojego biura, jak młody, wysoki mężczyzna oglądał z zainteresowaniem jego nowego harleya, niedawno sprowadzonego z USA. John natychmiast rozpoznał w oglądającym motocykl mężczyźnie człowieka, który załatwił w jego biurze kredyt na rozwój firmy transportowej. Wstał zza biurka, wyszedł na zewnątrz i podszedł do niego, żeby sobie uciąć pogawędkę.

- Witam ponownie, widzę, że się panu podoba mój nowy HarleyDavidson?

Rolf von Dornhoff odwrócił się do niego, uściśnął podaną mu dłoń i odpowiedział:

- Witam pana, nie tylko mi się podoba, ale jestem nim wręcz zafascynowany. Nigdy nie widziałem czegoś, co tak silnie przemawiałoby do mojej wyobraźni. Stoję tu już ponad piętnaście minut i nie potrafię się od niego oderwać. To pierwszy nowy, wyprodukowany po wojnie HarleyDavidson, jakiego widzę na oczy. Gdzie go pan kupił, jeśli mogę spytać?

John Whiteman zaśmiał się ze zrozumieniem, tak jakby w ogóle nie dziwił się reakcji Rolfa. Ten typ motocykla był dużą rzadkością w Europie i Whiteman chyba był już do takich pytań przyzwyczajony.

- Sprowadziłem go ze Stanów, to najnowszy model Harleya, Hydra Glide FLF. Jestem od lat wielbicielem motocykli tej marki i jak zobaczyłem ostatni prospekt firmy, nie potrafiłem się powstrzymać. Mój kontrakt w Niemczech upływa dopiero za dwa lata, nie chciałem tak długo na niego czekać...

Rolf pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Zadam krótkie pytanie - powiedział. - Co muszę zrobić, żeby takiego harleya mieć?

John Whiteman był biznesmenem z krwi i kości.

- Musi pan go u mnie zamówić i wpłacić zaliczkę w wysokości tysiąca dolarów, to wszystko - padła natychmiastowa odpowiedź.

Po sześciu tygodniach od tej rozmowy Rolf von Dornhoff wjechał nowiutką hydrą glide na podjazd willi, w której mieszkał Otton Brink ze swoją żoną Eriką.

Od tamtej chwili Rolf stał się wielkim miłośnikiem swojego nowego pojazdu, a przypadkowym obserwatorem, zawsze ciekawie otaczającym go na każdym parkingu, odpowiadał z dumą: „To nie jest motocykl, to HarleyDavidson”.

Z dużym zainteresowaniem śledził wszystkie nowe produkty oferowane przez tę firmę i co dwa, trzy lata sprowadzał sobie z USA najnowszy model harleya.

Po bez mała dwudziestu latach zdołał zgromadzić pokaźną kolekcję tych rzadkich w Europie motocykli. Trzymał je w wielkim garażu na terenie swojej posiadłości i spędzał wśród nich sporo czasu, czyszcząc je i polerując, tak że wyglądały jak eksponaty wystawowe.

Nie bardzo rozumiał, czemu tak go do tego ciągnie, ale lubił to zajęcie i kiedy tylko nie miał nic pilniejszego do roboty, oddawał mu się z wielką przyjemnością. Kiedy skończył, siadywał z piwem w ręku w skórzanym, klubowym fotelu i podziwiając swoje maszyny, rozmyślał o różnych sprawach. Najczęściej o swojej pozostawionej w Polsce nodze i okolicznościach, które do tego doprowadziły.

Zdawał sobie sprawę, że wojna, jego udział w niej i tragiczny epilog, którym to się dla niego skończyło, zwichnęły mu mocno psychikę. Czuł się czasami tak, jakby część jego świadomości należała do kogoś innego. Kogoś, kim dawno przestał już być, ale kto uparcie tkwił we wspomnieniach o jego przeszłości i nie pozwalał mu się od niej uwolnić.

Ten drugi, w odróżnieniu od Rolfa von Dornhoff, energicznego i odnoszącego sukcesy biznesmena, był zupełnie innym człowiekiem - typem samotnika, skłonnego do gorzkich refleksji i opętanego irracjonalną obsesją odzyskania swoich szczątków.

Rolf zdawał sobie sprawę, że nie było to normalne zachowanie. Często śmiał się sam z siebie i ze swoich planów, ale nie próbował i nie chciał z tym walczyć. Uznał to za rodzaj długu, który miał do uregulowania w stosunku do tego drugiego, tkwiącego w nim osobnika, którym kiedyś był. Zaakceptował to i jak najpoważniej zamierzał się ze swoich zobowiązań rozliczyć.

Nikomui nigdy o tych swoich problemach nie powiedział, ale miał świadomość, że to jego wewnętrzne rozdarcie i związane z nim huśtawki nastrojów, które go czasami dręczyły, były widoczne dla innych.

Nie rozumieli go, ale z czasem przyzwyczaili się do jego ekscentrycznych wybryków. Traktowali go jak dziwaka. Rolfowi to nie przeszkadzało, wprost przeciwnie, świadomie pielęgnował tę opinię i cieszył się jak dziecko, gdy udało mu się znowu kogoś zaskoczyć jakimś niespodziewanym wybrykiem.

Tak jak ostatnio, gdy postanowił zacząć uczyć się języka polskiego.

Potraktował to niezwykle poważnie i wziął się do roboty w sposób, który świadczył o jego wielkiej determinacji. Zatrudnił lektorkę języka polskiego, którą znalazł gdzieś na jednym z wydziałów humanistycznych monachijskiego uniwersytetu.

Miał z tym sporo problemów, bo kobieta nie chciała się tego z początku podjąć. Tłumaczyła się brakiem czasu i nadmiarem różnych obowiązków, ale w końcu dała się namówić. Zrobiła to nie dla pieniędzy, mimo że stawka, którą zaproponował, była bardzo wysoka. Rolf von Dornhoff zaintrygował ją jako mężczyzna i ktoś, kto najwyraźniej miał dużo do powiedzenia. Czuła, że ukrywał jakąś tajemnicę, i postanowiła dowiedzieć się, kim był naprawdę i czemu chciał się uczyć polskiego. On, bawarczyk, bogaty i ustawiony, skąd

nagle ten polski?

Przyjeżdżała do niego regularnie trzy razy w tygodniu i spędzali po dwie godziny na nauce. Po pół roku widoczne były już pierwsze rezultaty tej pracy, a po roku Rolf potrafił się już zupełnie niezłe porozumieć po polsku.

Znajomi zachodzili w głowę, o co tu chodzi i do czego mu to było potrzebne.

był przecież wykształconym człowiekiem, znał dobrze angielski, trochę francuski, każdemu powinno to wystarczyć, a teraz nagle ten polski?

Śmiał się tajemniczo i tłumaczył, że myśli o otwarciu biznesu w Polsce.

„Biznes? W Polsce?” - pytali i pukali się znacząco w głowę... Przecież tam rządzą sowieci i polscy komuniści, jaki biznes?

W końcu sprawa przestała budzić ich emocje, a Rolf dalej powoli doskonalił swoją nowo nabytą umiejętność. Był przekonany, że przyjdzie taki moment, kiedy będzie mu to potrzebne.

* * *

Drugą pasją Rolfa von Dornhoff, starannie przed wszystkimi ukrywaną, była jego kolekcja militariów z okresu drugiej wojny światowej.

Spore, klimatyzowane pomieszczenie, ukryte w piwnicach znajdujących się pod betonową podłogą garażu, mieściło zadziwiająco bogaty zbiór broni ręcznej wszelkiego rodzaju, umundurowania licznych niemieckich formacji wojskowych, sztandarów dywizyjnych i insygniów, odznaczeń i medali oraz dużą kolekcję materiałów propagandowych z tego okresu.

Na ścianach wisiały dziesiątki plakatów, a w dużej, przeszklonej gablocie znajdował się bogaty zbiór filmów z nagraniem przemówieniami Hitlera. Nawet oryginalny projektor z wyposażenia objazdowych grup propagandowych stał na stoliku, gotowy do pracy.

Początek kolekcji dał zbiór odziedziczony przez Rolfa po wuju, Wilfriedzie von Crousaz. Wuj, do końca idealista, utrzymywał wszystko w tajemnicy i traktował swoje zbiory prawie jak relikwie. Przed śmiercią zobowiązał siostrzeńca, swojego jedyne spadkobiercę, do zaopiekowania się nimi, czyniąc to jednym z warunków okazałego spadku.

Rolf, sam nie wiedząc czemu, warunki przyjął i po przystosowaniu pomieszczeń pod garażem zajął się porządkowaniem kolekcji. Sam wszystko posegregował, ułożył w gablotach i poustawiał na stojakach. Była to ciężka praca i zajęło mu to kilka tygodni.

Kiedy skończył, przyniósł z garderoby swój własny, przechowywany od wojny, zniszczony i zakrwawiony polowy mundur kapitana SS i powiesił go w szafie obok innych mundurów. Popatrzył na swoje dzieło i chyba dopiero wtedy dotarł do niego sens tego, co

zrobił.

Mimo swojego krytycznego stosunku do wojny i do tych, którzy do niej doprowadzili, jak również do swojego udziału w niej i świadomości, że młodzieńczy idealizm i naiwna wiara jego i podobnych mu młodych ludzi zostały cynicznie wykorzystane przez wytrawnych politycznych graczy, poczuł, że łączy go z tymi wszystkimi przedmiotami jakaś głęboka, sentymentalna więź.

Brunatne ślady na mundurze były śladami jego krwi, a szary pył na rękawach kurtki pochodził aż z Woroneża, gdzie przed wielu laty, wyrzucony przez wybuch miny w przydrożny piach, leżał bezsilnie w bólu, przyciśnięty przewróconym na bok łazikiem, modląc się o to, żeby wreszcie pojawili się sanitariusze i uratowali tę resztkę życia, która się w nim jeszcze tliła.

Rolf von Dornhoff nagle zrozumiał, że te wszystkie przedmioty są częścią jego historii i że bez względu na to, jak on sam teraz to ocenia, należy się im szacunek, bo kryją się za nimi tragedie podobne do tej, którą sam przeżył.

Od tamtej pory stał się zagorzałym zbieraczem wszelkiego rodzaju militariów i pamiątek z okresu drugiej wojny światowej i gdy tylko na coś ciekawego natrafił, stale uzupełniał swoje zbiory. Była to tajemnica, którą dzielił tylko z kilkoma zaufanymi osobami. Robił to bardzo ostrożnie i nikomu poza nimi o tym nie opowiadał.

W tamtych powojennych czasach wszelkie gloryfikowanie pamiątek związanych z nazizmem było zabronione i lepiej było się takimi rzeczami nie chwalić.

Doktor Brink był jednym z niewielu ludzi, którzy ten zbiór mieli okazję zobaczyć. Z ciekawością obejrzeli wtedy z Rolfem kilka propagandowych filmów z Hitlerem w roli głównej i obaj nie mogli się nadziwić, jak to się stało, że taki szaleniec - bo takie wrażenie sprawiał Führer na starych, czarnobiałych filmach - mógł pociągnąć za sobą tyle wpływowych osób i wywoływać powszechną euforię. Jego zachowanie i mimika były wręcz karykaturalnie śmieszne i obaj zastanawiali się, jak można było traktować go poważnie.

A najdziwniejsze w tym było to, że mimo iż z perspektywy dwudziestu lat wyglądało to jak tragifarsa, to jednak naprawdę się wydarzyło.

Doktor Brink po tym seansie powiedział:

- Wiesz, Rolfe, jedyną rzeczą, za którą jestem wdzięczny Hitlerowi, jest to, że zmusił mnie do opuszczenia Rzeszy. Nigdy nie wrócę do Niemiec, bo zawsze już miałbym świadomość tego, że żyję wśród idiotów, którzy kiedyś w te wszystkie brednie uwierzyli, a teraz udają, że to nie oni i że to się nigdy nie zdarzyło. Nie zniósłbym tej obłudy.

Rolf zaśmiał się szeroko.

- Doskonała diagnoza, Ottonie. Zgadzam się z tobą w zupełności i to chyba jest główną przyczyną, dla której jestem tak popularny wśród mojej rodziny i znajomych. Traktują mnie, jakbym był trędowaty, i z właściwą sobie obłudą, o której wspomniałeś, udają, że wszystko jest w zupełnym porządku. Ja oczywiście nie przepuszczam żadnej okazji, żeby im przypomnieć, że tak nie jest. Niewątpliwie jestem ich ulubieńcem...

Rozdział 16

Kiedyś przez przypadek Rolf von Dornhoff odkrył, że takich fanatyków Harleya jak on jest więcej. W lokalnej prasie ze zdumieniem przeczytał, że gdzieś w Holandii, w okolicach Utrechtu, ma się odbyć międzynarodowy zjazd posiadaczy motocykli HarleyDavidson. Nie zastanawiając się długo, podniósł słuchawkę i zadzwonił pod podany numer, prosząc o informacje. Odezwał się jakiś mężczyzna i miłym, niskim głosem, z silnym holenderskim akcentem, odpowiedział na wszystkie jego pytania i zaprosił na zjazd, obiecując wspaniałą zabawę wśród ludzi, których łączyła ta sama pasja do motocykla HarleyDavidson. Wszystko wyglądało na tyle zachęcająco, że Rolf podjął natychmiastową decyzję.

Następnego dnia z samego rana spakował kufry swojego harleya. była to piękna electra glide w metaliczno-niebieskim kolorze, najnowszy model z 1973 roku, który ostatnio sprowadził z USA i którym nie miał jeszcze nawet okazji przebyć żadnej dłuższej trasy. Założył czarny, skórzany kombinezon z dużym orłem na plecach i ruszył w kierunku holenderskiej granicy.

Jazda harleyem była dla niego źródłem wielkiej przyjemności. Uwielbiał to uczucie zespolenia jeźdźca i motocykla - było to coś, czego nie dało się opisać.

Przypominało mu trochę połączenie jazdy na nartach z lataniem samolotem, a wszystko razem skrzyżowane z jazdą konną. Tak to przynajmniej odczuwał i gdy wsiadał na swojego harleya, zatracił się w tym całkowicie. było to dla niego prawie mistyczne przeżycie.

W czasie jazdy czuł się tak lekki i wolny, że wszystko wydawało się wtedy możliwe. Często rozwiązywał w ułamku sekundy problemy i podejmował decyzje, nad którymi zastanawiał się przez wiele dni. Weszło mu to w nawyk i kiedy coś go dręczyło, wsiadał na harleya i ruszał przed siebie. Magia szosy nawijającej się na koła jego motocykla i uczucie podobne do uczucia nieważkości przenosiły go w inny świat. Świat, w którym wszystko było możliwe i w którym zapominał o tym, co mu dokuczało najbardziej.

To był wymarzony dzień do jazdy. Słoneczna sobota drugiej połowy sierpnia najwyraźniej chciała odrobić zaległości deszczowego i zimnego w tym roku lata. Zapowiadał się wspaniały weekend.

Rolf nie zatrzymywał się często, nie lubił przerywać sobie przyjemności. Jechał równo jak zwykle, sto czterdzieści na liczniku nie robiło na nim wrażenia, a nowo wybudowana autostrada zachęcała do szybkiej jazdy.

Ruch nie był duży jak na sobotę i wczesnym popołudniem Rolf przejechał granicę w

Venlo i znalazł się w Holandii. Zjadł szybki posiłek w małej restauracji przy stacji benzynowej, nie marnując czasu, natychmiast ruszył dalej i po dwóch godzinach był na miejscu.

Duże ogrodzone pole pod Utrechtem było pełne ludzi, przyczep kempingowych, namiotów i motocykli HarleyDavidson. Powitano go tak, jakby wszyscy znali go od lat i nie mogli się doczekać jego przyjazdu. Rolf był tym trochę zaskoczony i z uśmiechem odpowiadał na ich pytania, gdy podszedł do niego jakiś niewysoki, krępy młody mężczyzna z rudą brodą i śmiejąc się szeroko, zapytał:

- Rolf? Jestem Tom Gessling, to ze mną rozmawiałeś przez telefon, miło cię poznać.

- Witaj, jak widzisz, dałem się namówić na małą przejażdżkę i jestem.

- Wspaniale, nie będziesz żałował. Proszę, to twoje klucze do przyczepy, którą zarezerwowałeś - trzecia po lewej za sanitariatami. Masz tam pełny komfort i pełną lodówkę. Jakbyś czegoś potrzebował, daj znać w recepcji, jestem tam cały czas. Zobaczymy się później. Tot ziens!

Rolf wsiadł na harleya i powoli lawirując pomiędzy namiotami, ruszył w kierunku swojej przyczepy. Po drodze, trochę na uboczu, zauważył dwa niewielkie namioty, mocno zużyte i inne od pozostałych. Obok nich stały dwa harleye, ale też inne od tych, które znał i do których był przyzwyczajony. Wyglądały na stare, wojenne modele, ale chyba były przerobione - miały głębokie błotniki, wysokie, chromowane kierownice i były pomalowane na jaskrawe kolory, jeden był żółty, a drugi czerwony.

Nikogo obok nich nie było i Rolf zatrzymał się na chwilę, patrząc z ciekawością na stojące obok siebie motocykle. Coś go w nich zastanowiło i na początku nie wiedział co. Dopiero po chwili dotarło do niego, że na tylnych błotnikach miały przykręcone małe, eliptyczne tabliczki, na których widniały po dwie litery - PL.

„Ciekawe - pomyślał Rolf. - Albo coś mi się wydaje, albo te dwa harleye przyjechały z Polski”.

Ruszył dalej i szybko znalazł swoją przyczepę. Wszedł do środka, zrzucił skórzany kombinezon, wziął prysznic, poprawił mocowanie protezy i przebrał się w swoje ulubione, sprane dżinsy i świeżą koszulę. idąc do recepcji, zerknął ponownie na dwa harleye, które przed chwilą oglądał, ale nadal nikogo przy nich nie było.

W biurze recepcji siedział Tom i rozmawiał przez telefon. Zauważył Rolfa, odłożył słuchawkę i zapytał:

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Tak, chciałbym cię o coś zapytać. Czy te dwa stare harleye stojące na placu za

sanitariatami przyjechały może z Polski?

- Tak, oczywiście. To moi kumple, dwaj harleyowcy z Warszawy. To ich pierwsza wizyta w Holandii. W zeszłym roku byłem w Polsce na organizowanym przez nich zjeździe HD i zaprosiłem ich w rewanżu do siebie. Jakoś udało im się przyjechać. A czemu pytasz?

- Tak po prostu, z ciekawości. byłem przekonany, że ich nie wypuszczają na zachód Europy z tego sowieckiego obozu...

- To prawda. - Tom zaśmiał się. - Chociaż podobno w ostatnich kilku latach sporo się tam zmieniło. Też byłem sceptycznie do tego nastawiony, ale gdy dowiedziałem się, że tam są harleyowcy, to postanowiłem zaryzykować i pojechałem na ich zjazd do Polski. było fantastycznie i w przyszłym roku znowu się tam wybieram.

- Zaskoczyłeś mnie tym. Nie sądziłem, że w Polsce są harleye, nie wspominając o harleyowcach... Mam prośbę, mógłbyś mnie z tymi gośćmi skontaktować? Chętnie bym z nimi pogadał, uczyłem się kiedyś polskiego i mógłbym przynajmniej sprawdzić, czy potrafię się dogadać w tym języku...

- Oczywiście, nie ma problemu. Ale właściwie nie muszę cię im przedstawiać - są teraz w kantynie i piją piwo, które wszyscy im stawiają. idź do nich i zagadaj coś po polsku, na pewno będą zaskoczeni.

- Masz rację, tak zrobię, dzięki!

Odwrócił się i poszedł we wskazanym kierunku. Już z daleka zauważył gromadę kolorowo ubranych ludzi. Z kufami w rękach, śmiejąc się i żywo coś komentując, otaczali dwóch młodych, może dwudziestokilkuletnich mężczyzn, którzy wyraźnie znajdowali się w centrum zainteresowania grupy.

Rolf stanął z boku przy barze, zamówił piwo i z ciekawością zaczął ich obserwować. Obaj ubrani byli w czarne, skórzane motocyklowe kurtki i mocno sprane dżinsy, ale wyraźnie - w jakiś trudny do określenia sposób - wyróżniali się z otoczenia, podobnie jak ich namioty i motocykle.

Jeden z nich, niewysoki, ale szeroki w barkach i mocno zbudowany, z długimi, ciemnymi włosami i sympatycznym uśmiechem na twarzy, przykuwał uwagę wszystkich. Mówił całkiem płynnie po niemiecku i niskim, o ładnej barwie, donośnym głosem opowiadał coś słuchającym go i co chwilę wybuchającym głośnym śmiechem ludziom wokół niego.

Drugi, wysoki i szczupły, ale zyłasty i dobrze umięśniony, stał obok niego z kuflem w ręku i prawie się nie odzywał. Śmiał się razem z innymi z opowieści swojego towarzysza i potakująco kiwał od czasu do czasu głową, tak jakby chciał potwierdzić to, co tamten mówił.

A tamten mówił rzeczy, które coraz bardziej zaczynały Rolfa interesować. Opowiadał

o życiu w Polsce pod rządami komunistów i o zmianach, jakie ostatnio zaczęły się tam dokonywać pod wpływem przenikających z Zachodu wzorów kulturowych. O radiostacji Wolna Europa i o tym, jak komuniści zagłuszają jej audycje, bojąc się przenikania do Polski idei wolnościowych. Mówił o fascynacji młodych ludzi muzyką beatlesów i Stonesów i o ich marzeniach o normalnym życiu, w którym każdy sam powinien decydować o tym, co robi, co myśli, dokąd jedzie i jak układa swoje życie.

Ludzie wokół niego, ciekawi realiów życia za żelazną kurtyną, zadawali kolejne pytania, a on ze swobodą wytrawnego gawędziarza zaspokajał ich ciekawość.

Wreszcie zaczęło się wokół nich trochę rozluźniać i Rolf postanowił podejść i się przedstawić.

- Cześć, jestem Rolf, przyjechałem tu z Monachium, słyszałem, że bardzo ciekawe rzeczy opowiadałeś - odezwał się swoją łamaną polszczyzną, podając rękę temu niższemu.

Tamten spojrział na niego lekko zaskoczony, odsłonił zęby w uśmiechu i odwzajemnił uścisk.

- Witaj, Rolf. Jestem Wojtek. Zaskoczyłeś mnie, pierwszy raz widzę Niemca mówiącego po polsku, miło mi cię poznać. A to mój kumpel, nazywają go Chudy - wskazał na tego drugiego.

- Dzień dobry, Chudy - powiedział Rolf i podał mu rękę.

Prawdziwie męski uścisk dłoni, który po tym nastąpił, zawsze wszystkich zaskakiwał i wzbudzał natychmiastowy szacunek. Rolf z ciekawością popatrzył na żyłastego chudzielca.

- Masz imadło w ręku - powiedział z uznaniem, potrząsając dłonią.

Tamten tylko się uśmiechnął, zadowolony z reakcji, której się najwidoczniej spodziewał.

- Nie przejmuj się, Rolf, on to zawsze robi przy pierwszym powitaniu - powiedział Wojtek. - Jest niepozorny i lubi zaskakiwać, trzeba z nim uważać.

- Teraz już będę wiedział. - Rolf zaśmiał się i po chwili dodał: - Panowie, mam propozycję, zjedźmy razem obiad przed oficjalną imprezą, co wy na to? Usiądziemy sobie w tej restauracji obok, zjemy coś, napijemy się piwa i spokojnie pogadamy. Jedliście już dzisiaj?

Polacy popatrzyli po sobie i w tym samym momencie wybuchnęli śmiechem.

- Rolf, żeby wszystko było jasne, muszę ci coś wytłumaczyć - odezwał się niezłą angielszczyzną Chudy, patrząc mu prosto w oczy. - Sorry, ale chyba przeoczyłeś fakt, że my przyjechaliśmy tutaj z komunistycznej Polski, a nie z Monachium. Może to dla ciebie dziwne, ale nie stać nas na obiady w restauracji i musimy dobrze kombinować, żeby nam na benzynę na powrót starczyło. Żarcie wozimy ze sobą, bracie. W puszkach, oczywiście, jak chcesz,

możemy cię poczęstować...

Rolf natychmiast zrozumiał sytuację i gafę, którą popełnił. Znał trochę realia życia w Polsce i pospiesznie starał się wyjaśnić:

- Rozumiem, nie chciałem was urazić, panowie. Może źle się wyraziłem, mój polski nie jest najlepszy. Chciałem powiedzieć, że zapraszam was do restauracji całkowicie na mój koszt, a wy mi postawicie w Polsce, jak przyjadę do was. OK?

- Jeśli tak, to z chęcią, tylko będziesz musiał kiedyś do tej Polski przyjechać - odpowiedział po chwili Wojtek.

- Wspaniale, cieszę się, chodźmy zatem i zajmijmy jakiś stolik, dopóki są jeszcze wolne miejsca. A do Polski przyjadę na pewno, planuję to od bardzo dawna i wreszcie będę miał powód, żeby to zrobić - dodał, przechodząc na niemiecki.

Zajęli stolik w rogu pod oknem, a po chwili pojawił się kelner. Miał wycucie i od razu zwrócił się do Rolf'a, tak jakby wiedział, kto w tym towarzystwie jest w stanie uregulować rachunek.

- Ale nas wyczuł - powiedział po polsku Chudy. - Chyba z daleka widać po nas, że nie mamy pieniędzy. Ubodzy krewni przyjechali do rodziny w goście...

Wojtek zaśmiał się, przypalając papierosa, a Rolf, zajęty rozmową z kelnerem udał, że nie rozumiał, chociaż dobrze wszystko usłyszał.

- Zamówiłem również dla was, mam nadzieję, że lubicie befsztyki? - zapytał.

- Nie jesteśmy wybredni, mogą być befsztyki. Gdzie się tak dobrze nauczyłeś polskiego, Rolf?

- Brałem prywatne lekcje przez dwa lata, no i trochę nauczyłem się w czasie wojny. byłem przez jakiś czas w Polsce - zaryzykował, oczekując ich reakcji...

Ale nie było żadnej, poza wyraźną ciekawością.

- Tak? To ciekawe, a gdzie służyłeś?

- Głównie na froncie wschodnim, w Rosji, okolice Woroneża. W Polsce byłem tylko przejazdem i to dosyć krótko - zaśmiał się - niedaleko miasta Łomża. Znacie je?

- Czy znamy? Człowieku, co roku tamtędy przejeżdżamy, jadąc na Mazury. Widziałeś mazurskie jeziora?

- Niestety nie, prawdę mówiąc, jedynym miejscem, które widziałem w Polsce, jest mała wieś niedaleko Łomży, tam gdzie Pisa wpada do rzeki Narew. byliście kiedyś nad Pisą?

Obaj Polacy roześmiali się znowu, jakby opowiedział im jakiś dobry kawał.

- Byliśmy, i to nie raz - odpowiedział po chwili Wojtek. - Nie wiem, czy wiesz, ale z Warszawy można dopłynąć łódką aż na jeziora mazurskie. Robiliśmy to wiele razy.

Zaczynasz na Wiśle, kanałem Żerańskim nad Zalew Zegrzyński, potem Narwią i Pisą aż do Pisu, gdzie wpływa się na jezioro Roś. A stamtąd szlakiem wielkich jezior, dokąd sobie życzysz. Żeglujesz trochę?

Rolf uśmiechnął się skromnie.

- Tak, głównie po Morzu Śródziemnym, mam jacht w Nicei i często tam jeżdżę. Ale to inne żeglowanie, opowiadajcie lepiej o tej waszej Pisie.

- To piękna rzeka, płynie przez Kurpie i puszcę Piską, warto to zobaczyć. Unikalne miejsce, niedużo już takich w Europie zostało. W Holandii na pewno czegoś takiego nie znajdziesz. Ale czemu cię ta Pisa tak interesuje, skoro masz swój jacht na Morzu Śródziemnym?

- Wspomnienia młodości, panowie, jakie by one nie były, zawsze w człowieku zostają i wydają się piękne... Ale napijmy się, bo w gardłach nam zaschło, a zaraz podadzą nasze befsztyki. Na zdrowie!

Stuknęli się kufami i solidnie pociągnęli zimnego piwa.

Befszyki były doskonałe, grube i wielkie na pół talerza, lekko krwiste, tak jak potrzeba, i Rolf z przyjemnością patrzył, jak jego goście jedli z wyraźnym apetytem, którego nie starali się ukrywać. Kelner co chwila podchodził i sprawdzał, czy wszystko jest w porządku i czy niczego nie brakuje.

Wyczuwał dobry napiwek i nie mylił się. Rolf był w znakomitym humorze, a wtedy bywał bardzo szczodry.

Rozmowa przy solidnym obiedzie podlewanym heinekenem toczyła się wartko. Polacy, a głównie Wojtek, bo Chudy mówił niewiele, tak jakby uznał, że w tym towarzystwie to ten drugi jest od gadania, opowiadali Rolfowi o życiu w Polsce, o rządach komuny i o tym, jak zwykli ludzie radzili sobie w kraju, w którym przeciętna pensja przeliczona po czarnorynkowym kursie wynosiła dwadzieścia dolarów. Opowiadali o sobie, swoim życiu i rodzinach, o tym, jak zaczęli jeździć na harleyach i jak doszło do tego, że znaleźli się na zjeździe w Holandii. Mówili, że Polska powoli się zmienia, że otwiera się na Zachód, że odwiedza ich coraz więcej turystów i że warto do nich przyjechać.

Rolf, zafascynowany ich opowieścią i ujęty tym, jak szczerze i bezpośrednio mówili o dosyć osobistych sprawach dotyczących ich życia, postanowił zrewanżować się historią swoich przygód z czasów wojny i swojej służby na froncie wschodnim.

Opowiedział im, jak w 1942 roku został ranny pod Woroneżem i przetransportowano go samolotem do szpitala polowego, który znajdował się obok niedużej wsi nad Pisą, niedaleko ujścia tej rzeki do Narwi. Powiedział im nawet, że służył w oddziałach SS. Patrzył,

jak na to zareagują, ale nie zrobiło to na nich większego wrażenia. Albo nie pokazali tego po sobie.

Jedyną rzeczą, której im nie powiedział, było to, że nad rzeką Pisą stracił swoją prawą nogę, którą miał zamiar odzyskać. i która, jak miał nadzieję, wciąż tam na niego czekała.

Opisał im dokładnie okolicę, w której znajdował się szpital polowy, i wyznał, że chciałby to miejsce jeszcze kiedyś zobaczyć.

- Nie pamiętam, jak długo tam przebywałem - mówił. - Ale po odniesieniu tej rany bardzo chorowałem, wdało się zakażenie i w tamtym szpitalu właściwie uratowano mi życie. Może dlatego tak mi to zapadło w pamięć...

Wojtek i ten drugi z wyraźnym zainteresowaniem wysłuchali jego zwierzeń. Gdy skończył, zaczęli o tym rozmawiać i zadawali mu dużo pytań dotyczących jego dalszych losów, na które chętnie odpowiadał.

Wszyscy byli zdumieni dziwnym splotem okoliczności, który doprowadził do tego, że trzydzieści lat po tych wydarzeniach rozmawiali o nich tu, na zjeździe harleyowców w Holandii i że w jakiś tajemniczy sposób połączyła ich wspólne losy rzeka Pisa, którą tak dobrze znali...

- Nie ma żadnego problemu. Jak przyjedziesz do Polski, to cię tam zabierzemy, znowu zobaczysz swój szpital - powiedział na koniec Wojtek, a w Rolfe aż serce podskoczyło z radości.

- Przyjadę na sto procent - powtórzył. - Możecie być tego pewni.

Kiwnął na kelnera i uregulował rachunek, a szczęśliwy chłopak aż zgiął się wpół na widok napiwku.

Przed wyjściem z restauracji Rolf wręczył Polakom swoje karty wizytowe i poprosił, żeby koniecznie przesłali mu informacje na temat zjazdów organizowanych przez klub HD w Polsce. Polacy popatrzyli na wizytówki, schowali je do mocno zniszczonych portfeli i przyrzekli, że do niego napiszą. Potem wstali i ruszyli razem w kierunku dużej sali na tyłach restauracji, w której miała odbyć się uroczystość wręczenia pamiątkowych pucharów dla najbardziej wyróżniających się klubów i uczestników zjazdu.

Kiedy tam dotarli, impreza właśnie się zaczynała. Prowadził ją Tom Gessling, prezydent HDC Amsterdam.

Ze swego podium natychmiast zauważył wchodzących na salę w towarzystwie Rolfa dwóch Polaków. Podszedł do mikrofonu i powiedział.

- Przyjaciele, a teraz szczególna chwila - chciałbym wręczyć komuś ten piękny, pamiątkowy puchar. Jak się pewnie wszyscy domyślacie, jest przeznaczony dla pierwszych w

historii naszych zjazdów harleyowców, którzy przyjechali do nas z komunistycznej Polski. Wojciek, Chudy, zapraszam na scenę!

Sala zaczęła bić brawo, a Polacy powoli przeciskali się w kierunku podium. Towarzystwo było już nieźle naprute i każdy chciał im uścisnąć rękę lub choćby poklepać ich po plecach. Wreszcie stanęli na podium i odebrali puchar z rąk Toma. Ktoś krzyknął „brawo, Wojciek!”.

Wojtek z uśmiechem popatrzył po sali, w geście podziękowania podniósł nad głowę złożone dłonie, potrząsnął nimi i podszedł do mikrofonu. Sala natychmiast ucichła i wszyscy z ciekawością zaczęli słuchać tego, co ten przybysz z egzotycznego dla nich, komunistycznego kraju miał do powiedzenia.

A on mówił swobodnie i bez tremy. Wyraźnie zaimponował im swoim płynnym niemieckim i zgrabnymi, pełnymi humoru zdaniami. Dowcipnie spuentował krótką przemowę tak, że sala wybuchła śmiechem, po czym pomachał wszystkim na pożegnanie i zszedł ze sceny.

Tom Gessling z przyjemnością patrzył na tego do wczoraj nikomu nieznanego harleyowca, przybyłego z zupełnie obcej dla większości zgromadzonych Polski.

„Ten chłopak zrobi karierę” - pomyślał, kiwając z podziwem głową.

Potem już wszystko wymknęło się spod kontroli i zaczęła się zabawa. Heineken i inne drinki lały się strumieniami, a każdy chciał się napić i zamienić kilka słów z Polakami, którzy wyjątkowo dobrze znosili ten zmasowany atak. Trzymali się do końca i dopiero, gdy większość z obecnych już prawie padła, opuścili lokal i poszli do swoich namiotów.

Na kempingu zapadła cisza, przerywana tylko od czasu do czasu dochodzącym z oddali charakterystycznym dźwiękiem dzwonek ostrzegawczych, umieszczonych na jakimś przejeździe kolejowym.

* * *

Rolf długo nie mógł zasnąć. Chyba trochę za dużo wypił i był za bardzo podekscytowany tym, co usłyszał od Polaków. Po rozmowie z nimi, jego gasnąca z upływem lat nadzieja na to, że kiedyś odzyska szczątki swojej pozostawionej w Polsce nogi, zaczęła przestaczać się w niemal absolutną pewność tego, że uda mu się to wreszcie zrealizować.

Wszystkie kawałki tej układanki nagle zaczęły do siebie pasować, a w głowie, zanim w końcu zasnął, miał już gotowy plan działania. Wiedział dokładnie, co musi zrobić, a poznani dzięki niesamowitemu zbiegowi okoliczności dwaj harleyowcy z Warszawy mieli mu w tym pomóc.

Oni, mimo że jeszcze o tym nie wiedzieli, też mieli przeczucie, że to spotkanie z

dziwnym Niemcem z Monachium, byłym esesmanem, który z takim przejęciem wspominał swój pobyt w czasie wojny w polowym szpitalu wojskowym gdzieś nad Pisą, nie było ich ostatnim spotkaniem i że jeszcze kiedyś go zobaczą.

Wszyscy mieli się wkrótce dowiedzieć, że los potrafi w przedziwny sposób splątać ze sobą życia ludzi, którzy pozornie odlegli od siebie i niemający ze sobą nic wspólnego, w pewnej chwili ze zdumieniem odkrywają, jak wiele ich łączy i jak ważne role zaczynają nagle w stosunku do siebie odgrywać.

Ale o tym mieli się dopiero przekonać.

* * *

Ranek wstał mglisty, jak to w Holandii. Panowała cisza i ci, którzy czuli się lepiej, powoli szykowali się do powrotu, reszta snuła się po terenie lub przesiadywała w kantynie, lecząc mocną kawą resztki wczorajszego kaca.

Rolf obudził się rześki i pełny energii. Wyszedł z przyczepy i pomachał na przywitanie Polakom, którzy kręcili się niedaleko przy swoich harleyach, zajęci pakowaniem resztek sprzętu turystycznego. Ubrani w stroje motocyklowe byli prawie gotowi do drogi. Zauważyli go, zamienili ze sobą kilka słów i po chwili podszedł do niego Wojtek.

- Witaj, Rolf, jak samopoczucie po wczorajszej imprezie?

- Serwus, Wojciek, bardzo dobre, to mój pierwszy zjazd harleyowców. Następnym razem będę już wiedział, czego się mogę spodziewać. Świetna zabawa i cieszę się, że miałem okazję was poznać, chłopaki.

- Ja też, miło się nam gadało. Musimy się jeszcze kiedyś spotkać, pamiętaj!

- O, na pewno, mamy, jak się okazuje, sporo wspólnych tematów. Macie moje wizytówki, odezwijcie się do mnie koniecznie, przyjadę do Polski na jakiś zjazd.

- Nie zapomnimy, napiszemy po powrocie.

- A co dalej, dokąd teraz się wybieracie?

- Jedziemy z Tomem Gesslingiem do Amsterdamu. Obiecał nam załatwić tam jakąś robotę na dwa tygodnie. Podreperujemy trochę swój budżet, zaliczymy jeszcze ze dwa zjazdy w okolicy i do domu. Koniec urlopu i do pracy.

- Jak będziecie wracali do Polski, możecie wpaść do mnie do Monachium na weekend. Wiem, że to nie po drodze, ale jakbyście mieli ochotę, to zapraszam. Spędzimy miły wieczór, prześpicie się u mnie i rano pojedziecie dalej.

- Serdeczne dzięki za zaproszenie, Rolf. Rzeczywiście, trochę nie po drodze to twoje Monachium, ale gdybyśmy się zdecydowali, to damy znać. W razie czego zadzwonię.

- Super, będę czekał. Uważajcie na siebie, przyjaciele!

Z oddali machał im już ręką siedzący na swojej elektrze i gotowy do drogi Tom Gessling. Wojtek uściskał jeszcze raz na pożegnanie dłoń Rolfa, odwrócił się i odszedł w kierunku czekającego na niego Chudego. Odpalili swoje harleje i dołączyli do Toma. Pomachali na pożegnanie obserwującym ich i wesoło pozdrawiającym grupkom harleyowców i opuścili teren kempingu. Przez jakiś czas słychać jeszcze było dudniący niepowtarzalnym brzmieniem gang ich motocykli i po chwili zapadła cisza.

Rolf wrócił do przyczepy i zaczął się przygotowywać do powrotu. Ale w głowie miał już tylko jedno - perspektywę wyjazdu do Polski i nadzieję na zrealizowanie swojego marzenia oraz pozbycie się obsesji, która od lat go dręczyła. Jednocześnie wiedział, że musiał się tymi informacjami z kimś podzielić, żeby jakoś rozładować napięcie, które w sobie wyczuwał.

Spakował się błyskawicznie i po piętnastu minutach, żegnany przez nielicznych, dojrzewających jeszcze maruderów, wyjechał na szosę i skierował się w stronę granicy niemieckiej.

Jazda harleyem natychmiast uspokoiła karuzelę myśli, która w nim szalała. Skoncentrowany na prowadzeniu motocykla zrelaksował się, wyciszył wewnętrznie i jak zwykle, w ułamku sekundy, nagle wiedział, co ma robić dalej. „Muszę odwiedzić Ottona i wszystko mu opowiedzieć - pomyślał. - Przy okazji załatwię sprawę terminu odbioru swojej nowej protezy i sprawdzę, czy wszystko w porządku w mojej willi. Tak, to jest to, co powinienem zrobić”.

Po dwóch godzinach był już w Niemczech i pruł autostradą na południe, w kierunku Zurychu. Pogoda nadal dopisywała, poranna mgła opadła i pojawiło się słońce. Ruch był niewielki, wiadomo, niedzielne przedpołudnie. „idealne warunki do jazdy” - pomyślał i odkręcił manetkę gazu. Harley ochoczo zadudnił ze swoich dwóch chromowanych rur i żwawo pomknął do przodu.

„Już dawno nie czułem się lepiej niż teraz” - pomyślał Rolf.

Rozdział 17

Było wczesne, niedzielne popołudnie i doktor Otton Brink jak zwykle o tej porze siedział w swoim gabinecie i czytał jakieś notatki. Przygotowywał obiecany dawno temu artykuł do miesięcznika „Science” i postanowił wykorzystać tę wolną chwilę i dokonać jeszcze kilku małych, ale niezbędnych poprawek.

Jego żona, Erika, była w tym czasie u swojej matki, którą tradycyjnie odwiedzali w każde niedzielne popołudnie.

Starsza pani Sommer była w połowie sparaliżowana w następstwie wylewu, który przeszła jakiś czas temu. Poruszała się na wózku, a że przed chorobą była zawsze energiczna i ruchliwa, źle znosiła swój stan fizycznej niesprawności. Wyżywała się na opiekujących się nią dwóch pielęgniarkach, które nie znosiły tej złośliwej i zawsze niezadowolonej kobiety, ale dzielnie próbowały nie dać tego po sobie poznać. Cierpiały w milczeniu i tolerowały jej kaprysy, zaciskając zęby i uśmiechając się grzecznie do swojej prześladowczyni.

Otton Brink podczas tych wizyt również odbierał należną mu porcję impertynencji od starszej pani. Znosił to cierpliwie tylko przez wzgląd na swoją żonę i kiedy tylko mógł, starał się wykręcić od tego przykrego obowiązku. Tym razem też mu się udało.

Siedząc w swoim gabinecie, rozkoszował się wolnym popołudniem i lampką koniaku, gdy nagle usłyszał charakterystyczny, dudniący odgłos na podjeździe do swojej willi. Dźwięk był znajomy i doktor Brink nie miał żadnych wątpliwości, kto do niego przyjechał.

Uśmiechnął się radośnie, szybko wstał z fotela, zszedł na dół do dużego holu i otworzył drzwi, pewny tego, kogo za nimi zobaczy. Nie pomylił się i tym razem. Na podjeździe stał piękny, lśniący chromem i metalicznym lakierem HarleyDavidson, a do wejścia zbliżał się jego stary przyjaciel, Rolf von Dornhoff.

- Witaj, drogi Rolfe, tak się cieszę, że przyjechałeś.

- Musiałem cię zobaczyć, Ottonie - wybac, że bez uprzedzenia, ale chciałem ci zrobić niespodziankę.

- I udało ci się to, jestem mile zaskoczony. Proszę, wejdź do środka, zrzuć te skóry i przebierz się - pokój gościnny, z którego zazwyczaj korzystasz, jest jak zwykle do twojej dyspozycji. Ja w tym czasie zaparzę herbatę i przygotuję ci coś do zjedzenia.

Po dziesięciu minutach siedzieli wygodnie w fotelach w gabinecie doktora i Rolf zaczął swoją opowieść...

Opowiedział doktorowi o swojej przypadkowej, szybkiej i spontanicznej decyzji

wyjazdu do Holandii na zjazd harleyowców. O tym, jak dziwnym zbiegiem okoliczności poznał tam dwóch młodych Polaków, i o tym wszystkim, czego się od nich dowiedział, a co, jak się okazało, wiązało się z miejscem, które tak dobrze zapamiętał i które odegrało tak ważną rolę w jego życiu.

- Zdumiewa mnie w tym wszystkim zwłaszcza to, że płynąca sobie gdzieś w Polsce niewielka rzeka Pisa, nad którą spotkaliśmy się trzydzieści lat temu w tak niezwykłych okolicznościach, wydaje się w przedziwny sposób splatać ze sobą losy różnych, nieznanych sobie ludzi - zakończył.

Otton Brink słuchał z uwagą jego opowieści i nie przerywał. Był wyraźnie zaskoczony tym, co usłyszał, i czasami aż kręcił głową i uśmiechał się z niedowierzaniem.

- Co za dziwny zbieg okoliczności - powiedział, gdy Rolf wreszcie skończył. - Wygląda na to, że w końcu rzeczywiście pojedziesz do Polski i przy odrobinie szczęścia będziesz miał okazję odnaleźć to, co tam kiedyś zostawiłeś. Może wreszcie pozbędziesz się swojej obsesji i odzyskasz spokój, który ona, przyznasz chyba, od wielu lat ci zakłóca.

- Mam taką nadzieję, Ottonie, a co najważniejsze, ta nadzieja powoli zamienia się w całkowitą pewność, że tak się stanie. Za dwa tygodnie moi nowi znajomi będą wracali do Polski i chyba do nich dołączę i też się tam z nimi wybiorę. Zaprosiłem ich do siebie na weekend, mam nadzieję, że do mnie przyjadą.

- Widzę, że jak zwykle nie marnujesz czasu, Rolfe. - Otton Brink zaśmiał się.

- Wiesz dobrze, mój drogi, że nie grzeszę zbytnią cierpliwością. Jak już się do czegoś zapalę, to muszę to mieć natychmiast. Czekanie mnie wykańcza. Początkowo planowałem wybrać się do Polski dopiero w przyszłym roku, ale podczas jazdy z Utrechtu przemyślałem to i stwierdziłem, że nie ma powodu, żebym czekał na to tyle czasu. Sezon jeszcze w pełni, pogoda po paskudnym i deszczowym lipcu chyba się wreszcie poprawi i mam nadzieję, że na początku września spróbuję przy ich pomocy odnaleźć to miejsce nad Pisą. Twoja mapa sztabowa jest bardzo dokładna, a z informacji, które posiadam, wiem, że niewiele się tam zmieniło.

- Jednym słowem, plan wyprawy jest już gotowy. - Otton Brink zaśmiał się.

- Tak sądzę, Ottonie, życz mi szczęścia i tego, żeby się to wszystko powiodło. A zmieniając temat, co z moją nową protezą?

- Wszystko się doskonale składa, trafiłeś w dziesiątkę, przyjeżdżając teraz do Zurychu. Robert dzwonił do mnie wczoraj z informacją, że jest już gotowa. Prześpisz się dzisiaj u mnie i jutro z samego rana pojedziemy do kliniki odebrać od Roberta twoją nową nogę. Która to już będzie, Rolfe?

- Piąta, Ottonie, piąta. Popatrz, jak to szybko przeleciało. A wciąż jeszcze mam przed oczami tę chwilę, gdy pojawiłeś się w klinice obok mojego łóżka, tuż po twoim powrocie do Berlina.

- Świetnie to wówczas rozegrałeś. biedny Grinberg miał prawie łzy w oczach, kiedy mnie zobaczył przed szpitalem polowym nad Pisą i gdy zrozumiał, co się stało i komu zawdzięczał ten awans...

- No cóż, on też pomógł ci swego czasu dostać się w to miejsce. Spłaciłem tylko dług wdzięczności, który u niego zaciągnąłeś. A przy okazji zapewniłem sobie opiekę lekarza, do którego miałem zaufanie. Jestem wymagającym pacjentem, Ottonie.

- Co do tego nigdy nie miałem wątpliwości. Mam nadzieję, że nie zawiodłem twoich oczekowań.

- Przeciwnie. Zrobiłeś dla mnie więcej niż jakikolwiek człowiek na świecie, Ottonie. Pewnie już ci to mówiłem, ale tam, w szpitalu polowym nad Pisą, zdarzyły się jednocześnie dwie najważniejsze rzeczy w moim życiu - straciłem nogę i poznałem ciebie, najlepszego przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miałem.

Rozmawiali tak, wspominając stare czasy i snując plany na przyszłość, aż powróciła do domu Erika i koło siódmej wszyscy razem usiedli do kolacji.

Rolf po raz drugi - tym razem na jej wyraźne życzenie - musiał dokładnie opowiedzieć swoją ostatnią harleyowską przygodę i to, co, jak oczekiwał, miało z niej wyniknąć. Otton z przyjemnością słuchał ich rozmowy i pytań Eriki, która wszystko chciała wiedzieć i jak dziecko reagowała na opowieść Rolfa.

A Rolf cieszył się z entuzjazmu swojego przyjaciela i z przyjemnością patrzył na twarz jego żony i na to, z jakim przejęciem go słuchała.

„Ależ ona jest piękna - pomyślał, łagodnie się uśmiechając. - Jesteś prawdziwym szczęściarzem, Ottonie Brink?”

* * *

Następnego dnia Robert Duffrie jak zwykle pojawił się w klinice z punktualnością swojego złotego, szwajcarskiego zegarka. Wyjął z samochodu podłużne, kartonowe pudło, wziął je pod pachę i energicznie ruszył w kierunku recepcji.

- Witam pana, panie Duffrie. Doktor Brink i pan von Dornhoff już na pana czekają w gabinecie doktora - przywitała go recepcjonistka.

Robert skinął głową, uśmiechnął się do niej i ruszył schodami na pierwsze piętro. Nigdy nie używał windy, nie miał cierpliwości, za długo trzeba było na nią zawsze czekać.

Drzwi gabinetu doktora były otwarte i dochodziły z niego odgłosy rozmowy. Gdy

wszedł do środka, obaj panowie już na niego czekali.

- Robercie, można według ciebie regulować zegarek - przywitał go Rolf von Dornhoff z szerokim uśmiechem, wstając z fotela.

Przywitali się, nie kryjąc zadowolenia z tego, że znowu się widzą. W ciągu tych ostatnich trzydziestu lat wszyscy trzej bardzo się ze sobą zaprzyjaźnili i zawsze z przyjemnością się spotykali, kiedy tylko pozwalały im na to codzienne obowiązki i dni wypełnione nimi od rana do wieczora.

- Widujemy się ostatnio głównie przy okazji nowych protez Rolfa - powiedział refleksyjnie Otton Brink. - Może spotkalibyśmy się wreszcie kiedyś tylko po to, żeby powspominać stare lata i pogadać o tym wszystkim, na co zazwyczaj nie mamy czasu?

Roześmiali się wszyscy razem i Robert Duffrie powiedział:

- Takie już jest życie, Ottonie, z upływem lat czas nam się zaczyna kurczyć i mamy go coraz mniej. Cieszymy się tym, że jednak wciąż się spotykamy - pomijając przyczyny, dla których to się dzieje. No i z tego, że uczucie

144 przyjaźni, jakim się niewątpliwie darzymy, przetrwało te lata. A teraz do rzeczy, panowie. Drogi przyjacielu - zwrócił się do Rolfa - może to, co powiem, zabrzmie nieskromnie, ale przedmiot, który za chwilę zobaczysz, to prawdziwe dzieło sztuki inżynierskiej i lekarskiej, a właściwie synteza tych dwóch dziedzin. Od pierwszej protezy, którą dla ciebie wykonałem przed wieloma laty, różni się tak, jak pierwszy samolot wykonany na początku wieku różni się od samolotu naddźwiękowego Concorde.

Robert rozpakował powoli paczkę i ich oczom ukazała się nowa proteza Rolfa von Dornhoff. Wyglądała niezwykle, jak żadna dotąd, i z podziwem wpatrywali się w leżący na stole przedmiot.

- To już bez mała kosmiczna technologia - powiedział Robert. - Najnowsze materiały i osiągnięcia techniki. Stopy tytanu, kevlar, elastomery, silikon i wszystko, co tylko było możliwe do zastosowania i gwarantowało najlepsze parametry. Oczywiście nigdy nie zastąpi ci prawdziwej nogi, ale myślę, że w jeszcze większym stopniu, niż zdołały to zrobić poprzednie protezy, pozwoli zrekompensować stratę, którą kiedyś poniosłeś.

Rolf podniósł protezę ze stołu i uśmiechnął się szeroko.

- Jest lekka jak piórko, to niesamowite, muszę ją natychmiast przymierzyć - powiedział z wyczuwalnym w głosie entuzjazmem.

Pasowała jak ulał i Rolf natychmiast zaczął wykonywać pierwsze próby, chodząc po gabinecie doktora Brinka.

- Jest wspaniała, Robercie! Od razu się to czuje, chyba już jej nie zdejmę. To

prawdziwa rewelacja, dziękuję ci, przyjacielu!

- Cała przyjemność po mojej stronie, Rolfe. Cieszę się, że jesteś zadowolony.

- Zadowolony? To zbyt skromne określenie, ale nie potrafię w tej chwili opisać tego, co czuję. Panowie, wybaczenie mi, zostawię was na jakiś czas samych, muszę natychmiast wypróbować tę moją nową nogę na najbliższych schodach. Jak widać, to jest moje podstawowe kryterium - powiedział, wychodząc pośpiesznie z gabinetu.

Z korytarza doszedł po chwili przytłumiony odgłos kogoś, kto szybko wchodził po schodach. Wysoko, aż na samą górę czteropiętrowego budynku.

- Zdziwiałem, nawet nie widać, żeby cokolwiek utykał - powiedział z wyraźnym podziwem doktor Brink.

- Taką miałem nadzieję, Ottonie.

Rolf był w siódmym niebie. Gdy wrócili z kliniki do willi doktora, natychmiast udał się na długi, szybki spacer i kiedy wreszcie zasapany, ale nad wyraz zadowolony, powrócił i zobaczył go w drzwiach, powiedział:

- Pamiętasz, Ottonie, jak kiedyś mi powiedziałaś, że proces mojej rehabilitacji zakończy się na dobre dopiero wtedy, gdy będę w stanie zapomnieć o tym, że nie mam nogi i poruszam się na protezie?

- Pamiętam to doskonale, to było dosyć dawno, ale do dzisiaj nie zmieniłem zdania.

- Myślę, że będzie to możliwe z tą protezą. Zajęło mi to prawie trzydzieści lat...

Pożegnali się następnego dnia rano. Otton i Erika patrzyli z zainteresowaniem, jak Rolf na podjeździe szycował do drogi swojego harleya.

- Nie zapominaj o nas, Rolfe. Odezwij się natychmiast, jak tylko będziesz wiedział, co z tym twoim wyjazdem do Polski.

- Na pewno dam ci znać, Ottonie. Przrzekam.

Podszedł do nich, uściskał się serdecznie z Eriką i ścisnął prawicę Ottona.

- Dziękuję za gościnę, moi drodzy. Mam nadzieję, że wreszcie kiedyś wybierzecie się do mnie, do Monachium. Jeszcze nigdy nie gościłem was razem.

- Przyjedziemy na weekend po twoim powrocie z Polski, przypilnuję tego - powiedziała, śmiejąc się i przytulając do męża, Erika.

Rozdział 18

Rolf wsiadł na harleya, odpalił silnik, który zadudnił z obu rur imponującym i niepowtarzalnym harleyowskim rytmem, papam, papam, papam... Jeszcze raz odwrócił się do nich, pomachał ręką, uśmiechnął się zza opuszczonej szyby kasku i wyjechał na ulicę.

Ruszył w kierunku autostrady prowadzącej do Monachium. Proteza sprawowała się znakomicie i czuł się z nią tak, jakby miał ją od zawsze. „Nareszcie mam coś, na co czekałem prawie trzydzieści lat” - pomyślał i usadowił się wygodnie na szerokiej kanapie harleya. Ruch wokół Zurychu był spory i musiał uważać, zanim wreszcie dostał się na szosę w kierunku St. Gallen, a potem na pamiętną drogę do Dornbirn, gdzie kiedyś razem z Ottonem przekroczyli granicę.

Dalej była już nowa, szeroka autostrada, którą pomknął jak strzała. Przez całą drogę myślał o tym, jak zaplanować wyjazd do Polski, i gdy po dwóch godzinach był na miejscu, wiedział już dokładnie, co ma robić. Wprowadził harleya do garażu i szybko ruszył wyłożoną granitowymi, łupanymi płytami alejką w kierunku domu. Wziął prysznic, przebrał się, usadowił w fotelu i podniósł słuchawkę telefonu.

- Tom Gessling, słucham - powiedział sympatyczny głos po drugiej stronie.

- Tu Rolf von Dornhoff, mogę ci zająć chwilę?

- Witaj, Rolf, miło cię słyszeć. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Tom, potrzebuję skontaktować się z Wojtkiem, jednym z Polaków, których poznałem w Utrechcie. Podobno pojechali z tobą do Amsterdamu. byłoby to możliwe?

- Oczywiście, że tak, nie ma żadnego problemu. Tylko że w tej chwili są w pracy, wracają po osiemnastej. Mogę oddzwonić, jak wrócą. To coś ważnego?

- Nie, nic takiego. Wspominali tylko, że będą pod koniec miesiąca wracać do Polski i pomyślałem sobie, że mógłbym skorzystać z okazji i zabrać się z nimi. Chętnie bym się gdzieś dalej przejechał, od czasu wojny nie byłem w Polsce i miałbym przewodników.

- Superpomysł, nie będziesz żałował! Przedzwonię do ciebie, jak wrócą.

- Dobrze, dziękuję ci, Tom, będę czekał - powiedział Rolf i odłożył słuchawkę.

Decyzja zapadła i nie miał już żadnych wątpliwości. Czuł, że zbliża się nieodwołalnie moment, o którym myślał przez ostatnie trzydzieści lat. Ale tym razem miał silne, graniczące z pewnością przecucie, że wszystko uda mu się wreszcie pomyślnie zrealizować.

był w doskonałym nastroju i nagle poczuł się głodny. Po chwili uświadomił sobie, że nie jadł od samego rana i postanowił zamówić przez telefon chińszczyznę z pobliskiej znanej

mu restauracji, z której usług często korzystał. A potem poszedł do swojego gabinetu i wziął się za studiowanie mapy Polski.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, była bardzo uboga sieć dróg i zupełny brak autostrad. „Coś niesamowitego, od wojny nic się tam nie zmieniło” - pomyślał.

Wyjął z oszklonej witryny dla porównania starą mapę samochodową Europy z 1938 roku. Tak jak podejrzewał, obie mapy na terenie obecnej Polski prawie w ogóle się nie różniły. „Czy oni tam nie używają samochodów? Może to i lepiej, gdyby się tak rozbudowali jak my w ostatnich trzydziestu latach, to pewnie w moim miejscu nad Pisą stałyby już dwa betonowe mosty i po starym dębie nie byłoby śladu...” - pomyślał Rolf.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Przywieźli zamówioną chińszczyznę, Rolf zszedł na dół, odebrał parującą paczkę i wrócił do gabinetu. Zapach dochodzący z papierowej torby spowodował, że z apetytem zabrał się do jedzenia, a wszystko jak zwykle smakowało znakomicie.

Przeważnie tak się odżywiał. było w okolicy kilka dobrych restauracji, które znał i do których miał zaufanie. W zależności od tego, na co miał apetyt, wybierał przez telefon coś do jedzenia w jednej z nich. był stałym i znanym klientem, przywozili to, co zamówił, najpóźniej po dwudziestu minutach, i nigdy nie poczuł się zawiedziony. Jedzenie było zawsze smaczne, świeże i nie musiał zatrudniać kucharki. Cenił sobie swoją samotność, dobrze jej strzegł i nie lubił, gdy po domu kręcili się obcy ludzie.

Dom był duży, więc sprzątaczką przychodziła regularnie trzy razy w tygodniu, ogrodnik raz na tydzień i to było wszystko, czego potrzebował. Jego dom i wielki, trochę oddalony garaż, stały na wydzielonej z reszty posiadłości, obsadzonej roślinnością działce, ogrodzonej wysokim, zarośniętym dzikim winem i zbudowanym z ciemno wypalanej cegły murem. Metalowe, kute drzwi na tyłach domu prowadziły na teren jego firmy, wprost do okazałego, wykładanego marmurowymi płytami budynku biurowego, w którym miał swój gabinet.

Wpadał tam regularnie wtedy, gdy w domu pojawiała się sprzątaczką, starsza kobieta, imigrantka z Jugosławii. Nie cierpiał szumu odkurzacza i jej jękliwego zawodzenia podczas pracy...

Sprawdzał księgi i jakieś rachunki, podpisywał przygotowane dla niego przez sekretarkę pisma i faktury, odpisywał na listy, które były adresowane do niego osobiście, i po kilku godzinach wychodził. Czasami rozmawiał ze swoim siostrzeńcem, pełniącym oficjalnie funkcję prezesa firmy, który zdawał mu relację ze stanu finansów, ilości zamówień i planów rozwoju.

Nie poświęcał na to zbyt wiele czasu. Stan konta bankowego i audyty, które regularnie zlecał niezależnej firmie, były dla niego najlepszą gwarancją, reszta go nie interesowała. Wśród pracowników zespołu menedżerskiego uchodził za wyniosłego i bezdusznego arystokratę. Ludzie mieli dla niego dużo szacunku, ale był to szacunek podszyty strachem i najlepiej się czuli, gdy w firmie go nie było. Rolf von Dornhoff wiedział o tym i celowo podtrzymywał ten wizerunek, nie mając zamiaru go zmieniać.

W duchu śmiał się z tego, bo tak naprawdę był zupełnie inny, niż się to otaczającym go ludziom wydawało. Potrafił być ciepły i serdeczny, ale zostawiał to sobie na inne okazje. Uważał, że większość ludzi na to nie zasługiwała, bo z reguły starali się to jakoś wykorzystać, a on nie zamierzał nikomu ułatwiać życia. Zazwyczaj trzeba było nieźle zapracować na to, żeby zdobyć jego zaufanie, i niewielu ludziom się to udawało.

Chińszczyzna jak zwykle była przepyszna. Rolf skończył, poskładał opakowania i wyrzucił je do pojemnika. Potem, syty i trochę zmęczony podróżą oraz czekającymi go emocjami, przysnął na chwilę w swoim fotelu. Obudził go dzwonek telefonu.

To była jego sekretarka, panna Woelke.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie prezesie, ale mam bardzo pilne pismo do podpisania, a pańskiego zastępcy w tej chwili nie ma. Czy mogę podrzucić?

- Tak, bardzo proszę, jestem u siebie. Przy okazji, proszę pilnie zadzwonić do polskiego konsulatu w Monachium i zapytać się o tryb przyznawania wiz turystycznych do Polski. Wybieram się tam niedługo i mogę czegoś takiego potrzebować.

- Oczywiście, panie prezesie, zaraz to zrobię. i przyślę gońca z pismem za parę minut. Dziękuję panu.

Odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek - dochodziła osiemnasta. „Powinni niedługo zadzwonić” - pomyślał. Podeszedł do okna, spojrzął na dół i wyszedł z gabinetu w kierunku schodów, żeby odebrać pismo od gońca, który właśnie zbliżał się do drzwi na tyłach domu.

Wrócił do siebie na górę i wtedy znowu zadzwonił telefon. Tym razem ten, na który czekał.

- Rolf? Mówi Tom, jest tu obok mnie Wojtek, jeśli masz ochotę z nim pogadać, to daję mu słuchawkę.

- Oczywiście, daj mi go, dziękuję.

Wojtek był wyraźnie zadowolony z tego, że Rolf zadzwonił. Był ciekawy, o co właściwie chodzi, i jak to on, w bardzo bezpośredni sposób natychmiast o to Rolfa zapytał.

- Nic poważnego się nie stało - odpowiedział Rolf. - Sorry, że was niepokoję, ale mam pewną propozycję. Postanowiłem zrobić sobie wycieczkę do Polski, jesz cze w tym sezonie, i

pomyślałem, że mógłbym do was dołączyć, jak będziecie wracali z Holandii. Co ty na to, Wojciek?

Odpowiedź była natychmiastowa i bardzo spontaniczna.

- Nie ma problemu, z przyjemnością pokażemy ci kawałek Polski i przy okazji poznamy cię z resztą naszych przyjaciół, harleyowców z Warszawy.

- Super, bardzo się cieszę. A znajdziemy trochę czasu, żeby się wybrać nad Piśę i odszukać miejsce, o którym wam opowiadałem?

- Oczywiście, że tak. Wybierzemy się tam w pierwszy weekend po powrocie do Polski. Początek września, powinna być ładna pogoda, spodoba ci się.

- Wspaniale, rozumiem, że jesteście umówieni? Wpadniecie po drodze do mnie, tak jak mówiliśmy, czy mam na was czekać gdzieś na trasie?

- Za dwa tygodnie, w sobotę rano, ruszamy w drogę i możemy jechać przez Monachium, ale będzie cię to kosztowało po baku benzyny dla każdego z nas. Musimy ładny kawałek nadłóżć...

- Niech będzie, dam wam nawet po dwa, mam firmę transportową. - Rolf zaśmiał się. - A prześpicie się u mnie, miejsca jest dosyć, zapraszam serdecznie!

- Jak tak, to jesteście umówieni. Zadzwon jeszcze do nas i zostaw nam dokładne wskazówki, jak najłatwiej do ciebie dojechać, żebyśmy się nie błękali po tych autostradach...

- Tak zrobię, dzięki! Łatwo mnie odszukać, nawet nie trzeba do Monachium wjeżdżać. Odezwę się jeszcze i wszystko wam dokładnie wyjaśnię. Trzymajcie się i do zobaczenia!

- Czekamy zatem na twój telefon - powiedział Wojtek i odłożył słuchawkę.

* * *

Rolf odetchnął z ulgą i rozradowany uśmiechnął się do swoich myśli. Wszystko układało się tak, jak to sobie zaplanował. Jak zwykle stało się to nagle, zupełnie niespodziewanie i urosło w nim w ciągu kilku ostatnich dni tak szybko, jak pęd bambusa. Emocje sięgały zenitu, ale czuł się naładowany jakąś pozytywną energią, która go uskrzydlała.

A więc tak to miało być... Niesamowity splot przypadków, który do tego wydawał się prowadzić, zdumiewał go najbardziej. Wydawało mu się, jakby jakaś niezidentyfikowana siła kierowała jego poczynaniami i misternie splatała ze sobą losy różnych ludzi, prowadząc do z góry znanego zakończenia.

Zburzyło to na dłuższy czas spokój jego umysłu. Był realistą, pragmatykiem i nie wierzył w coś, co ludzie nazywali przeznaczeniem. Uważał, że tak zwane szczęście lub jego brak w życiu - na co narzekała większość znanych mu ludzi - jest tylko wypadkową sumy

pewnych pomyślnych lub niekorzystnych zdarzeń. „Jeden wygra na loterii, a drugi wpadnie pod samochód, to wszystko” - zwykł był mawiać, gdy czasami zdarzało mu się rozmawiać na takie tematy, przeważnie z Ottonem.

„Nic nie jest nikomu pisane, Ottonie - dodawał. - To my sami zapisujemy karty naszego życia, podejmując takie czy inne decyzje, a o tym, co z tego wyjdzie, decyduje przypadek”.

Niepokoiło go tylko to, że coś za dużo tych przypadków zaczęło się wokół niego gromadzić. Zaczynało to już wyglądać jak dokładnie napisany scenariusz, realizowany w teatrze przez sprawnego reżysera. „No cóż, w końcu całe nasze życie to nic innego jak wielki teatr - uspokajał sam siebie. - Jeden stoi w rogu z halabardą, a drugi obściskuje w kącie primabalerinę, to wszystko”.

Na wszelki wypadek postanowił zadzwonić do Ottona Brinka, żeby podzielić się z nim swoimi przemyśleniami.

- Witaj, Rolfe, Ottona jeszcze nie ma w domu, przesiaduje ostatnio do późna w klinice, mają dużo pracy - powiedziała Erika, odbierając telefon. - Czy coś mu przekazać?

- Nie, nie fatyguj się, chciałem tylko sobie z nim trochę pogadać. Wiesz, takie nasze męskie rozmowy o życiu, lubimy sobie czasami pofilozofować... Jadę niedługo do Polski dzięki tym wszystkim zbiegom okoliczności, które mnie ostatnio bardzo lubią, i trochę mnie to zaczęło zastanawiać, to wszystko.

- Faktycznie, dziwnie to może wyglądać. - Roześmiała się. - Na twoim miejscu nie przejmowałabym się tym zanadto. Raczej cieszyłabym się, że tak dobrze mi się wszystko układa. bierz od życia to, co ci daje, i nie zastanawiaj się, czy na to zasługujesz, to nie ma sensu...

- Pewnie masz rację, tak zresztą zawsze staram się robić. Ale dobrze byłoby się upewnić. - Roześmiał się do słuchawki.

- Sądysz, że kompetencje mojego Ottona sięgają tak daleko, Rolfe? Jest wprawdzie znakomitym doktorem, ale w końcu to tylko ortopeda, a nie wyrocznia. Nie wiem, czy mógłby ci pomóc - zażartowała.

- Nigdy nie zaszkodzi mieć drugą opinię, Eriko - odparował.

Porozmawiali jeszcze chwilę i Rolf pożegnał się, prosząc, żeby Otton zadzwonił do niego podczas weekendu, jeśli oczywiście znajdzie trochę wolnego czasu.

- Dla ciebie zawsze go znajdzie. Powtórzę mu wszystko i przypilnuję, żeby to zrobił. Dobranoc, Rolfe - powiedziała Erika i odłożyła słuchawkę.

Rozdział 19

„Co za kobieta, piękna i na dodatek inteligentna - pomyślał Rolf. - Ten mój przyjaciel Otton to prawdziwy szczęściarz. Chyba mu trochę zazdroścę... A może i ja powinienem spróbować trafić na swoje szczęście? Ale siedząc tak cały czas w domu, chyba go nie znajdziesz, kapitanie von Dornhoff” - powiedział do siebie...

Zamyslił się na chwilę i nagle pewna myśl przysłała mu do głowy. Sięgnął po notatnik leżący obok telefonu, odszukał jakiś numer i wystukał go na klawiaturze.

- Rolf, to naprawdę ty? - odezwał się miły, niski, kobiecy głos. - Myślałam, że już do mnie nie zadzwonisz! Wpadnij do klubu, mamy dzisiaj turniej bilardowy, jest bardzo wesoło, są wszyscy znajomi. Kończę o dziesiątej i może znowu pójdziemy gdzieś na kolację, pogadamy o harleyach, co ty na to?

Nie zastanawiał się długo.

- Dobrze, będę za pół godziny, do zobaczenia.

Katrin była nowo zatrudnioną barmanką w klubie golfowym, do którego należał od lat. Nie grał często w golfa, nie rajcowało go to, ale miał tam sporo znajomych, z którymi lubił porozmawiać i wypić parę piw od czasu do czasu. Sami lokalni biznesmeni, z niektórymi z nich jego firma prowadziła nawet jakieś interesy, o których nie miał zbytniego pojęcia.

Poznał ją niedawno i dobrze im się ze sobą rozmawiało. Może dlatego, że też jeździła na harleyu, co mu bardzo zaimponowało. Miała nowego sportstera i gdy podjechała pod klub w swoim czarnopomarańczowym, skórzanym, obcisłym i znakomicie podkreślającym walory jej sylwetki kombinezonie, wszyscy podeszli do okien i aż im mowę odebrało.

A ona zdjęła kask, rozpuściła swoje kasztanowo-rude długie włosy i powoli ruszyła w kierunku wejścia dla personelu. była świadoma tego, że na nią patrzą, i celowo poruszała się prowokująco, z kocią gracją, udając, że tego nie dostrzega. Na oko koło trzydziestki, wysoka i mocno zbudowana, ale piekielnie zgrabna, robiła na mężczyznach piorunujące wrażenie, gdziekolwiek się pojawiła.

Gdy tylko stanęła za kontuarem, od razu zrobiło się tłoczno przy barze. Rolf, rozmawiając z grupą znajomych nieco na boku, obserwował ją z ciekawością i czekał cierpliwie, aż zrobi się przy niej trochę miejsca.

W końcu podszedł, zamówił jakiegoś drinka i powiedział:

- Witaj, jestem Rolf, nie miałem jeszcze okazji cię poznać. Od dawna tu pracujesz?

- Miło mi, jestem Katrin, niedawno zaczęłam, dwa tygodnie temu. Też pierwszy raz cię tu widzę. Chyba niezbyt często tu bywasz?

Zaczęli rozmawiać i Rolf z przyjemnością stwierdził, że dobrze się czuł w jej towarzystwie. Wypił kilka kolejnych drinków i gdy wieczór klubowy powoli dobiegał końca, sam nie wiedząc, czemu to robi, zaprosił ją na kolację.

Popatrzyła na niego uważnie tymi swoimi zielonymi oczami koloru jaspisu, uśmiechnęła się i po prostu się zgodziła.

- OK, kończę o dziesiątej i nikt na mnie nie czeka w domu. Z chęcią pójde coś zjeść.

Spędzili miły wieczór w jednej z pobliskich restauracji i chyba zaglądał jej zbyt głęboko w te zielone oczy, bo od razu poczuł, że coś się między nimi zaczęło nawiązywać. Spłoszył się trochę, ochłonał i po kolacji odwiózł ją do domu. Zanim się rozstali, obiecał jej, że się znowu zobaczą, ale nazajutrz, gdy to przemyślał, włączył mu się dzwonek alarmowy i postanowił trochę odczekać. Musiała go jednak bardzo zaintrygować.

Często o niej myślał w następnych dniach i korciło go, żeby zatelefonować, ale jakoś wytrzymał cały następny tydzień. A potem pojechał na zjazd do Utrechtu i znowu musiał to odłożyć na później. Dopiero rozmowa z Eriką przypomniała mu, że czegoś mu brakowało, a tym czymś, z czego natychmiast zdał sobie sprawę, było towarzystwo Katrin.

Gdy podjechał na parking przed klubem, pierwszą rzeczą, którą zauważył, był czarnopomarańczowy HarleyDavidson Sportster.

W klubie jak zwykle było sporo ludzi, panował hałas podniesionych głosów i słychać było dźwięki energicznie uderzanych kul bilardowych.

Stała za barem i z rozbawieniem słuchała tokowania kilku młodych mężczyzn, których Rolf znał tylko z widzenia. Usiadł przy barze na wolnym stołku, a ona z uśmiechem przeprosiła młode „cietrzewie” i podeszła natychmiast do niego.

- Cieszę się, że znowu cię widzę, Rolf. Czego się napijesz? Myślałam, że zadzwonisz do mnie - powiedziała z cichym wyrzutem, nachylając się w jego stronę.

Zebrał się w sobie, podniósł głowę i desperacko spojrzął w przepastną zieleń jej oczu. Ich spojrzenia się spotkały i Rolf poczuł, że tonie...

- Chyba musimy poważnie porozmawiać, jak dorośli ludzie - powiedziała z uśmiechem. - Za pół godziny kończę - dodała i postawiła przed nim jego drinka.

I wtedy nagle wszystko zrozumiał i znowu poczuł, że życie jest piękne i że warto żyć dla takich chwil. Jego dzwonek alarmowy zadzwieczał jeszcze raz, załośnię i jakby z oddali, a później zamilkł kompletnie. „Jestem zgubiony” - zdążył jeszcze pomyśleć...

Wypił swojego drinka i wyszedł na zewnątrz.

- Na co masz ochotę? - zapytał, gdy usiadła obok niego w samochodzie.

- Jest tu niedaleko taka mała, włoska knajpka, jedźmy tam.

To był dobry wybór, o tej porze nie było tam zbyt wielu ludzi i mogli swobodnie porozmawiać. Rolf czuł się dziwnie skrępowany i nie wiedział, od czego zacząć, ale Katrin przysunęła się do niego, spojrzała mu w oczy i powiedziała:

- Rolf, czuję, że coś się między nami zaczyna dziać, ale zanim będzie za późno, muszę ci coś powiedzieć. Chcę, żeby nie było między nami niedomówień.

- Dobrze, Katrin, podobają mi się jasne sytuacje. Ja też chciałbym ci coś wyznać, zanim, jak to powiedziałaś, będzie za późno. Zaczynaj pierwsza, mam nadzieję, że jakoś to wytrzymam, jestem dorosłym chłopcem...

Katrin zaczęła mówić, a on słuchał jej uważnie i napięcie, które odczuwał, powoli zaczynało ustępować.

- Bardzo mi się podobasz, Rolf, i przyznaję, że dziwnie mnie do ciebie ciągnie, ale nie szukam stałego związku - mówiła, patrząc mu prosto w oczy. - Niedawno rozwiodłam się po sześciu latach burzliwego małżeństwa i mam dosyć takich układów. Jestem teraz sama, samodzielna i nie mam zamiaru tego zmieniać. Jeśli możesz to zaakceptować, to nie mam nic więcej do powiedzenia - skończyła.

- Mogę to zaakceptować, Katrin, i nawet mi to pasuje, bo ja też nie szukam stałego związku - odpowiedział spokojnie Rolf. - Nie mam żony, gdyby cię to interesowało, i nie szukam jej. Chciałbym ci tylko wyznać coś, co mogłoby cię zaskoczyć, a nie lubię takich sytuacji.

Spojrzała na niego wyraźnie zaintrygowana.

- Zaskoczyć, mnie? Rolf, skończyłam już trzydziestkę i to parę lat temu, gdybyś nie wiedział. Jestem doświadczoną kobietą i mało co może mnie zaskoczyć. - Zaśmiała się.

- Myślę, że jednak cię zaskoczę, Katrin. Chcę, żebyś wiedziała, że nie mam jednej nogi, używam protezy. Jestem kaleką, Katrin. Zaskoczona?

Nawet nie próbowała udawać, że jest inaczej.

- Ty nie masz nogi? Niemożliwe, w ogóle tego nie widać...

- Wybacz, trudno chyba ode mnie wymagać, żebym w tej sytuacji chodził w krótkich spodenkach - zażartował. - A poza tym mam dobrą protezę. Najlepszą.

Odsunęła się trochę z krzesłem od stołu i spojrzała na jego nogi badawczo.

- Od kolana w dół, prawa - powiedział.

- Jak to się stało? - zapytała.

- Długa historia, z wojennych czasów. Może kiedyś ci opowiem, o ile nasz związek

przetrwa tak długo...

Przechyliła się w jego stronę, objęła go ramieniem i pocałowała w policzek.

- W takim razie musimy od czegoś zacząć, i to jak najszybciej - powiedziała.

Uregulował rachunek i pojechali do niej. Wypili butelkę szampana i szybko okazało się, że to, czego Rolfowi brakowało od kolana w dół, dało się zrekompensować tym, co miał nieco wyżej... Nie miał kobiety od dłuższego czasu i gdy zdyszani, po raz kolejny odpoczywali obok siebie, Katrin spojrzała na niego tymi swoimi zielonymi jak jaspis oczami, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Dobrze, że cała reszta jest w porządku, tylko następnym razem zdejmij tę protezę, bo w pewnych sytuacjach cholernie mnie uwiera...

Obudził się obok niej w doskonałym nastroju, daw no tak dobrze się nie czuł. Leżał spokojnie i patrzył na nią, jak spała. Podziwiał jej kasztanowe włosy rozrzucone na poduszce i gładką, aksamitną skórę na odkrytych ramionach.

Przypomniał sobie, jak Otton Brink podczas jednej z ich rozmów powiedział mu: „Wiesz, Rolfe, jest tylko jeden kanon i ostateczne kryterium kobiecej urody. Gdy budząc się rano obok niej, patrzysz na nią, jak jeszcze śpi, z włosami w nieładzie, bez makijażu, z rozmazaną szminką na ustach i nadal myślisz, że jest piękna, to naprawdę jest piękna...”

Katrin bez wątpienia spełniała to kryterium.

Gdy wychodził od niej, umówili się, że do niej zadzwoni. Pocałowała go na pożegnanie i powiedziała:

- Mam nadzieję, że tym razem nie każesz mi tak długo czekać. Spodobało mi się - rzuciła za nim, gdy już był za drzwiami.

* * *

Pojechał do siebie, wziął prysznic, przebrał się i wpadł na godzinę do swojego biura. Podpisał kilka ofert i poszedł do domu. Sprzątaczką miała akurat wolne, więc mógł spokojnie posiedzieć w gabinecie. Wziął się za studiowanie starych map sztabowych Polski, ale nie mógł się skoncentrować. W końcu zadzwonił do niej.

- Czekałam na twój telefon, co ci tak długo zajęło?

- Masz ochotę na przejażdżkę harleyem? Jest piękna pogoda, mogę podjechać.

- Przecież zostawiłam swojego sportstera pod klubem.

- Nie szkodzi, pojedziemy moim, a w drodze powrotnej wpadniemy tam, to zabierzesz swój motocykl. Szykuj się, za pół godziny będę u ciebie.

Gdy podjechał, czekała już na niego na parkingu w swoim pomarańczowoczarным kombinezonie. bez słowa usiadła za nim i pojechali przed siebie, bez celu.

Przytuliła się i ścisnęła go mocno udami. Od razu wiedział, że daleko nie pojedą i na najbliższym skrzyżowaniu zawrócił.

- Dokąd jedziemy? - zapytała z niewinną miną.

- Wpadniemy do mojego domku, pokażę ci coś, na pewno ci się spodoba.

Dodał gazu i po piętnastu minutach wjechał na podjazd przed swoją rezydencją. Zatrzymał motocykl i zgasił silnik. Zsiadła pierwsza, zdjęła kask i ze zdumieniem zaczęła się rozglądać po jego posiadłości. Patrzył na nią z uśmiechem.

- To ma być ten twój „domek”, o którym wspomniałeś? Nazywasz to domkiem?

- Tak, tak to nazywam, to jest mój domek.

- Ty draniu, zakpiłeś ze mnie. - Roześmiała się. - Jesteś nieprzyzwoicie bogatym, cynicznym draniem, Rolfe von Dornhoff. Czuję się jak idiotka. Drogo mi za to zapłacisz...

- Przepraszam cię, Katrin, nie miałem złych zamiarów, ale nie pytałaś nigdy o mój stan majątkowy. Chyba nie muszę się wstydzić tego, że jestem, jakby to powiedzieć, dość zamożny. Ciężko na to zapracowałem.

- To wszystko twoje?

- Tak, to za ceglanym murem też - odpowiedział, wskazując na przeszkłony biurowiec, na którym powiewała niebieska faga z białym napisem „Dornhoff Company Ltd.”.

- Firma Dornhoff to ty? Że też od razu tego nie skojarzyłam, co za idiotka ze mnie. boże, kiedy ja wreszcie nabiorę rozumu.

- Katrin, na litość boską, daj spokój, co miałem zrobić, ukrywać to przed tobą? Przecież to nie moja wina, że jestem właścicielem firmy. Chodź lepiej ze mną, pokażę ci coś, co cię uspokoi.

Wziął ją za rękę i poszli aleją w kierunku garażu. Wprowadził ją do środka bocznymi drzwiami i włączył światło. Ustawione obok siebie, wsparte na bocznych łapach i przechylone na tę samą stronę, stały jak na wystawie jego harleye, lśniąć chromem i wypolerowanym, metaliczno-niebieskim lakierem.

Katrin wydała cichy jęk zachwyty. Podeszła do nich i z niedowierzaniem oglądała każdy po kolei.

- Niewiarygodne, są jak nowe, na wszystkich jeździłeś?

- Tak, to jest mój pierwszy i ulubiony, kupiłem go w 1954 roku - wskazał na Hydrę Glide FLF. - Mają niewielkie przebiegi, bo co dwa, maksimum trzy lata sprowadzałem nowy model. i tak powoli powstała mała kolekcja.

- Mój były mąż rozplakałby się na ten widok - powiedziała, jak już trochę ochłonęła z pierwszego szoku. - Też jest harleyowcem, to dzięki niemu jeżdżę sportsterem i chyba jest to

jedyna rzecz, jaką mu zawdzięczam. Zaskoczyłeś mnie dzisiaj kompletnie, Rolfe von Dornhoff, nie wiem, co mam teraz zrobić.

- Czy to coś zmienia w naszych wzajemnych sto - sunkach?

- Obawiam się, że tak, ale nie wiem jeszcze na ile i muszę to dobrze przemyśleć. Na razie jestem w szoku i nie chciałabym powiedzieć czegoś głupiego.

- Nie bardzo rozumiem, w czym tkwi problem, jestem, kim jestem, i tyle. Jak cię poznałem i po raz pierwszy zaprosiłem na kolację, nie pytałem, kim ty jesteś.

- To prawda, wiem, że trochę głupio się zachowuję, ale lubię mieć z mężczyznami zrównoważone, partnerskie stosunki. Nie bardzo mogę sobie taki układ z tobą wyobrazić. Chyba czułabym się zdominowana przez ciebie, a tego nie lubię i nie chcę. Może powinieneś sobie poszukać kogoś ze swojej sfery, Rolfe von Dornhoff?

- Nie lubię kobiet z mojej sfery, Katrin. Obawiam się zresztą, że do niej nie należę i nie pasuję. Jedyne, co mam z nią wspólnego, to majątek, a to za mało. Jestem w duszy zwykłym harleyowcem, znasz ten typ. Nie możesz mnie po prostu tak traktować?

- Chyba będę się musiała tego nauczyć, ale może mi to zająć trochę czasu. - Katrin spojrzała na zegarek. - Mógłbyś mnie odwiedzić, Rolfe? Przepraszam cię, ale zupełnie o czymś zapomniałam.

- Oczywiście, skoro chcesz. Nie wstąpisz do mnie na kawę?

- Wybacz, może innym razem. - Pocałowała go w policzek. - Chodźmy już.

Odwiózł ją do domu swoim mercedesem. Niewiele rozmawiali podczas jazdy i kiedy się zatrzymał przed niewielkim apartamentowcem, w którym mieszkała, spojrzała na niego wyraźnie uspokojona i powiedziała:

- Zadzwoń do ciebie, Rolfe, muszę to wszystko przemyśleć.

- Tylko tym razem ty nie każ mi czekać zbyt długo, będę tęsknił.

- Postaram się szybko z tym uporać, nie martw się. Pa!

Zawrócił i pojechał do domu. Podobała mu się coraz bardziej, wiedział, że z niej nie zrezygnuje, i miał niezachwianą pewność, że niedługo znowu się zobaczą. „Jeszcze nie wiesz, Katrin - mruknął pod nosem do siebie - że do wszystkiego można przywyknąć, do majątku też. Wiem coś o tym...”

I jak zwykle miał rację. Zadzwoń do niego następnego dnia wieczorem i bez ceregieli kazała mu po siebie przyjechać do klubu.

- Skoro upierasz się, żebym cię traktowała jak zwykłego harleyowca, będziesz to miał, Rolfe von Dornhoff - powiedziała.

A potem wszystko między nimi potoczyło się tak, jak za pierwszym razem. Tylko

Rolf nie zapomniał już zdjąć tej nocy swojej protezy...

Było im dobrze ze sobą i chyba do siebie pasowali. Spędzali ze sobą każdą wolną chwilę i po tygodniu oboje wiedzieli, że zapowiada się między nimi na związek dłuższy, niż się oboje tego spodziewali. Katrin dała mu zapasowe klucze od swojego mieszkania, ale wciąż uparcie odmawiała jego propozycjom spędzenia nocy u niego. Nie mógł tego zrozumieć i nawet się nie starał, czekając cierpliwie, aż sama się z tym upora...

Rozdział 20

W czasie, gdy ona pracowała w klubowym barze, Rolf zajmował się studiowaniem sztabowych map wygrzebanych ze swoich zbiorów. Kupił też kilka najlepszych współczesnych map drogowych Europy i drobiazgowo porównywał pewne ich fragmenty z tym, co było na starej mapie sztabowej, którą tamtego pamiętnego dnia, w lipcu 1942 roku, dał mu Otton Brink.

Wszystko powoli zaczynało się układać w jedną całość i Rolf nabierał coraz silniejszego przekonania, że wreszcie zrealizuje to, co nie dawało mu spokoju przez ostatnich trzydzieści lat. Robił notatki oraz odręczne szkice i po kilku dniach miał w głowie wszystkie informacje, które udało mu się zgromadzić. Starał się też przypomnieć sobie szczegóły topograficzne miejsca, które przed odlotem do Berlina wskazał mu Otton.

Niestety, jedyną rzeczą jaką pamiętał, było niewielkie wzgórze nad rzeką, zarośnięte kępą mieszanego lasu, wśród której dominował stary, rozłożysty dąb. Ten obrazek nosił przed oczami od tamtej chwili, ale po latach sam już nie wiedział, czy to miejsce rzeczywiście tak wyglądało, czy było tylko wytworem jego wyobraźni - fatamorganą mglistych wspomnień człowieka

168 trawionego gorączką i przeżywającego szok wywołany tym, co mu się zdarzyło.

Wprawdzie wielokrotnie rozmawiał o tym z doktorem Brinkiem i ten potwierdzał prawdziwość jego wspomnień, a nawet dziwił się, że w takim stanie zdołał tyle zapamiętać, jednak wątpliwości nie udało mu się pozbyć do końca. Żeby to zrobić, trzeba było tam pojechać i zobaczyć to jeszcze raz na własne oczy.

Emocje Rolfa związane z perspektywą tego wydarzenia rosły z każdym dniem. Niecierpliwie oczekiwał na wiadomość od Wojtka i Andrzeja o terminie ich przyjazdu i powoli szykował się do drogi. Pewnego dnia zadzwoniła jego sekretarka.

- Panie prezesie, kurier właśnie przywiózł pański paszport, polska wiza jest już gotowa. Zaraz przyślę gońca.

Po kilku minutach w drzwiach pojawił się młody chłopak i Rolf odebrał od niego szarą kopertę. Niecierpliwie ją otworzył, wyjął swój paszport i nagle zdał sobie sprawę, że to się naprawdę dzieje i że za kilka dni znowu znajdzie się nad Pisą. Oglądał przez dłuższą chwilę wbity w polskiej ambasadzie stempel - „Polska Rzeczpospolita Ludowa” - przeczytał nagłówek. Sięgnął do słownika - „Co to jest ta Rzeczpospolita?” - zastanawiał się, próbując wymówić szeleszczące słowo. Okazało się, że to coś takiego jak republika, ale niezupełnie...

„Ciekawe” - pomyślał. i w tym momencie zadzwonił telefon.

- Rolf? Tu Wojtek, wyjeżdżamy z Amsterdamu w sobotę, u ciebie będziemy tego samego dnia wieczorem, OK?

- OK, Wojciek, wspaniale! Jestem gotowy, będę na was czekał. W razie czego zadzwonieć z jakiejś stacji benzynowej, to po was podjadę.

* * *

Wieczorem jak zwykle spotkał się z Katrin i postanowił powiedzieć jej o swoim planie podróży do Polski. Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Do Polski? - zapytała. - A co tam będziesz robił?

Opowiedział jej o spotkaniu z harleyowcami z Warszawy i o tym, że obiecali pomóc mu odnaleźć miejsce, w którym był w czasie wojny.

- Od dawna mnie ciągnęło, żeby tam pojechać, ale jakoś nie mogłem się zdecydować - mówił.

Oczywiście nie wspomniał ani słowem o swoim zamiarze i wielkiej misji odszukania szczątków nogi, którą tam zostawił... Nie chciał zapeszyć.

- Nie byłem w tym roku na żadnej dłuższej wyprawie moim nowym harleyem, cały czas lało i było zimno - tłumaczył. - Trafiła się okazja i postanowiłem ją wykorzystać. Trzeba się przejechać, żeby nie zardzewieć, i przy okazji zobaczyć, jak tam ta Polska teraz wygląda...

- Zazdroszczę ci, też bym chętnie pojechała z tobą, ale nie mam urlopu.

- Nie przejmuj się, następnym razem pojedziemy we dwoje. - Roześmiał się.

- To kiedy wybierasz się w drogę?

- W sobotę przyjeżdżają do mnie Polacy, o których ci opowiedziałem, i w niedzielę z samego rana startujemy.

Jeśli masz ochotę, możesz nas odprowadzić, przejechalibyśmy się razem kawałek drogi...

- Przemyślę to. - Roześmiała się.

- Słuchaj, Katrin, mam do ciebie prośbę. Jak przyjadą, chciałbym ich jakoś ugościć. Pomyślałem, że mogłabyś mi pomóc w roli pani domu, co ty na to? Zamówimy twoją ulubioną chińszczyznę, posiedzimy, pogadamy, poznasz ich.

- Można się z nimi jakoś dogadać?

- Chyba żartujesz... Zobaczysz, będziesz tak samo zaskoczona jak ja, kiedy ich poznałem. Zwłaszcza ten jeden, Wojciek, zrobił na mnie duże wrażenie. Wykształcony facet, biegły niemiecki, a nawija tak, że czułem się przy nim jak niemowa. - Zaśmiał się. - Ciekawe rzeczy opowiada i miło się z nim rozmawia.

- Aż mnie zaintrygowaleś, chyba będę musiała sama sprawdzić. Chętnie wpadnę do ciebie w sobotę i pomogę ci obsłużyć to towarzystwo. Jestem w końcu wykwalifikowaną barmanką...

- Wspaniale, dziękuję ci, Katrin, nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

- Na pewno dałbyś sobie radę, mój drogi. Ale na razie mamy czwartkowy wieczór, a ty jeszcze mnie dzisiaj nawet nie pocałowałeś, Rolfe von Dornhoff. Przysuń się do mnie, o tak, tak będzie lepiej, ty mój harleyowcu... Mógłbyś zdjąć tę swoją protezę...?

* * *

Wreszcie przyszła sobota, na którą tak czekał. Rolf poszedł z rana do garażu, popatrzył na swoje harleye, przeczyścił chromy, które i bez tego lśniły nieskazitelnie, i jeszcze raz sprawdził zawartość kufrów swojej najnowszej electry, którą miał jechać do Polski. Wszystko było bez zarzutu i po raz kolejny stwierdził, że był gotowy do drogi.

Godziny wlokły się niemiłosiernie, a on nie miał głowy, żeby zajmować się czymś innym, więc wyciągnął jeszcze raz swoje mapy i przeglądał miejsca, które zamierzał odwiedzić w Polsce.

Po południu przyjechała swoim sportsterem Katrin.

- Głodna jestem - zameldowała od progu. - Jeszcze nic dzisiaj nie jadłam.

Pocałowała go na przywitanie i pobiegła do kuchni. Zachowywała się w jego domu coraz swobodniej i Rolf z przyjemnością patrzył na nią sponad swoich map, gdy przygotowywała coś do jedzenia.

- Pięknie dzisiaj wyglądasz - powiedział do niej, gdy wniosła do salonu dużą tacę z przygotowanym naprędce posiłkiem.

Podeszła do niego i pocałowała go namiętnie.

- Znajomość z tobą mi najwyraźniej służy, Rolfe von Dornhoff, ale pozwól, że teraz coś zjem, bo zasłabnę z głodu i będziesz musiał mnie ratować...

Godziny mijały, telefon milczał jak zaklęty i Rolf zaczynał się niepokoić. Co jakiś czas wyglądał niecierpliwie przez duże okno w salonie i patrzył w kierunku bramy wjazdowej, podczas gdy Katrin przygotowywała szybko w kuchni jakieś zakąski. Właśnie po raz kolejny odchodził zawiedziony od okna, gdy nagle do jego uszu dotarł znajomy i niepowtarzalny dźwięk.

Dwa obciążone harleye wjechały w bramę, powoli skierowały się na podjazd i zatrzymały na miejscu parkingowym dla gości, obok stojącego tam sportstera.

Przybysze oparli motocykle na bocznych łapach, zdjęli kaski i z ciekawością rozglądali się po otoczeniu.

- Ale ma pałac, ja pierdolę - wyrwało się mimo woli jednemu z nich. - Jesteś pewny, że dobrze trafiśmy?

- Chyba tak, adres na bramie się zgadza, to musi być tu - odpowiedział ten drugi.

W tym momencie drzwi wejściowe otworzyły się i na ganku pojawił się Rolf von Dornhoff z szerokim uśmiechem i rozłożonymi w powitalnym geście ramionami.

- Wojciek, Chudy, witam was. Cieszę się, że dojechaliście! - krzyknął od progu i ruszył w ich stronę.

Przywitali się serdecznie, po harleyowsku, jak starzy przyjaciele.

- Jak się jechało, trafiście bez problemu?

- Doskonale, dokładnie według twoich wskazówek. Trochę nam to zajęło, bo po drodze mała awaria mi się trafiła, ale w końcu udało nam się dojechać.

- Super, zapraszam do środka, na pewno jesteście głodni i chcecie odpocząć. Weźcie ze sobą tylko osobiste rzeczy, reszta może zostać na motocyklach. Nie martwcie się, na pewno nic tutaj nie zginie - powiedział z uśmiechem, patrząc na ich niepewne miny.

Zdjęli z motocykli podręczne, przyczepione gumami do bagażników torby i poszli za nim, rozglądając się ciekawie. Rolf zaprowadził ich do jednej z gościnnych sypialni na dole.

- Tu możecie się dzisiaj przespać, są dwa zaścielone łóżka, łazienka jest obok, jakbyście chcieli się odświeżyć po podróży. Jak będziecie gotowi, schodami na górę do holu, do końca i w prawo. Przygotowałem coś do jedzenia, pewnie zgłodnieliście.

- Dzięki za gościnę, Rolf, daj nam pół godzinki, musimy domyć się trochę po remoncie na drodze. - Wojtek zaśmiał się, pokazując czarne od smaru dłonie.

- Czekam w takim razie na górze - powiedział Rolf i zostawił ich samych.

Popatrzyli po sobie z uśmiechem i zaczęli się przebierać.

- Jak żyję nie byłem w takim domu - Chudy zaśmiał się. - Myślałem, że ta chałupa Toma w Amsterdamie jest duża, ale to pikuś w porównaniu z tym pałacem. Jak pomyślę o swoim M-3 w Warszawie, to mnie pusty śmiech ogarnia. Jest chyba mniejsze od tej sypialni... Ładnie nas te komuchy urządziły. Niemcy podobno przegrali wojnę, a zobacz, jak żyją...

- Daj spokój, nawet mi o tym nie mów, szkoda słów - powiedział Wojtek. - Czuję się tutaj jak jakiś ubogi krewny z prowincji. Upokarzające uczucie, nie lubię tego. Wiesz, Chudy, czasami żałuję, że ruszyłem się z kraju. Siedziałby człowiek w Polsce, pił spokojnie piwo z menelami na podwórku, o niczym by nie wiedział i miałby spokój. A tak, wyjedziesz z tego grajdoła, poszerzysz tak zwane horyzonty, zaczniesz się porównywać z innymi i chujowo to porównanie wychodzi. Harleya mi się zachciało, kurwa mać. Wufemkę i gumoflce trzeba było sobie kupić...

Popatrzeli na siebie i na swoje złachane skórzane kurtki, na wytarte džinsy z łatami na kolanach i zaczęli się obaj śmiać, śmiechem zaraźliwym i nie do powstrzymania, ale takim, po którym wcale nie robi się człowiekowi wesoło. W końcu przestali i jak na komendę zaczęli ściągać z siebie przepeczone motocyklowe stroje.

- Wystarczy tylko popatrzeć, jak my w tych łachach wyglądamy, trzecia liga, kurwa mać!

- Mówią, że podróże kształcą, ale coś mi się wydaje, że niezbyt ci się podoba to, czego się tutaj o sobie dowiedziałeś - powiedział Chudy, mocując się z zaciętym suwakiem w spodniach. - Kiedyś się w gacie zesram przez ten cholerny suwak - wymamrotał wściekle...

- A kto się lubi dowiadywać takich rzeczy o sobie? Popatrz tylko, Chudy - nie jesteśmy najgłupszy, dobrze wykształceni, ciężko pracujemy i co my z tego mamy? Musimy się czuć jak pariasi tylko dlatego, że urodziliśmy się w komunie. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. - Zaśmiał się ironicznie. - Pójdę do łazienki, zanim ty się uporasz z tym suwakiem. Tylko żebyś sobie czego nie przyciął...

W końcu przebrani i odświeżeni poszli na górę. W salonie czekał na nich Rolf z jakąś kobietą. Była piękna. Siedzieli obok siebie na sofie i śmiejąc się, o czymś rozmawiali.

- To jest Katrin, moja dziewczyna i prawdziwa fanatyczka Harleja, jeździ tym sportsterem, który stoi na parkingu, poznajcie się - powiedział Rolf, wstając z kanapy.

Przywitali się po kolei. Chudy zrobił tym razem wyjątek i nie próbował na Katrin demonstrować swojego imadła w dłoni, ale i tak syknęła, potrząsnęła ręką i roześmiała się, pokazując swoje nieskazitelne uzębienie.

- Ty musisz być Chudy. Rolf opowiadał mi o tobie i przestrzegał, żebym uważała, ale zapomniałam. Jestem Katrin, miło mi cię poznać.

Sytuacja się od razu rozluźniła i dalej już wszystko potoczyło się tak, jakby się znali od lat.

Wojtek, jak to on, od razu zaczął rozwijać przed nimi swój talent gawędziarza i zaczarował ich kompletnie. Rolf i Katrin słuchali bez słowa, zafascynowani jego opowieścią, i tylko od czasu do czasu zadawali jakieś pytania.

A on opowiadał im o życiu w Polsce, o sowieckiej okupacji, o komunistycznym zakłamaniu i o tym, że kiedyś to wszystko runie jak domek z kart. Mówił o tych wszystkich paradoksach, które zamieniały życie ludzi w tym systemie w jakiś ponury żart i powodowały, że wszystko w tym kraju działo się „na niby”. Niby było, ale nie do końca... Pytany o przeciętne zarobki w Polsce, odpowiedział znanym żartem.

- My udajemy, że pracujemy, a oni udają, że nam za to płacą... Ale nie to jest

najgorsze, tylko to, że traktują ludzi jak swoją własność i o wszystkim za nich chcą decydować. Oni decydują, jak mam myśleć, gdzie mam pracować, gdzie mam mieszkać, czy wolno mi wyjechać z kraju, a jeśli tak, to dokąd. Nam się udało, bo ostatnio złagodzili trochę przepisy paszportowe. Nie dlatego, że są tacy dobrzy, tylko dlatego, że nabrali pożyczek z zachodniej Europy i teraz ta naciska i upomina się o przestrzeganie w Polsce praw człowieka, w tym wolności podróżowania. Dzięki temu mogliśmy tu przyjechać.

- To musi być straszne, żyć w takim kraju - powiedziała Katrin, wyraźnie poruszona jego opowieścią.

- Wbrew pozorom można wytrzymać. Ale tylko dlatego, że nikt tego nie traktuje poważnie, łącznie z nimi. To jest jedna, wielka farsa, żyjemy w teatrze. Wydaje się to nieprawdopodobne, ale przyzwyczaić się można do wszystkiego, nawet do takiego cyrku. Pewnie nie wiecie, ale Polska jest jedynym krajem bloku wschodniego, w którym nie ma partii komunistycznej i nie stawia się pomników Lenina.

- Mówisz poważnie czy żartujesz?

- Całkiem poważnie, komuchy ich nie stawiają, bo nie zdążyliby z nich wycierać czerwonej farby i wolą uniknąć kompromitacji...

Ktoś podjechał przed dom i zadzwonił do drzwi.

- Jest nasza chińszczyzna, panowie, mam nadzieję, że zgłodnieliście - powiedziała Katrin. - Przejdźcie proszę obok, do stołowego, a my z Rolfem przyniesiemy paczki z jedzeniem.

Żarcie było pyszne, pachnące i wszyscy z wyraźnym apetytem wzięli się za opróżnianie pojemników z chińskimi przysmakami, a było tego sporo...

- Wspaniałe jedzenie, u nas w Polsce jeszcze tego nie ma.

- Niemożliwe, nie macie chińskich restauracji? - zapytał ze zdziwieniem Rolf.

- Mamy jedną w Warszawie, nazywa się Szanghaj, ale nigdy nie widziałem w niej Chińczyka. Paskudnie gotują - odezwał się po angielsku milczący do tej pory Chudy. Roześmiali się wszyscy.

- Rozgadałem się o tych komunistach, ale to jest to, co mnie boli, nie mogłem się powstrzymać. Mam nadzieję, że was nie zanudziłem - powiedział Wojtek.

- To było bardzo ciekawe, dużo się dowiedzieliśmy. Wtedy, w czterdziestym drugim, gdy przywieziono mnie rannego do szpitala polowego nad Pisą, zapowiadało się na coś innego. - Rolf roześmiał się.

- A co ci się tam stało? byłeś poważnie ranny?

- Jak wiecie, służyłem w Waffen SS, to były doborowe jednostki. byłem wtedy młody

i taki głupi, że dałem się złapać na te nazistowskie brednie i osobisty urok tego szaleńca, naszego Führera. Zgłosiłem się na ochotnika i w 1940 roku wysłano mnie na front wschodni. Na początku dobrze nam szło, ale dwa lata później coś się zacięło. W lipcu czterdziestego drugiego zaczęły się operacje wojskowe, które były początkiem bitwy pod Stalingradem. W jednej z nich, pod Woroneżem, mój łazik najechał na niemiecką minę, o której zapomnieli nasi saperzy. Zginęło dwóch moich żołnierzy, a podmuch wybuchu wyrzucił nas z samochodu, który przewrócił się na bok i mnie przygniótł. Doznałem otwartego złamania przedramienia, zламаłem obojczyk i odniosłem kilka lżejszych obrażeń. Nie mogłem się ruszyć i leżałem jak kłoda pod tym samochodem, modląc się, żeby nas ktoś znalazł. Miałem krwotok, powoli traciłem przytomność i niewiele brakowało, a byłoby za późno. Na szczęście przejeżdżał jakiś opóźniony transporter, zatrzymali się, wyciągnęli mnie spod samochodu i przewieźli do punktu sanitarnego.

Katrin, podobnie jak Polacy, zafascynowana słuchała jego opowieści - nigdy jej o tym nie opowiadał. Ale widać było po niej, że oczekiwała czegoś innego. Spojrzała na niego pytająco, gdy mówił o swojej złamanej ręce, a on odpowiedział jej krótkim, ale wymownym spojrzeniem, które bez trudu zrozumiała - nikt poza nią nie wiedział, że Rolf nie ma nogi i że używa protezy. On im nic o tym nie powiedział!

„Tajemniczy ten mój mężczyzna” - pomyślała i uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo. i wtedy Rolf zrobił pauzę i dodał:

- Ale nie powiedziałem wam jeszcze wszystkiego. Leżąc w piachu pod tym łazikiem, nie wiedziałem nawet, że wybuch miny poważnie zmasakrował mi moją prawą nogę, od kolana w dół. Nic nie czułem, po prostu nie mogłem nią ruszać i wydawało mi się, że jest tylko przygnieciona przez samochód. Dopiero później, gdy już mnie spod niego wyciągnęli i przewieźli do punktu sanitarnego, zobaczyłem, co się stało.

To był koszmar, tam na miejscu nie mogli mi pomóc, nie było warunków. Opatrzyli mnie tylko prowizorycznie i kilka następnych dni przeleżałem wśród innych konających żołnierzy, półprzytomny, cały czas na morfnie. Wreszcie przewieziono mnie samolotem do tego szpitala polowego nad Pissą. Miałem szczęście, byłem w SS i ktoś dobrze ustosunkowany się o mnie upomniał. Gdyby nie to, umarłbym tam od zakażenia. Rany były poważne, zwłaszcza moja noga mocno ucierpiała, wdała się gangrena i musieli mi ją w tym szpitalu polowym amputować. Tam już została i dlatego tak bardzo chciałbym to miejsce kiedyś odwiedzić - powiedział z zadumą.

Zrobiła się cisza, wszyscy patrzyli na niego ze zdumieniem graniczącym z niedowierzaniem, zwłaszcza Polacy.

Wreszcie Wojtek wykrztusił:

- Chcesz mi powiedzieć, że tam nad Pisą straciłeś swoją nogę i teraz używasz protezy?

Rolf spojrzał na niego.

- Tak, Wojciek, to właśnie chciałem powiedzieć. Widzę, że cię zaskoczyłem - powiedział, po czym podniósł się z fotela i podciągnął wysoko nogawkę.

- Oto moja najnowsza noga, panowie. Produkt wykonany w technologii kosmicznej, tytan i kevlar, cud techniki dwudziestego wieku, sami popatrzcie!

- Ja pierdołę! Nie do wiary - skomentował krótko Chudy, zerwał się gwałtownie z fotela i znieruchomiał, pochylony do przodu, ze wzrokiem wbitym w widoczną pod podciągniętą nogawką lśniąca metalowym blaskiem protezę. Zastygł w tej pozie na moment, wśród pozostałych zapanowała konsternacja i po chwili cała trójka wybuchnęła śmiechem, patrząc na jego reakcję. To było silniejsze od nich i nie potrafli się opanować.

Wreszcie uspokoili się, Wojtek popatrzył na Rolfa, pokiwał z niedowierzaniem głową i powiedział:

- Zaskoczyłeś mnie, Rolf, to niesamowita historia. Ale już niedługo zobaczysz to miejsce. Zawieziemy cię tam i postaramy się je odnaleźć. Tak jak obiecałem.

- Cieszę się, że mogę na was liczyć. Jak was poznałem na zjeździe w Utrechcie, zaczęliśmy rozmawiać i po raz pierwszy wymieniliście słowo „Pisa”, natychmiast coś mnie tknęło i zrozumiałem, że tylko wy możecie mi pomóc.

- Nie próbowałeś wcześniej tam pojechać?

- Nie, z wielu różnych powodów. Ciągle to planowałem, ale jakoś nie mogłem się na to zdobyć. Przez wiele lat po wojnie po prostu bałem się pojechać do Polski. Jako były oficer Waffen SS nie chciałem ryzykować spotkania z sowieckimi agentami. Później byłem zajęty swoim biznesem i tak minęło trzydzieści lat. Ale muszę wam powiedzieć, że jest jeszcze jeden powód, dla którego chcę tam jechać, i ten jest najważniejszy...

Zawiesił głos, a cała trójka wpatrywała się w niego z niecierpliwym oczekiwaniem.

- Powiesz nam wreszcie? - nie wytrzymała Katrin.

- Muszę powiedzieć, bo inaczej ta cała wyprawa nie miałaby sensu. Jeśli chcecie się w to zaangażować - zwrócił się do Polaków - to powinniście wiedzieć, że odnalezienie tego miejsca nad Pisą to jest tylko połowa zadania, które mnie czeka w Polsce. Druga część jest znacznie trudniejsza.

Widać było napięcie na ich twarzach. Tym razem ciszę przerwał Wojtek. Patrząc Rolfowi w oczy, spokojnym, trochę drwiącym głosem powiedział:

- Intryguje mnie twoja opowieść coraz bardziej. Nie chcesz nam chyba powiedzieć, że

zostawiłeś tam jakiś skarb, który planujesz odnaleźć, korzystając z naszej pomocy?

Zapadła krępująca cisza. Rolf zaśmiał się tak, jakby oczekiwał takiego pytania.

- Tak, to właśnie chciałem powiedzieć, ale uprzedzając wasze kolejne pytania, chciałbym od razu wyjaśnić, że ten „skarb”, jak to określiłeś, nie ma żadnej materialnej wartości dla nikogo oprócz mnie. Nie można go sprzedać, bo nikt go nie kupi nawet za dziesięć fenigów. - Roześmiał się zagadkowo.

- To teraz już w ogóle nic nie rozumiem - powiedział Wojtek. - A może nam po prostu powiesz, o co chodzi? Jeśli mamy być współnikami, to chyba tak będzie najlepiej.

- Tak, tak, Rolf, proszę cię, zlituj się nad nami i powiedz wreszcie - dołączyła się do Wojtka Katrin.

- Dobrze, nie będę już was dłużej męczył. Tylko musicie mi obiecać, że nie będziecie się ze mnie śmiać, to jest mój warunek. i pamiętajcie, że będziecie jedynymi osobami, poza moim przyjacielem Ottonem Brinkiem, którym o tym powiem.

Popatrzyli po sobie i jednocześnie kiwnęli głowami.

- Obiecujemy - powiedział Wojtek, podnosząc dwa palce do góry. Rolf popatrzył na nich uważnie przez dłuższą chwilę i zaczął mówić:

- Pewnie wyda się to wam dosyć dziwne, ale wyobraźcie sobie, że tym skarbem są szczątki - zawiesił na chwilę głos - mojej amputowanej trzydzieści lat temu nad Pisą nogi. Muszę je odnaleźć i przywieźć tu, do siebie, do Monachium - skończył gwałtownie i patrzył z rozbawieniem na ich zaskoczone miny.

Zapadła cisza, cała trójka gapiała się na niego tak, jakby nie dotarło do nich to, co powiedział...

- Wiem, że to dla was dziwne - kontynuował - ale postarajcie się mnie zrozumieć, to jest moja noga, nie mogę jej tak zostawić. Od trzydziestu lat o niej myślę.

Wreszcie otrząsnęli się z zaskoczenia.

- Jak żyję nie słyszałem bardziej makabrycznej, zwariowanej i całkiem nieprawdopodobnej historii. Zaimponowałeś mi jak nikt dotąd - powiedział Wojtek. - Z chęcią ci pomożemy, bo zapowiada się na wspaniałą przygodę, zastanawiam się tylko, jak my tę twoją nogę tam znajdziemy?

- To może być łatwiejsze, niż się wydaje. Usiądźcie wygodnie, zaraz wam wszystko opowiem.

Zaczął od chwili, gdy półprzytomnego z bólu i otumanionego morfną przywieziono go samolotem gdzieś z okolic Woroneża do szpitala polowego nad Pisą. Opowiedział o spotkaniu z doktorem Ottonem Brinkiem i o swoim niezrozumiałym dla siebie samego

impulsie, który kazał mu tuż przed amputacją poprosić doktora o dziwną przysługę.

- Nie wiem, co mnie wtedy napadło. Nagle po czułem, że nie mogę pozwolić na to, żeby moją nogę zutilizowano razem z innymi odpadkami, tak jak niepotrzebny nikomu kawał mięsa. Wydało mi się to ohydne. Poprosiłem doktora, żeby zrobił dla mnie wyjątek, mówiłem, że to bardzo ważne. Do dziś nie wiem dlaczego, ale zgodził się na moją prośbę i zakopał amputowane szczątki mojej nogi w porządnej skrzynce amunicyjnej, w miejscu, które mam nadzieję uda się nam odnaleźć. Było to miejsce tak bardzo charakterystyczne, że do dzisiaj mam je przed oczami, i jeśli nic się tam od tamtej pory nie zmieniło, to powinniśmy je łatwo odnaleźć. Mam nawet niemiecką mapę sztabową z zaznaczoną dokładnie pozycją zakopanej skrzynki - powiedział z uśmiechem.

Wstał z kanapy, podszedł do oszklonej, narożnej witryny i wyjął z niej złożoną na czworo kartkę. Rozłożył ją powoli i wrócił do nich.

- Zobaczcie sami - powiedział, kładąc arkusz papieru na niskim stole z egzotycznego drewna, przy którym siedzieli.

Wojtek sięgnął po mapę, popatrzył na nią z niedowierzaniem i nie próbując nawet hamować widocznych na swojej twarzy emocji, wykrzyknął po polsku:

- Kurwa mać, to jest faktycznie stara, niemiecka mapa sztabowa okolic Łomży! Tylko spójrz, Chudy, ależ dokładna, wszystko jest na niej oznaczone. Coś tu jest napisane, zaraz, zaraz... To niemożliwe...

W kwadracie, w którym Pisa wpadała do Narwi, tuż obok widocznej na niej polnej drogi przebiegającej niedaleko rzeki, na oznaczonym poziomiami niewielkim wzniesieniu widniał zrobiony wyblakłym atramentem mały krzyżyk, a pod nim napis: „Kapliczka pod dużym dębem. Noga Rolfa von Dornhoff”.

Wojtek podniósł głowę, spojrzał na Rolfa z uznaniem w oczach i powiedział:

- To fantastyczne! Co za przygoda nam się trafiła! Rolf, ty stary draniu, dzięki tobie będziemy przeprowadzali w komunistycznej Polsce nielegalną ekshumację hitlerowskich szczątków!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Za powodzenie naszej wyprawy. Prosit! - Rolf podniósł kieliszek do góry. Wojtek i Chudy skrzywili się nieznacznie, czując silny zapach anyżówki, ale dzielnie wypili do dna.

- A co to jest ta „kurwa”, co ciągle powtarzacie? - zapytała Katrin. - Czy to jest zakręt, tak jak po włosku?

- Tak, to jest taki rodzaj zakrętu, jak się na niego traf, trzeba cholernie uważać, zwłaszcza w Polsce mamy ich sporo - wyjaśnił zawsze gotowy na takie pytania Wojtek.

Rolf spojrział na Katrin i roześmiał się, wyraźnie rozluźniony - w końcu od dwóch lat uczył się polskiego i już dużo rozumiał w tym języku...

To była pierwsza noc, którą zgodziła się spędzić u niego. Leżeli do późna obok siebie w jego sypialni i długo rozmawiali o tym wszystkim, co się zdarzyło w czasie kolacji z Polakami. Katrin chciała wszystko wiedzieć i zadawała mnóstwo pytań, na które starał się odpowiedzieć. Najbardziej zainteresowała ją znajomość Rolfa z Ottonem Brinkiem oraz to, jak przerodziła się w wieloletnią przyjaźń.

- To bardzo długa historia, trwa nieprzerwanie od trzydziestu lat, opowiem ci ją innym razem - bronił się. - Albo jeszcze lepiej będzie, jeśli poznasz doktora Brinka osobiście i on sam ci o tym opowie. Ten stary gaduła uwielbia to i na pewno zrobi to lepiej niż ja. Mógłbym pominąć wiele istotnych szczegółów, a nie chciałbym ci psuć zabawy. Chodź, przytul się do mnie, zdjąłem już protezę, a jutro bardzo wcześnie wstajemy...

Rozdział 21

Wyjechali z samego rana w cztery harleye. Na przodzie jechała nowiutka electra glide, lśniąca nieskazitelnym blaskiem chromów i metalicznego lakieru w kolorze niebieskim.

Za nią dwie kiedyś wojskowe wuelki, z wysokimi kierownicami i pogłębionymi błotnikami, obładowane do granic możliwości, a za nimi czarnopomarańczowy HarleyDavidson Sportster. Prowadziła go Katrin, ubrana w swój skórzany, obcisły i utrzymany w takich samych barwach kombinezon.

Wyglądali wspaniale w blasku wschodzącego słońca i jadący z przeciwka kierowcy pozdrawiali ich dźwiękami klaksonów i mruganiem świateł, śmiejąc się do nich zza szyb swoich pojazdów.

Serca w nich rosły i czuli się tak, jak można się czuć tylko wtedy, gdy się prowadzi motocykl HarleyDavidson. Ale żeby w to uwierzyć, trzeba to samemu sprawdzić. Oni już o tym wiedzieli.

Wjechali na autostradę E6 biegnącą w kierunku Norymbergii. była niedziela rano, ruch był niewielki, pogoda znakomita i mogli się w pełni rozkoszować przyjemnością płynącą z jazdy.

Rolf słyszał kiedyś powiedzenie, że pół godziny jazdy motocyklem dostarcza więcej wrażeń niż połowa życia przeciętnego człowieka, który tego nigdy nie spróbował. „Pewnie jest w tym sporo przesady, ale też dużo prawdy” - pomyślał, pilnując szybkościomierza i starając się nie przekroczyć magicznej prędkości stu kilometrów na godzinę.

Stare harleye Polaków nie mogły jechać szybciej i przy tej prędkości na pewno nie byli najszybszymi pojazdami na autostradzie. Większość samochodów, w tym wielkie ciężarówki z naczepami, wyprzedzała ich i Rolf z trudem powstrzymywał się od przekręcenia manetki gazu.

Powoli zbliżali się do ingolstadt, za którym był wielki most na Dunaju, i Rolf zaczął wypatrywać jakiegoś miejsca, w którym mogliby się pożegnać z Katrin. Wjechali na wzniesienie, za którym rozciągała się już dolina rzeki, i po przejechaniu kilku kilometrów zatrzymali się na parkingu, przy dużej stacji benzynowej Shell.

Zsiedli z motorów i Rolf podszedł do Katrin. Objęła go mocno.

- Uważaj na siebie i wracaj szybko z tą swoją nogą do mnie, będę tęsknić.

Pocałowała go, potem uściskała Wojtka i Chudego, wsiadła na swojego sportstera, machnęła im na pożegnanie i zniknęła na pasie rozbiegowym. Popatrzyli na siebie i

zrozumieli się bez słów - mieli do zrobienia prawie tysiąc kilometrów i nie chcieli z tego dnia uронić ani chwili przyjemności.

- Następnym przystankiem: Norymberga - powiedział Rolf.

Kiwnęli potakująco głowami, wsiedli na motocykle, odpalili i po chwili byli z powrotem na autostradzie.

Magia szosy nawijającej się równomiernie na koła ich maszyn uspokajała jak zwykle i nawet nie zauważyli, gdy tam dojechali. Zjechali na stację benzynową, zatankowali do pełna, napili się czegoś i żeby nie tracić czasu, postanowili jechać dalej. Zmierzali w kierunku przejścia granicznego z NRD i ostatnim miejscem postoju w RFN miało być miasteczko Hof, znajdujące się tuż przy granicy.

- Tam coś zjemy, zanim opuścimy wolny świat - powiedział Rolf przed odjazdem.

- byłeś kiedyś w NRD? - zapytał Wojtek.

- Tak, ale jeszcze przed wojną, w samym Berlinie - zażartował.

- To szykuj się na duże przeżycie, czegoś takiego już dawno nie widziałeś...

* * *

Rolf zdziwił się trochę, bo Wojtek powiedział to wyjątkowo poważnie.

Na posterunku granicznym po stronie RFN nic jeszcze nie zapowiadało szoku, jaki podobno miał przeżyć. Krótki postój i obiad w uroczej restauracyjce w miasteczku Hof dodały mu energii i nie bardzo rozumiał, co się dzieje, patrząc na podenerwowanych i wyraźnie czymś przygnębionych Polaków. Nie pytał ich o nic, ale zastanawiało go to. Wkrótce miał wszystko zrozumieć...

Celnicy z RFN pozdrowili ich uprzejmie, popatrzyli z ciekawością na harleye, zagadali coś do Rolfa, zerknęli w paszporty, wbili Wojtkowi i Andrzejowi stemple kontroli granicznej i kazali jechać dalej.

Rolf ruszył powoli do przodu i nagle, po przejechaniu około dwustu metrów, wydało mu się, że znalazł się w jakimś innym, zupełnie nierealnym świecie. Poczłł się tak, jakby cofnął się o trzydzieści lat i wróciły czasy, o których chciał zapomnieć.

Po obu stronach szosy wyrosły nagle dwie wysokie wieże strażnicze. Na każdej z nich siedziało po kilku żołnierzy z czerwonymi gwiazdkami na czapkach, trzymających wycelowane w nich karabiny maszynowe. Od każdej z narożnych wież odchodziło wysokie, czterometrowe ogrodzenie z drutu kolczastego, wsparte na betonowych, zagiętych łukowato na samej górze słupach. Za ogrodzeniem znajdował się dosyć szeroki pas świeżo zaoranej ziemi, za którym stał następny, identyczny płot, zaopatrzony dodatkowo w wielkie refektory umocowane na betonowych słupach. Podwójne kolczaste płoty ciągnęły się wzdłuż drogi,

którą jechali, tworząc szeroką aleję, oraz pod kątem prostym od niej, tak daleko jak tylko można było sięgnąć wzrokiem, wzdłuż całej granicy pomiędzy RFN i NRD.

Jadąc powoli dalej, minęli kolejne wieże strażnicze, potem następne i wreszcie po przejechaniu blisko kilometrowego odcinka wjechali na punkt kontroli granicznej NRD.

„Rany boskie, gdzie ja jestem” - pomyślał Rolf i poczuł zimny dreszcz na plecach.

Ubrani w mundury dobrze mu znanego koloru feldgrau enerdowscy pogranicznicy chodzili nerwowo pomiędzy ustawionymi w kolejce pojazdami. Poszczekiwanie ich psów trzymany na krótkich smyczach mieszało się z ogólnym gwarem i narzekaniem ludzi, którym kazano wykladać na szerokie stoły wszystkie towary przewożone przez nich w bagażnikach.

Jakiś Turek próbujący wjechać do RFN łamaną niemczyzną starał się przekonać jednego z celników, że przewożona przez niego zastawa szklana nie jest wykonana z kryształu, który był obłożony sporym cłem, tylko z normalnego, najzwyczajszego szkła.

Obserwowała to spora grupka roześmianych celników, bo widowisko było bardzo zabawne. Zdenerwowany Turek wyjmował po kolei z kartonu wszystkie sztuki przewożonej zastawy i, starając się przystawić je do ucha sprawdzającemu go celnikowi, pstrykał w nie palcem i powtarzał w kółko:

- Ty słyszeć, nein Kristall, nein Kristall, zwyczajny szkło, mało dzwonić!

Celnik spokojnie ignorował te próby i wypisywał formularz zgłoszenia celnego, a Rolf patrzył na to przedstawienie ze zdziwieniem i nic z niego nie rozumiał. Spojrzał na Wojtka, który uśmiechnął się tak, jakby chciał powiedzieć, że doskonale rozumie jego odczucia. Ten nachylił się w jego stronę i po cichu powiedział:

- Mówiłem, że będziesz zaskoczony, ale to jeszcze nie wszystko...

Kolejka, w której stali, powoli posuwała się do przodu i wreszcie podeszło do nich dwóch celników. Popatrzyli na motocykle i na tablice rejestracyjne, z widocznym podziwem obeszlą wkoło nową electrę Rolf'a i zupełnie zignorowali dwie obciążone sprzętem turystycznym wuelki.

- Fahren Sie zusammen? - zapytał jeden z nich. - Nach Polen?

- Ja, natürlich, Harley Reise - odpowiedział Rolf.

Czekał z niepokojem na to, co nastąpi dalej, ale jeden z nich jeszcze raz zajrzał w paszporty, popatrzył na nich, po czym zwrócił im je i kazał jechać dalej.

- Auf wiedersehen, Herr Dornhoff, gute Reise - powiedział, uśmiechając się lekko, i zasalutował.

Wsiedli na motocykle i odjechali, nie oglądając się za siebie. Stara, betonowa

nawierzchnia autostrady stukiała rytmicznie w koła uszczelnianymi asfaltem dylatacjami, a na poboczu pojawił się wielki drogowskaz - Leipzig 120 km.

Rolf zjechał z autostrady na pierwszy napotkany po drodze parking.

- Co oni z tych ludzi zrobili? Przecież to byli normalni Niemcy - powiedział wyraźnie podenerwowany do Wojtka, gdy usiedli na chwilę, żeby odsapnąć po granicznych emocjach.

Ten spojrzał na niego tak, jakby oczekiwał takiej reakcji.

- Wy, Niemcy, traktujecie wszystko bardzo poważnie, daliście Sowietom wsadzić sobie komunizm na łeb i na dodatek chcecie być w tym lepsi od nich. A my, Polacy, mamy ich gdzieś i robimy wszystko na niby, dlatego u nas jest teatr na okrągło... Co w jednym przypadku jest wadą, w innym może być zaletą - powiedział sentencjonalnie.

- Tak, chyba masz rację, Wojciek - odpowiedział Rolf. - ile mamy jeszcze dzisiaj do przejechania?

- Do Lipska stówa, dalej kolejne dwieście prosto na Poczdam, później sto dwadzieścia do granicy i jesteśmy w Polsce. Do wieczora powinniśmy to zrobić. Ruszamy panowie, szkoda czasu, zatrzymamy się koło Lipska na jakiejś stacji benzynowej.

- Na polskoniemieckiej granicy też to tak wygląda?

- Nie, nie martw się - zaśmiał się Wojtek - to tylko tutaj, na granicy dwóch wrogich sobie światów i dwóch ideologii. We Frankfurcie nad Odrą już jest luz, a po polskiej stronie, w Słubicach, to szkoda mówić, wszystko na niby, jak to u nas... Spodoba ci się.

Pojechali dalej i już z rzadka zatrzymywali się, przeważnie tylko po to, żeby zatankować.

Na autostradzie dziwnie opustoszało i Rolf z zainteresowaniem patrzył na mijane samochody. Nagle zniknęły gdzieś wielkie, kolorowe trucki z naczepami i na ich miejsce pojawiły się szare, obskurne i dymiące z tłumików ciężarówki. Miało to swoją dobrą stronę, bo przestali ich wszyscy wyprzedzać i jadąc nadal z równą prędkością stu kilometrów na godzinę, ich harleye były teraz jednymi z najszybszych pojazdów na drodze. Z rzadka tylko wyprzedzał ich jakiś osobowy samochód i jak zauważył Rolf, prawie zawsze był to mercedes albo bmw na rejestracji zachodnioniemieckiej. Pojawiło się mnóstwo dziwnych, niedużych i potwornie dymiących z rur samochodzików. Jechały z reguły wolniej niż oni i Rolf przyspieszał trochę, gdy się za czymś takim znalazł. Jazda w smudze siwego dymu nie należała do najprzyjemniejszych i dwie stare wuelki dzielnie nadążały za jego nową electrą w walce o łyk świeżego powietrza. Na jednej ze stacji benzynowych Rolf podszedł do takiego małego samochodziku i zrobił mu kilka zdjęć. Na masce widniał stylizowany napis „Trabant”.

- Tak wygląda motoryzacja w NRD - powiedział do niego Wojtek. - Dwusuwowe silniki bazujące na starych konstrukcjach firmy iFA, nic innego nie udało im się wymyślić. Potworne to, ale i tak stało się marzeniem przeciętnego człowieka w tym kraju i synonimem dobrobytu - według komunistów oczywiście...

Rolf potrząsnął tylko ze zdziwieniem głową i nic nie odpowiedział. Wsiedli na motocykle i ruszyli w drogę. Gdy dojechali do Frankfurtu, słońce za ich plecami zaczynało już zachodzić.

Tak jak Wojtek powiedział, na posterunku granicznym po stronie NRD prawie nie zwrócono na nich uwagi. Sprawdzono im tylko paszporty i gdy podjechali do kontroli celnej, dwóch celników wyszło z dyżurki i spojrzęło z ciekawością na obładowane wuelki. Potem pocmokali z zachwytu nad nową electrą Rolfa, zerknęli na numer rejestracyjny, zamienili z nim kilka słów, życzyli miłej podróży i skinęli rękami na pożegnanie.

Trzy harleye przejechały przez most na Odrze i gdy zatrzymały się obok posterunku polskiej kontroli granicznej w Świecku, Rolf natychmiast zrozumiał, co Wojtek miał na myśli, gdy mówił, że w Polsce wszystko jest na niby i że to jest jeden wielki teatr. i na dodatek, jak się miało okazać w dzisiejszym przedstawieniu, z ich harleyami w roli głównej.

Pogranicznicy i celnicy, gdy tylko ich zobaczyli, zlecieli się natychmiast i wśród wesołego gwaru, przekrzykując się wzajemnie, zaczęli z wielkim zainteresowaniem oglądać ich motocykle. Najbardziej podobała im się oczywiście nowa electra glide. Rolf swoją łamaną polszczyzną, która wzbudziła spore uznanie wśród oglądających, próbował odpowiadać na zadawane przez nich pytania. Jaki to motocykl, ile waży, ile ma koni, ile cylindrów, osiem czy cztery, jaka pojemność, ile wyciąga na godzinę...

Po chwili zupełnie się w tym zagubił, ale Wojtek przejął pałeczkę i tak ich zagadał, że o jakiegokolwiek kontroli już nikt nawet nie wspominał.

Słuchali z rozdziawionymi gębami jego opowieści o harleyowskich zjazdach, nie zwracając najmniejszej uwagi na kolejkę, która zaczęła się powoli powiększać po obu stronach drogi.

Rolf patrzył na to jak na jakiś kolorowy sen. Uśmiechał się tylko od czasu do czasu i potakiwał Wojtkowi.

Wreszcie, gdy już wszyscy zaspokoili swoją ciekawość, któryś z celników wziął od nich paszporty, podstemplował je zamasyście i zwracając, z uśmiechem życzył im szerokiej drogi.

- Szerokiej drogi? - zastanawiał się Rolf, nie bardzo wiedząc, czemu właśnie tego mu życzą, ale gdy tylko znaleźli się na szosie prowadzącej do Świebodzina, natychmiast to

zrozumiał...

Serce skoczyło mu do gardła, gdy w zapadającym zmroku zobaczył nagle nieoświetloną, załadowaną wysoko sianem furę, ciągniętą przez konia i wyjeżdżającą bez ostrzeżenia z bocznej drogi. Przyhamował gwałtownie, ominął dziwny pojazd z minionej epoki, włączył kierunkowskaz i zatrzymał się na poboczu. Począł na wuelki i gdy zatrzymały się obok niego, zdjął kask, podszedł do Wojtka i uśmiechając się niepewnie, powiedział:

- Może lepiej będzie, jeśli w Polsce ty będziesz prowadził.

- Mówiłem, że ci się spodoba. - Wojtek roześmiał się. - Nie martw się, już niedaleko, pod Świebodzinem się zatrzymamy.

Ruszyli dalej, jechali już wolniej i po godzinie jazdy Wojtek skręcił w nieoznakowaną, szutrową drogę. Jechał powoli, starannie omijając nierówności i głębokie kałuże. Widać było, że niedawno musiała przejść tamtędy spora ulewa. Refektory motocykli oświetlały potężne sosny po obu stronach drogi, byli na obrzeżu Puszczy Rzepińskiej. W pewnym momencie po prawej stronie drogi ukazała się tablica, na której był napis: „Jezioro Niesłysz, kemping i pole namiotowe - 1 km”, a po kilku minutach wyjechali z lasu na dużą, oświetloną kilkoma latarniami polanę. Wojtek zatrzymał się, zsiadł z motocykla, podszedł do Rolfa i powiedział:

- Koniec jazdy na dzisiaj, panowie, tutaj zanocujemy. Poczekajcie na mnie, pójde do recepcji, może uda się wynająć jakiś domek kempingowy, nie musielibyśmy rozbijać namiotów.

Mieli szczęście. Po kilku minutach Wojtek wrócił i pomachał do nich kluczem na dużym, drewnianym breloku.

- Musimy kawałek podjechać, domki są po drugiej stronie tego cypla. - Wskazał na czerniejącą w oddali ścianę drzew.

Domek był nieduży, prosty, z małym tarasem schodzącym tuż nad tafę jeziora. Rozpakowali się szybko i z westchnieniem ulgi usiedli na leżakach, rozkoszując się ciszą przerywaną tylko bzykaniem komarów.

- Piękne miejsce, można tu coś zjeść?

- Niestety, Rolf, muszę cię rozczarować, to jest tylko Polska i chińskiego jedzenia nam tu nie przywiozą. Mały sklepik na kempingu jest już zamknięty i możemy liczyć tylko na siebie i to, co mamy, albo pojechać do Świebodzina - stąd jest piętnaście kilometrów. To co robimy?

Popatrzyli po sobie, wstali i zaczęli szukać czegoś do jedzenia w swoich bagażach.

Nie znaleźli wiele, ale to, co mieli ze sobą, wystarczyło na skromną kolację. Rolf z dumą wyciągnął z bocznego kufra dużą butelkę coca coli i puścił ją w obieg. Wojtek wypił ze dwa łyki, skrzywił się, wyjął małą kuchenkę turystyczną i zaczął gotować wodę na herbatę.

- bez herbaty nie dam rady, siła przyzwyczajenia - powiedział z uśmiechem.

Rolf przyglądał się z zaciekawieniem tej ich krzątaninie.

- Wszystko wozicie ze sobą? - zapytał ze zdziwieniem.

- Tak wygląda turystyka w Polsce, kolego. Przygotuj się na gorsze warunki, nad Piszą kempingu na pewno nie będzie - wtrącił milcząco do tej pory Chudy.

- Ja nie narzekam, dla mnie wszystko jest OK. Pytam tylko z ciekawości - odpowiedział, przechodząc na polski, Rolf.

Roześmiali się, zaskoczeni - zapomnieli, że uczył się polskiego.

- Dobrze już mówisz, jeszcze trochę z nami pobędziesz, to nabierzesz wprawy. Od dzisiaj mówimy tylko po polsku, co ty na to, Rolf?

- Bardzo dobrze, koleczy, trochę praktyki nie zaszkodzi...

Rozdział 22

Gdy Wojtek obudził się rano, Rolf był już na dworze. Siedział na tarasie i pstrykał zdjęcia łabędziom, które Chudy dokarmił resztkami sucharów z wczorajszej kolacji.

- Pięknie tu - powiedział, odwracając się do wychodzącego z domu Wojtka. - Gotowy do drogi? Trzeba jechać, moja noga na mnie czeka - zażartował.

- Zdążymy, nikt jej nie ukradnie. Sam mówiłeś, że nie ma żadnej wartości...

W piętnaście minut byli gotowi do drogi, odpalili harleye i ruszyli, żegnani ciekawymi spojrzeniami nielicznych o tej porze turystów.

Zanim wjechali w leśną drogę, Rolf obejrzał się jeszcze raz na jezioro i czerniejącą w oddali po jego drugiej stronie ścianę lasu. „Muszę tu jeszcze kiedyś przy - jechać” - pomyślał.

Za dnia wszystko wyglądało inaczej i odcinek dzielący ich od drogi też wydał mu się jakiś krótszy. A po chwili jechali już szosą w kierunku Świebodzina.

Jajecznica na boczku w barze mlecznym była wyśmienita. Zjedli po dwie porcje, popili kawą zbożową na mleku i pojechali dalej. Rolf jechał w środku, pomiędzy Wojtkiem i Chudym, a jego zdumienie rosło z każdą chwilą.

„Co za dziwny kraj, ta Polska, wygląda tak, jakby nic się u nich przez te ostatnie trzydzieści lat nie zmieniło” - myślał, starając się utrzymać równy dystans za harleyem Wojtka, który często hamował.

Musieli zwalniać, bo drogę co jakiś czas tarasowała albo fura zaprzężona w konia, albo traktor ciągnący jakąś maszynę rolniczą, albo, co najbardziej dziwiło Rolfa, ktoś przeganiał bydło przez drogę. i to wszystko na głównej, międzynarodowej trasie...

Jechali chwilami bardzo powoli, ale gdy odjeżdżali dalej od mijanych miast i zamieszkałych osiedli, udawało im się trochę straconego czasu nadrobić. Przyspieszali wtedy do setki i przez chwilę mogli rozkoszować się szumem przecinanego pędem motocykli powietrza i świeżym zapachem dochodzącym z pobliskich pól. Samochodów było niewiele, przeważnie stare, dymiące ciężarówki i jeszcze mniej osobowych. Wyprzedzali wszystkich, gdy nic nie jechało z przeciwka. Szosa była dwukierunkowa i trzeba było bardzo uważać, ale Wojtek prowadził ostrożnie. Widać było, że jest doświadczonym motocyklistą i zna lokalne warunki jazdy. Rolf, jadąc za nim, czuł się bezpiecznie.

Przed Poznaniem znowu zrobiło się ciasno na drodze i wlekli się z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę w beznadziejnym korku, spowodowanym przez kilka dymiących ciężarówek. Zatrzymali się na stacji benzynowej, żeby zatankować i trochę

odetchnąć. Wojtek popatrzył na Rolfa.

- Przejeździemy teraz przez Poznań i dalej już powinno być trochę luźniej. Zostało nam trzysta kilometrów do Warszawy, późnym popołudniem będziemy.

- Nie ma obwodnicy Poznania? - zapytał Rolf.

- Niestety, nas objął „rosyjski” plan Marshalla, musieliśmy budować drogi ruskim. Wiesz, jak to działa? My im sprzedajemy węgiel, a oni za to biorą od nas zboże...

Pojechali dalej i po godzinie wyjechali z Poznania. Tam, na zarządzanych przez miasto ulicach, Rolf dopiero pojął, co to są dziury w drodze. „Czy oni tego nie łatali od wojny?” - zastanawiał się.

Później faktycznie zrobiło się luźniej. bez problemów minęli Konin i zbliżając się powoli do Kutna, zaczęli rozglądać się za stacją benzynową. Wuelki miały małe zbiorniki paliwa, a obciążone ponad miarę sporo paliły. Znaleźli coś w małej dziurze, kilkanaście kilometrów przed Kutnem. Zjechali na stację i zatankowali do pełna.

- Jest tu w pobliżu jakiś bar, gdzie można coś zjeść? - zapytał Wojtek pompierza.

- Tak, niedaleko jest restauracja geesu, ale nie polecam - odpowiedział, uśmiechając się podejrzanie... - Jedźcie w stronę miasta, trzy kilometry stąd stoi kilka budynków, zobaczycie z drogi.

To, co pompierz nazwał dumnie restauracją, było odrapanym, pomalowanym kiedyś na zielono par terowym budynkiem z dużymi oknami. Na zniszczonej tablicy nad drzwiami był napis: „Restauracja GS Koniczynka”.

Zaparkowali harleye i ruszyli w kierunku wejścia. Przed restauracją stała ławka, a na niej siedziało trzech wyraźnie podpitych osobników w gumoflcach, kraciastych, fanelowych koszulach i berecikach z antenkami. Rozmawiali głośno, racząc się winem z butelki, która krążyła z rąk do rąk.

Chudy spojrzał na nich przelotnie i wszedł za Wojtkiem i Rolfem do środka.

Usiedli przy stoliku pod oknem, żeby mieć na oku motocykle, i wtedy w drzwiach pojawił się jeden z tych trzech w beretach. Wyraźnie się zataczając, podszedł chwiejnym krokiem do bufetu i zapitym głosem powiedział głośno:

- Pani kierowniczkco, jeszcze jedno winko by się przydało!

Korpulentna, niewysoka kobieta w średnim wieku spojrzała na niego zza lady z wyraźną niechęcią.

- A masz pieniądze, pijaku? Na krechę nic wam nie dam, za dużo mi już wisicie. Najpierw dług oddajcie, to pogadamy.

Osobnik w berecie popatrzył na nią ze złością i nagle eksplodowała w nim furia.

- Dawaj wino, bo jak nie, to cię stąd na cmentarz odwiozą, zarazo jedna! - wrzasnął i odwrócił się gwałtownie w stronę sali.

- A wy, co się gapita, do teatru przyszlście?!

Kilka osób siedzących przy stolikach skuliło się strachliwie i odwróciło głowy.

- Uspokój się łobuzie, bo zadzwonię po policję! - krzyknęła desperacko bufetowa, sięgając po słuchawkę telefonu.

W tym momencie Chudy wstał i ruszył w stronę bufetu, a Rolf spojrzał z niemym pytaniem na Wojtka, który uśmiechając się, spokojnie powiedział:

- Nie przejmuj się, da sobie radę, chyba musi się trochę rozładować... i wtedy wszystko zaczęło się już toczyć bardzo szybko.

Ten w berecie sięgnął lewą ręką przez ladę i chwycił kobietę za klapy fartucha, a prawą, w której trzymał pustą butelkę po winie, podniósł z wyraźnym zamiarem do góry.

- Dajesz to wino czy nie? Dawaj, bo cię zatłukę, zdziro!

Nagle „berek” poczuł, że ktoś chwycił go za przedramię i blokując jednocześnie jego łokieć od dołu, unieruchomił mu rękę w stalowym uścisku. Chciał się wyrwać, ale imadło na jego nadgarstku zacisnęło się jeszcze mocniej, poczuł gwałtowny ból w łokciu i butelka wypadła na ladę.

- Coś ty, kurwa, za jeden? Czego chcesz? - wrzasnął i gwałtownie szarpnął ręką, próbując się odwrócić w kierunku nieznanego napastnika. Łokieć zabolął go jeszcze bardziej i coś w nim chrupnęło, więc przestał się rzucać i z wściekłością na twarzy odwrócił głowę. Zobaczył koło siebie żyłastego, wysokiego chudzielca, który trzymając go jakimś dziwnym chwytem za ramię, spojrzał na niego i powiedział, powoli cedząc słowa:

- Zostaw tę kobietę i wypierdalaj stąd, ty śmieciu, chcemy tu coś spokojnie zjeść, zrozumiałeś?

W patrzących na niego oczach koloru spłowiałego lnu było coś takiego, że berecik od razu otrzeźwiał i kiwnął potakująco głową.

- Dobra, dobra, daj spokój, nic jej kurwa nie zrobię! No puść, bo mi rękę złamiesz!

Uścisk nagle zelżał, a chudzielec odwrócił się bez słowa i powoli ruszył w kierunku swojego stolika. Ale pijany bydlak w berecie, zaślepiony wściekłością, nic nie zrozumiał z lekcji, którą właśnie dostał.

- Zatłukę cię, skurwysynu - zaklął pod nosem i rzucił się za odchodzącym.

- Uważaj z tyłu! - krzyknął od stolika Wojtek.

Rolf ze zdumieniem patrzył, jak Chudy zrobił błyskawiczny półobrót, płynnym zwodem uchylił się przed niezdarnym ciosem napastnika, przepuścił go obok siebie i strzelił

w przelocie zamachowym prawym sierpem tak, że aż mlasnęło. berecik z antenką zatoczył się, zrobił jeszcze dwa niezdarne kroki i upadł na stolik, przewracając kilka krzeseł. Próbował wstać, ale musiał być dobrze trafiony, bo stęknął tylko, zwałił się na podłogę i tam już został, mamrocząc coś pod zakrwawioną mordą.

Przy jednym ze stolików w głębi sali ktoś zaklaskał i skomentował głośno:

- Brawo, nareszcie się skurwysyn doigrał, należało mu się od dawna...

- Chyba zmienimy lokal - powiedział Chudy, patrząc w kierunku Wojtka i Rolfa. - Odeszła mi ochota na jedzenie w tym miejscu...

- Nam też - powiedzieli i jednocześnie wstali od stolika. Wyszli powoli z restauracji. Jeden z berecików leżał na ławce i pochrapywał smacznie, a drugi, kiwając się na boki, grzebał nieopodal w rozporoku, próbując się chyba odlać pod płótem.

- Ale egzotyka. - Wojtek zaśmiał się, patrząc na Rolfa. - W Afryce, bracie, tego nie znajdziesz...

Odpalili harleye i ruszyli w drogę. Przejeżdżając przez Kutno, znaleźli inny lokal. Wyglądał przyzwoicie, więc postanowili wejść do środka i zajęli stolik. Po chwili podeszła do nich młoda i bardzo ładna kelnerka.

- Zjemy tu coś typowo polskiego? - zapytał Rolf z uśmiechem.

- Tak - powiedział Wojtek i zamówił schabowe z ziemniakami i z kapustą.

były wspaniałe i Rolf poprosił o drugą porcję... Popijając herbatę, patrzyli na niego z uśmiechem, jak z wyraźnym apetytem wymiata ją z talerza.

- Już dawno nie jadłem tak smacznego zarcia - powiedział, gdy skończył.

Syci i zadowoleni ruszyli w trasę. Pozostała część drogi minęła im już bez niespodzianek i tuż przed ósmą stanęli na parkingu w Warszawie, pod hotelem Victoria, gdzie Rolf miał zarezerwowany apartament na czas swojego pobytu w Polsce. Postali przez chwilę i umówili się na następny dzień, by zaplanować szczegóły wyjazdu nad Piłę, a potem uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie i dwie wuelki, hucząc basowo z tłumików, pojechały dalej.

Rolf odczepił od elektry boczne kufry z rzeczami, polecił usłudznemu portierowi załadować je na wózek i powoli ruszył za nim w kierunku hotelowej recepcji.

Hotel wyglądał na nowy i o wysokim standardzie. Recepcjonistka, młoda, sympatyczna dziewczyna, poprosiła go o paszport, potwierdziła rezerwację i wręczyła mu klucz od apartamentu.

- Dziękujemy za przybycie i życzymy miłego pobytu w Warszawie, Herr Dornhoff - powiedziała po niemiecku z miłym uśmiechem.

„Przynajmniej to im się udało” - pomyślał, odwzajemniając uśmiech, i ruszył za

portierem w kierunku windy.

* * *

Obudził się następnego dnia rano wypoczęty i pełny energii. Zamówił śniadanie do pokoju i podczas jedzenia studiował mapę Warszawy, którą znalazł na hotelowym stoliku.

Z mapki wyraźnie wynikało, że jego hotel znajduje się niedaleko Starówki, która według opisu była najciekawszą propozycją do zwiedzania dla turystów. Ubrał się i postanowił się tam przejść, żeby trochę rozprostować kości po dwóch dniach siedzenia na motocyklu. i żeby przy okazji zabić nudę oczekiwania na Wojtka i Chudego, którzy mieli wpaść dopiero po południu. Z mapką w ręku wyszedł z hotelu i mając już w pamięci marszrutę, skierował się w stronę Krakowskiego Przedmieścia.

Niedaleko hotelu podszedł do niego jakiś niepozornie wyglądający człowiek i, oglądając się bojaźliwie na boki, powtórzył kilka razy „czendź many, czendź many”. Rolf, mając w pamięci ostrzeżenia, jakich mu udzielił Wojtek, podziękował grzecznie człowiekowi i nie zatrzymując się, ruszył dalej.

Po kilkunastominutowym spacerze dotarł na Starówkę. Popatrzył przez chwilę na wysoki obelisk z widoczną na nim historyczną postacią z szablą w dłoni i rozejrzał się wokoło.

Na dużym, brukowanym placu obok zauważył wystawę jakichś fotografii, wywieszonych na ustawionych obok siebie tablicach. Podszedł bliżej i zobaczył na zdjęciach ruiny czegoś, co wyglądało na krajobraz po trzęsieniu ziemi. Zaczął czytać i wtedy okazało się, że były to zdjęcia Starówki zrobione po zakończeniu drugiej wojny światowej.

„To myśmy im to wszystko zrobili?” - pytał sam siebie z niedowierzaniem. Oglądał zdjęcia przez dłuższy czas, a potem rozejrzał się wokoło, szukając punktów odniesienia. Po raz pierwszy zrobiło mu się prawie wstyd, że jest Niemcem. „Komu to było potrzebne?” - pomyślał i poszedł dalej uliczkami starego miasta. Usiadł w kawiarnianym ogródku i po polsku zamówił kawę. Kelnerka spojrzała na niego z ciekawością, uśmiechnęła się i po chwili przyniosła małą filiżankę pachnącą aromatycznym napojem.

- Może coś do tego? - zaproponowała. - Mamy dobre lody.

- Dobrze - odpowiedział. - Proszę mi podać najlepsze.

Zniknęła, by po kilku minutach wrócić z pucharkiem lodów pokrytych różnymi owocami.

- Bardzo proszę - powiedziała.

Lody były znakomite i zjadł je z przyjemnością. Zostawił jej na stoliku hojny napiwek i ruszył dalej. Dotarł do sporej, ceglanej budowli, na której był napis „barbakan”, i postanowił

zawrócić. Starówka była nieduża, ale pięknie odbudowana i zrobiła na nim spore wrażenie. W drodze powrotnej jeszcze raz obejrzał stare zdjęcia wojennych zniszczeń i skierował się w stronę hotelu.

Harley stał tak jak go zostawił, trochę z boku, na podjeździe. Stał przy nim portier, pilnując go i bacznie obserwując grupkę młodych ludzi oglądających motocykl z pewnej odległości.

Recepcjonistka podniosła się na jego widok.

- Excuse me, sir - odezwała się do niego, gdy go zobaczyła.

- Słucham - odpowiedział po polsku.

- Czy życzy pan sobie wstawić swój motocykl do garażu? Tak będzie bezpieczniej - powiedziała.

- Proszę bardzo - odpowiedział, uśmiechając się w jej kierunku. - Zejdę później i to zrobię.

Wojtek z Chudym przyszedli punktualnie. Recepcjonistka zadzwoniła do niego, mówiąc, że ma gości. Kazał ich wpuścić, zdziwiony, że go o to pytała.

Weszli, śmiejąc się do niego od progu. Wyglądali inaczej, ogoleni i czysto ubrani.

- Przyjechaliśmy taksówką, trzeba dać dupom odpocząć trochę od siodełka - wyjaśnił Chudy.

- Masz szczęście - powiedział Wojtek. - Udało mi się załatwić urlop do końca tygodnia. Jutro ruszamy nad Pise.

- Wspaniale, a ty, Chudy? - zapytał Rolf.

- On to ma urlop, kiedy chce, pracuje w instytucie - odpowiedział Wojtek, a Chudy uśmiechnął się potakująco. - Nie mamy czasu do stracenia, daj te wszystkie twoje mapy, Rolf, musimy się dokładnie temu przypatrzeć, żebyśmy później nie jeździli w kółko bez sensu. Usiedli na fotelach wokół niskiego stolika i zaczęli po kolei przeglądać mapy. Zaczęli od starej mapy sztabowej doktora Brinka, a Rolf w tym czasie zadzwonił do recepcji i zamówił talerz przekąsek dla trzech osób i butelkę szampana.

- Tutaj widać tylko tyle, że to miejsce znajduje się niedaleko ujścia Pisy do Narwi, czyli gdzieś w okolicy Nowogrodu, i chyba stamtąd musimy zacząć poszukiwania - powiedział Chudy.

- Tak, tak, Otton Brink mówił, że to było niedaleko tego miasta, pięć kilometrów w górę rzeki. i niedaleko były bagna - dodał Rolf.

- bagna to mogą tam być wszędzie, zależy od stanu rzeki. Jak wyleje, to wszystko w okolicy jest pod wodą.

- Nic tu więcej nie wykombinujemy - powiedział Chudy. - Znamy te miejsca głównie od strony wody. Trzeba jechać do Nowogrodu, znaleźć dojdzie do rzeki i pokręcić się w tamtych okolicach. Jest tam kilka małych wioch w okolicy, to muszą być i drogi dojazdowe.

- Masz rację, są tam jakieś pola uprawne, bo widzieliśmy je, płynąc rzeką. Jakoś ci ludzie muszą tam dojeżdżać. Najważniejsze, że wiemy, od czego zacząć i w jakiej okolicy szukać. Co tam mamy dobrego na tym półmisku, Rolf? Zgłodniałem trochę.

- Panowie, za powodzenie naszej wyprawy - powiedział Rolf i z wprawą otworzył butelkę szampana.

Siedzieli do wieczora i długo rozmawiali o czekającej ich przygodzie.

Rolf pod wpływem chwili postanowił opowiedzieć im historię swojej przyjaźni z doktorem Brinkiem i o tym, jak udało im się uciec do Szwajcarii pod koniec czterdziestego drugiego roku.

Gdy już przełamał w sobie początkowy opór, mówił chętnie, a oni słuchali go z widocznym zainteresowaniem.

Wzbudził ich uznanie historią kolejnych protez i wysiłkiem, jaki musiał włożyć w to, żeby zrekompensować swoje kalectwo.

Z podziwem patrzyli na niego, gdy opowiadał o swojej fascynacji pierwszym harleyem, którego zobaczył po wojnie, i o tym, jak stał się jego właścicielem. Był z nimi bardzo szczerzy, tak jak z nikim do tej pory, poza Ottonem Brinkiem, i wiedział, że potrafi to docenić.

Ten wieczór bardzo ich do siebie zbliżył i gdy żegnali się przed rozejściem, mieli wspólne poczucie misji.

Polacy wiedzieli i czuli, że chcą mu pomóc i że zrobią wszystko, żeby jego marzenie o odzyskaniu pochowanych w dalekiej Polsce szczątków wreszcie się spełniło. Noga Rolfa von Dornhoff musiała wrócić do swojego prawowitego właściciela.

Rozdział 23

Z samego rana dwie obładowane sprzętem turystycznym wuelki podjechały przed hotel Victoria i zaparkowały obok błyszczącej chromami i niebieskim metalicznym lakierem electricy glide.

Rolf właśnie wychodził, ubrany w swój czarny, skórzany kombinezon z harleyowskim orłem na plecach. Podeszedł do chłopaków i przybił z nimi po piątce.

- Gotowy na wielką przygodę swojego życia? - zapytał Wojtek.

- Prawie nie spałem, nie mogłem się doczekać - odpowiedział.

- No to na co czekasz? - Zaśmiał się i odpalił swoją wuelkę.

Odjeżdżali spod hotelu odprowadzani ciekawymi spojrzeniami przechodniów oraz personelu i gości hotelowych, obserwujących ich zza szyb wielkiego holu recepcji.

Pogoda nadal dopisywała, początek września był ciepły i słoneczny i nic nie wskazywało na to, żeby coś miało się zmienić w najbliższych dniach.

Ruch nie był duży, wakacje dopiero się skończyły. Wjechali w tunel trasy WZ, wskoczyli na most Śląsko-Dąbrowski i szybko przejechali na drugą stronę Wisły.

Po piętnastu minutach minęli granicę Warszawy i ani się obejrżeli, gdy zaczęli zbliżać się do Wyszkowa.

Ale podróż wuelką nie mogła się obyć bez jakiejś naprawy i tuż przed wjazdem na most nad Bugiem Chudy, który jechał ostatni, zaczął zwalniać i wreszcie stanął. Rolf pierwszy zobaczył to w lusterku, mrugnął światłami na Wojtkę i zatrzymał się. Po chwili zawrócili i podjechali do pochylonego nad swoim harleyem Chudego.

- Co jest?

- Nie jest dobrze, chyba kliny na zębatce mi poszły. Tutaj tego nie naprawię. Co robimy?

- Pomyślmy chwilę. A może zostawimy twojego harleya u kogoś w pobliżu i pojedziemy dalej na dwóch? Rolf, możesz go zabrać ze sobą?

- Mogę, nie ma problemu.

- No to super, lepsze to niż zmarnować jeden albo dwa dni, próbując to naprawić.

- Przejdę się w takim razie do tej chałupy obok, może uda się go tam zostawić - powiedział Chudy.

Pobiegnął w kierunku starego, ogrodzonego drewnianymi sztachetami domu, stojącego po drugiej stronie szosy. Psy za płotem zaczęły ujadać jak szalone i po chwili ktoś podeszedł

do bramy.

Chudy wskazał przybyłemu człowiekowi ręką na stojące na szosie harleye i coś z nim przez chwilę negocjował, a potem szybko wrócił z zadowoloną miną.

- W porządku, uczynny kmiotek się trafił. Powiedział, że mogę wstawić motocykl do stodoły i odebrać za kilka dni. Pomóżcie mi go przepchnąć.

Odpiął torbę z rzeczami z bagażnika i zaprowadzili razem wuelkę na spore podwórko. Psy szalały przy budzie na swoich żałośnie krótkich łańcuchach, a drzwi starej, drewnianej stodoły uchyliły się, skrzypiąc przejmująco, i pojawił się w nich niewysoki, krępy osobnik w gumiakach i roboczym kombinezonie. Demonstrując w uśmiechu swoje szczątkowe uzębienie, powiedział:

- Mogą wstawić do środka, tu nic nie zginie. Pieski czujne, będą pilnować. Kiedy odbiorą?

- Za dwa, trzy dni. Może być?

- Może być, czemu nie, w domu cały czas siedzę.

Wstawili harleya do stodoły, podziękowali gospodarzowi i pożegnali się z nim uściskiem dłoni. Chudy z respektem spojrział na niewysokiego człowieka i z uznaniem w głosie powiedział:

- Masz pan tę łapę jak dwucalowa deska!

- Panie, całe życie przy łopacie, to i się rozklepała. - Zaśmiał się szeroko.

Chudy z przyjemnością usadowił się za Rolfem na szerokiej i wygodnej kanapie jego electry.

- Nareszcie się przejadę czymś wygodniejszym - powiedział i ruszyli dalej.

Prowadził Wojtek, znał tę drogę na pamięć i jechał jak po sznurku, równą stową, czasami tylko zwalniając w terenie zabudowanym. Nie było dużego ruchu, trochę ciężarówek i traktorów, droga mijała szybko i za Ostrowią Mazowiecką skręcili na Łomżę. Szosa zrobiła się mało ciekawa, wąska, pełna wybojów i furmanek. Jechali już dużo wolniej i po niecałej godzinie zatrzymali się tuż przed miastem, na stacji benzynowej.

- Jaki mamy plan? - zapytał Rolf.

- Jedziemy do Nowogrodu, tam pójdziemy do restauracji coś zjeść i popytamy ludzi, jak się dostać nad Piśę. To wszystko, a później mapa w rękę i szukamy.

- Mam nadzieję, że Chudy nie będzie się znowu musiał bić. Pamiętajcie, że nie mogę szybko biegać - zażartował Rolf, wskazując na swoją nogę.

- Na pewno nie, Nowogród to bardzo spokojne miasto - powiedział Chudy i pojechali dalej.

Nie było daleko, około piętnastu kilometrów. Zatrzymali się na rynku i ustawili harleye na parkingu. Siedli na ławce na małym skwerku, żeby odsapnąć, i zaczęli się rozglądać wokoło, szukając jakiejś restauracji.

Wokół motocykli od razu zebrał się mały tłumek. Po chwili podjechało dwóch osiłków na wufemce. Musieli być dobrze znani w Nowogrodzie, bo wszyscy rozstąpili się z należnym szacunkiem, a oni zaczęli oglądać harleye ze wszystkich stron i popisywać się swoją wiedzą.

- Dwa cylindry, ja pierdolę!

- Nie dwa, tylko cztery, ślepy jesteś?

- Cztery ma? O kurwa, ale wyścigowa, ciekawe, ile taki wyciąga?

- Eee, chujowo, tylko sto dwadzieścia ma na liczniku. To tyle co mój junak! Chodź, jedziemy, myślałem, że jest szybszy...

Stracili zainteresowanie, zniechęceni słabymi osiąganiami electry, i odjechali swoją wiśniową wufemką, zostawiając za sobą smugę siwego dymu.

Wojtek wypatrył małą restaurację, schowaną trochę za zielonym pawilonem warzywniaka. Przystawili motocykle, żeby je mieć na oku, i weszli do czystego i ładnie urządzonego lokalu.

- Zamówcie coś dla mnie, a ja przejdę się po rynku i popytam ludzi, jak najlepiej dojechać nad rzekę - powiedział Wojtek.

Obserwowali go przez szybę, jak zagadywał przechodniów. Jakiś starszy jegomość wskazał mu kiosk Ruchu i długo coś tłumaczył.

Podszedł do nich kelner.

- Co dla panów?

- Czy są schabowe z kapustą? - zapytał Rolf.

- Tak, bardzo dobre i świeże, polecam. - Kelner uśmiechnął się zachęcająco.

- To poprosimy trzy porcje - kolega zaraz do nas dołączy.

- bardzo proszę - powiedział kelner i wrzasnął w stronę uchylonych drzwi kuchni. -

Hanka, trzy schabowe z kapustą!

Czekali dobre piętnaście minut i kelner akurat podawał do stołu, gdy wszedł Wojtek.

- Co, znowu schabowe? - zapytał, przepuszczając kelnera.

- To Rolf zamawiał. - Chudy zaśmiał się. - Tak mu zasmakowały, że nic innego nie chce jeść.

- Trudno, niech będą schabowe. Pachną pięknie.

Usiadł wreszcie przy stole i z tym swoim szelmowskim uśmiechem na twarzy

zameldował:

- Wszystko już wiem, panowie. Trafiłem na starszego gościa, który tu się urodził i przeżył wojnę. Prowadzi kiosk Ruchu na rynku. Potwierdził, że niedaleko stąd, nad Pisą, rzeczywiście był w czasie wojny niemiecki szpital polowy. Wszystko się zgadza, nasze szanse rosną!

- Jak tam dojechać? - zapytał wyraźnie podniecony Rolf.

- Prosto drogą, którą przyjechaliśmy, mostem przez Narew i tuż przed przejazdem kolejowym wąskotorówki w pełną drogę w prawo. Tamtędy można dojechać nad Pisę i do jakiejś wiochy o nazwie Dobry Las, odległej o kilka kilometrów. To by się zgadzało z tą mapą sztabową, czyli jesteśmy w domu...

Schabowe były znowu pyszne, ale Rolf tym razem odpuścił drugą porcję. Nastrój oczekiwania udzielił się wszystkim. Zjedli szybko i poszli uruchomić motocykle. Tłumek rozstąpił się z szacunkiem, a oni wsiedli, zapięli kaski i ruszyli z hukiem tłumików.

Za mostem, zgodnie z instrukcją człowieka z kiosku, skręcili w pełną, ubitą i pełną wybojów drogę. Jechali powoli, ostrożnie omijając głębokie wyrwy i rozjeżdżone w gliniastym podłożu koleiny. Droga prowadziła wśród łąk i leszczynowych zarośli. Małe kępy lasu pojawiały się tu i ówdzie, a ona zakręcała coraz bardziej po łagodnym zboczach, aż w pewnym momencie wyjechali na otwarty teren.

W odległości niespełna stu metrów od drogi, po prawej stronie, widać było pojedyncze drzewa i trzcinowe chaszczki, a za nimi połyskiwała Pisa.

Rolf zatrzymał się, zsiadł z motocykla, oparł go na bocznej łapie i ruszył powoli w kierunku rzeki. Andrzej chciał iść za nim, ale Wojtek zatrzymał go wymownym ruchem dłoni. Usiedli na trawie i w milczeniu patrzyli z oddali, jak witał się z rzeką, która tyle dla niego znaczyła, a której nie widział od trzydziestu lat.

Po dłuższej chwili Rolf wrócił na drogę. Miał lekko zaczerwienione oczy i widać było, że trochę wstrząsnął nim ten powrót do przeszłości.

- Wzruszyłem się, koledzy - powiedział, uśmiechając się lekko. - Nawet nie wiedziałem, że tak to przeżyję. Dziękuję wam, że mnie tu przywieźliście, nie wiem, jak wam się odwdzięczę.

- Nie mówmy o tym na razie - powiedział Wojtek. - Mamy jeszcze przed sobą niezłą zagadkę do rozwiązania. Daj tę swoją mapę sztabową, muszę coś sprawdzić.

Pochylili się nad rozłożonym na kanapie elektry arkuszem.

- Nie może być inaczej, to musi być gdzieś tu w pobliżu - powiedział Wojtek. - Nie ma tu Nowogrodu ze względu na skalę mapy, ale jest pokazane ujście Pisy do Narwi, które

znajduje się około dwóch kilometrów w górę rzeki od mostu. i według mnie właśnie gdzieś tutaj jesteście. Chodźmy jeszcze raz nad rzekę, sprawdzimy.

Wyjął z torby lornetkę i ruszyli w stronę brzegu. Podeszli nad samą wodę i Wojtek zaczął rozglądać się po okolicy, gdy na wydeptanej wśród wysokich zarośli ścieżce pojawił się rower, prowadzony przez starszego mężczyznę w kufajce i wysokich kaloszach. Przytrzymane do ramy wędki i plastikowy kubek zawieszony na kierownicy wyraźnie wskazywały powód, dla którego tam się znalazł.

Spojrzał na nich zaskoczony. Najwyraźniej nie spodziewał się spotkania z trójką groźnie wyglądających osobników, ubranych w czarne, skórzane kombinezony, szukających czegoś nad rzeką.

- Dzień dobry, panu - zaczął bez chwili wahania

Wojtek. - Jak tam rybki, biorą?

Człowiek zatrzymał się przed nimi, popatrzył z ciekawością na ich ubrania i odpowiedział, patrząc mu śmiało w oczy.

- Bierum, panie, bierum, tu dużo ryb w rzece. A wy, co za jedni? Tyż na ryby?

- Nie, nie tym razem. Przyjechaliśmy tu na motorach. - Wskazał na stojące przy polnej drodze harleye. Szukamy jednej wsi, nazywa się Dobry Las.

- A co to za wieś, panie. - Człowiek z rowerem roześmiał się. - Cztery chałupy na krzyż, młodzi pouciekali do miasta, same dziady zostały, jak ja. A na co, niby, wam ta wieś potrzebna? Tam nic ciekawego nie ma, trochę starych, dwa konie i parę krów, to wszystko.

- Jesteśmy z telewizji, będziemy robić reportaż o takich małych wioskach i szukamy ciekawych miejsc - strzelił bez zastanowienia Wojtek.

- Z telewizji? - zdziwił się wędkarz. - No, jak z telewizji, to co innego. Ja tam też mam chałupę, zapraszam wieczorem na rybkę. Stąd będzie jakie pięć kilometrów, niedaleko, prosto tą drogą, co żeście nią od miasta przyjechali.

- A do ujścia rzeki stąd daleko?

- Do Narwi, znaczy się? Nie, niedaleko panie, tam jak to rozlewisko. - Wskazał w kierunku, z którego przyjechał. - Ze dwa kilometry może będzie. Ale tam żadnych wsi nie ma. Pójdę już, robaków muszę nakopać i coś złapać, bo na kolację nic nie będzie. A wpadnijcie wieczorem, pierwsza chałupa z brzegu, łatwo znaleźć - powiedział na odchodne i ruszył dalej, ścieżką nad rzeką. - Dziękujemy, wpadniemy na pewno!

* * *

Wrócili powoli do motocykli i Wojtek jeszcze raz rozłożył mapę. Popatrzył na wyblakły, zrobiony atramentem krzyżyk, znajdujący się tuż obok zaznaczonej na mapie drogi.

- To musi być niedaleko stąd, myślę, że ze trzy kilometry. Nie ma co, panowie, jedziemy dalej tą drogą i szukamy tego twojego dębu - powiedział w końcu. - A ty, Rolf, rozglądaj się dobrze, może rozpoznasz to miejsce.

Rolf kiwnął potakująco głową i bez słowa, w skupieniu podszedł do swojej electry. Odpalili i powoli ruszyli w stronę wsi zaznaczonej na mapie. Starali się jechać bardzo wolno, zresztą inaczej się nie dało.

Droga wiała się pomiędzy niewielkimi pagórkami, raz zbliżając się do rzeki, to znowu oddalając się od niej. Pojawiło się więcej drzew po obu stronach, przeważnie były to olchy i wierzby. Potem wjechali na płaski odcinek, prowadzący środkiem rozległej łąki. Rzeki stąd nie było widać, jedynie pas gęsto rosnących, liściastych drzew wskazywał jej położenie. W oddali było widać niewielkie wzgórze, porośnięte młodym lasem. Rolf zatrzymał się i wziął lornetkę. Patrzył przez nią krótką chwilę i w końcu powiedział:

- Wydawało mi się, że to jest to miejsce, ale nie widzę tego dębu. bez niego wszystko wygląda podobnie. Jedźmy dalej.

Zbliżyli się do wzniesienia. Droga lekkim łukiem biegła wokół niego, ale wszystko dookoła było porośnięte olszynowym zagajnikiem i żadnego dębu nie było. Pojechali dalej, droga oddaliła się od rzeki i po przejechaniu kolejnego kilometra pokazały się dachy kilku drewnianych chałup. Dojechali do wsi i zatrzymali się około dwustu metrów przed zabudowaniami.

- Dalej nie ma co jechać, to musi być gdzieś na tym odcinku, który przejechaliśmy - powiedział Wojtek. - Trudno, wracamy jeszcze raz.

Kręcili się tak w tę i z powrotem przez jakiś czas, zatrzymując w miejscach wskazywanych przez Rolfa, ale niestety, wielkiego dębu nie było, a bez niego wszystkie okoliczne pagórki wyglądały tak samo.

Słońce zaczynało już zachodzić i zmęczenie zadziwiającym jak na wrzesień upałem zaczęło im się porządnie dawać we znaki. Początkowy zapał gdzieś zniknął - zaczęli zdawać sobie sprawę, że może nie być to takie łatwe, jak sądzili.

- Panowie, zróbmy tak - powiedział Wojtek po chwili zastanowienia. Z tego jeżdżenia w kółko nic nie będzie, szkoda naszego czasu. Potrzebujemy czyjejś pomocy i więcej informacji o miejscu, gdzie był ten szpital. Może ktoś będzie coś wiedział?

- Myślisz o tym gościu z kiosku Ruchu? - zapytał Chudy.

- Nie, myślę raczej o tym wędkarzu. To starszy facet, miejscowy i powinien pamiętać te czasy. Zaprosił nas, tak czy nie? Wrócimy do miasta, kupimy ze trzy faszki, coś do żarcia, papierosy i pojedziemy do niego. Jeśli on nie będzie wiedział, to może zna kogoś, kto wie.

- No, a jak mu o tym powiemy? Naopowiadałeś mu o telewizji, a teraz co, niemieckiego szpitala będziemy szukać? - Chudy zaśmiał się.

- Nic się nie przejmuj, gadanie zostaw mnie, wy tylko przytakujcie. Jakoś go zbajeruję.

Pokiwali głowami i wsiedli na motocykle.

Zakupami w miejscowych delikatesach w Nowogrodzie wzbudzili wielkie uznanie u sprzedawczyni. Rolf wskazywał palcem na półki, a ona podawała po kolei. Zapakowali dwie wypełnione po brzegi torby w górny, pusty kufer elektry i pojechali z powrotem nad Piśę, znaną im już na pamięć drogą.

Dotarli do wsi i wjechali na podwórko pierwszej chałupy z brzegu, tak jak powiedział im wędkarz.

Mieli szczęście, bo od razu natknęli się na niego, jak oprawiał ryby, siedząc na ganku. Poderwał się z uśmiechem.

- No co, widzę, że przyjechali? Zapraszam, siadajcie tu sobie na ławce, przy stole. Połów się udał, zjemy smacznej rybki, córka zaraz będzie smażyć - powiedział. - Helka! - wrzasnął do kogoś - chodź no tutaj, panowie z telewizji przyjechali!

Na progu ukazała się wysoka, postawna młoda kobieta, z długim warkoczem opadającym na plecy, ubrana w kraciasty fartuch. Na bosych nogach miała gumki z obciętymi cholewkami, ale dzięki temu widać było, że te nogi były cholernie zgrabne.

Popatrzyła na trzech siedzących na ławce, ubranych w czarne skóry mężczyzn i bez zastanowienia zapytała:

- A gdzie wasze kamery?

- Pani pozwoli, pani Heleno, że się najpierw przedstawimy - powiedział szeroko uśmiechnięty Wojtek, podchodząc do niej. - Ja jestem Wojtek, to jest Chudy, nasz operator, a to Rolf, kolega z niemieckiej telewizji - oczywiście z NRD.

Podał jej rękę i szarmancko pocałował w dłoń. Zaczerwieniła się i dygnęła niezdarnie.

- Niemiecka telewizja, tu, do nas? A czego oni tu szukają?

- Niczego, pani Heleno, taka zwykła, gościnna wizyta - uspokoił ją Wojtek.

Rolf tymczasem wyjął dwie duże plastikowe reklamówki pełne zakupionych w mieście produktów i postawił je na stół.

- To dla was, mały prezent od telewizji NRD - po wiedział, uśmiechając się do niej.

Oczy jej rozbłysnęły, gdy spojrzała na wypchane po brzegi torby.

- Jak tak, to co innego - powiedziała i złapała za kubek z rybami. Zaraz smażyć rybki, będziemy mieli dzisiaj prawdziwą ucztę. Ojciec, wytrzymaj no stół!

Zakręciła się na pięcie i zniknęła w głębi domu.

- Ona zawsze taka. - Wędkarz zaśmiał się. - Wszystkich chłopów, co do niej przychodzili, wystraszyła i tak razem siedzimy w tej chałupie.

Wędkarz położył na stół kraciasty obrus, usiedli, a Wojtek wyjął półlitrowkę wyborowej i odkręcił.

- Rybka lubi pływać, panie gospodarzu, wypijmy po jednym, zanim się usmaży.

Wędkarzowi oczy błysnęły jak dwie latarnie morskie.

- Helka, kieliszki daj!

Przyniosła pięć gustownych, wytłaczanych musztardówek na drewnianej tacy. Wojtek polał szczodrze, rozlał całą butelkę.

- Zdrowie gospodarzy!

Wypili po połowie, tylko wędkarz wyciągnął wszystko do końca, tak jakby pił wodę.

- Suszy po tych rybach! - powiedział i zagryzł kawałkiem chleba.

- Ojciec, nie pijcie tyle, bo wam znowu zaszkodzi, tak jak ostatnim razem!

- Nic mi nie będzie, idź lepiej zobacz, żeby się ryby nie przypiekły.

Po chwili wróciła i postawiła na stół wielki, czubaty półmisek pełen usmażonej na złocisty kolor ryby. były tam różne rybki, większe i mniejsze oraz dzwonki jakiejś większej zdobyczy, sądząc po białym, zwartym mięsie - sandacza. Zapach, jaki się roztaczał, był taki, że wszyscy dorwali się do półmiska tak, jakby od paru dni nie mieli nic w ustach.

- Przepyszne! - powiedział Wojtek z ustami pełnymi wspaniałej ryby. - Zdrowie naszej gospodyni i tego, kto te rybki złowił!

Po drugiej butelce i kolejnym półmisku ryb przy stole zrobiło się wesoło, a po trzeciej nawet początkowa podejrzliwość córki wędkarza rozplynęła się w oparach wyborowej.

Gospodarzom rozwiązały się języki, zaczęli opowiadać o sobie, o swoim życiu i ciężkiej doli polskiej wsi.

Okazało się, że wędkarz był tam urodzony. Gdy wybuchła wojna, miał czternaście lat i cały okres okupacji spędził w swoim domu nad Pisą.

- Wtedy musiałem łowić ryby, bo trudno było o jedzenie, samiśmy musieli je zdobywać. Tak mi to w krew weszło, że od tamtej pory nic mnie innego nie interesuje, tylko wędka.

- Dalibyście już ojciec spokój z tymi rybami, schabowego bym zjadła, to jest jedzenie!

- Helka za śmiała się.

- Weź go i kup, z tej mojej renty. Ziemię mi zabrali, bo niby uprawiana nie była. Teraz za nią płacą rentę, ale to marne grosze, a ziemia odłogiem leży, jak leżała. Tylko te ryby mi

zostały.

- To całą wojnę pan tu spędził?

- Tak, panie, nie tylko wojnę, ale i całe życie - zaśmiał się wędkarz.

- To ciekawe, a może pan będzie wiedział, bo kolega z niemieckiej telewizji o to pytał - powiedział Wojtek, wskazując na zajętego rozmową z Heleną Rolfą. - Podobno był tu gdzieś w czasie wojny niemiecki szpital polowy, prawda to?

- Szpital polowy? Pewnie, że był. Niedaleko, musieliście przejeżdżać koło tego miejsca, pamiętam jak dziś. Lądowisko też było i chodziliśmy z chłopakami ze wsi patrzeć na samoloty. Szkopy czasem do nas strzelały, żeby nas przepędzić, ale tylko na postrach. - Zaśmiał się. - A czemu pan pyta? - zapytał całkiem trzeźwo.

- brat tego kolegi z niemieckiej telewizji był tu w czasie wojny. Został ranny gdzieś w Rosji i tu go przywieziono. Prosił, żeby mu na pamiątkę parę zdjęć tego miejsca zrobić, ale nie mogliśmy go odszukać.

- Nic wielkiego, łatwo znaleźć. Jaki kilometr stąd, za takim małym wzgórzem na dużej łące schodzącej do rzeki, tam to było. Nawet ruiny jakichś baraków zostały, ale krzakami zarosły. Ruskie zbombardowali w czterdziestym czwartym.

- brat kolegi mówił, że na wzgórzu przy szpitalu stał taki wielki dąb. Szukaliśmy go, ale nie mogliśmy znaleźć. Pomyśleliśmy, że musiał się pomylić i że to nie tu.

- Panie, nie pomylił się - roześmiał się pełną gębą wędkarz - tylko że tego dębu już od dobrych dwudziestu lat tam nie ma!

Rolf nagle przestał rozmawiać z Heleną i spojrzał bacznie na wędkarza, który ciągnął swą opowieść dalej.

- Piorun w niego strzelił parę lat po wojnie, zmarniał od tego i któregoś roku wichura go powaliła. Przyjechali jacyś, ścieli go, a drewno wywieźli, tylko pieniek został w ziemi. Jutro wam pokażę, jak będę jechał na ryby. Otwórz pan tę butelkę, bo mi w gardle zaschło. Człowiek nienawykły, z rybami nie pogadasz. - Zaśmiał się.

Patrząc na rozradowaną twarz Rolfa, Wojtek odkręcił nakrętkę kolejnej wyborowej i polał.

- Przespać się tu u pana będzie gdzie? - zapytał.

- Przespać? Pewnie, że będzie, panie, dla takich gości... Dom duży, a ja sam z córką tu mieszkam. Helka, przygotuj dla panów ten duży pokój na strychu, przenocować ich trzeba, żeby po ciemnicy nie musieli się tłuc po tych wertepach.

Rozdział 24

Cztery półlitrowki na pięć osób to nie była może śmiertelna dawka, ale dla kogoś nieprzyzwyczajonego do takich wyczynów stanowiła poważne wyzwanie. Rolf i Andrzej poszli na górę, padli na swoje łóżka jak kłody i po chwili z pokoju na strychu zaczęło dochodzić ich donośne chrapanie.

- Słabe głowy mają ci Niemcy z NRD - zażartował wędkarz, śmiejąc się do Wojtka.

Na dworze po zachodzie słońca zrobiło się chłodno, więc weszli do domu. Siedzieli w dużym pomieszczeniu z węglową kuchnią i dużym piecem, przy stole nakrytym wzorzystą ceratą. Kończyli ostatnią butelkę - wędkarz nie odpuszczał takich okazji w swoim życiu i ktoś musiał dotrzymać mu towarzystwa. Padło na Wojtka.

Ale on nie miał nic przeciwko temu. Lubił wypić raz na jakiś czas i cenił sobie ciekawe towarzystwo. A wędkarz, mimo że prosty człowiek, który spędził całe swoje życie w jednym miejscu, miał bardzo oryginalne podejście do rzeczywistości i miło się z nim gawędziło. Widać łowienie ryb dawało dużo czasu i okazji do ciekawych przemyśleń.

Wojtek słuchał go z prawdziwą przyjemnością i czuł się tak, jakby ktoś opowiadał mu ciekawą książkę. bo w końcu to wszystko, co można wyczytać w różnych, mądrych książkach, też ktoś sam kiedyś musiał wymyślić. Wędkarz książek nie czytał i tego wszystkiego, co sam wymyślił, nie zapisywał, ale najwyraźniej miał ochotę z kimś się tym podzielić...

Rano obudziło ich słońce zaglądające wprost przez otwarte okno pokoju na poddaszu, w którym spali. Pierwszy ocknął się Chudy i szybko poleciał po schodach na dół, wypadł na ganek i zaczął się za czymś niecierpliwie rozglądać.

- Wygodki pan szukasz? - zagadnął gospodarz. - Tam, za domem, w samym rogu - powiedział z uśmiechem i nachylił się nad wędką, przy której coś majstrował.

Chudy wrócił po kilku minutach, wyraźnie uspokojony.

- Lepiej się poczuł? - zapytał wędkarz.

- Tak, dużo lepiej, już jest dobrze. - Roześmiał się. - Nie mam głowy do wódki, nie powinienem tyle pić.

- Czasami trzeba się napić, robactwo w sobie wytruć i oczyścić jelita. Wołaj pan swoich znajomych na śniadanie. Pora ruszać, bo mi ryba przestanie brać.

* * *

Rolf zszedł na dół ostatni. Zanim to zrobił, wyjął z kieszeni kurtki portfel, wyciągnął z

niego dwa stumarkowe banknoty i włożył je pod szklany wazon stojący na stoliku. „Nawet nie wiecie, co dla mnie zrobiliście” - pomyślał.

Jajecznicę na boczku podana przez Helenę na wielkiej, czarnej od sadzy patelni postawiła ich na nogi.

Pogadali jeszcze trochę, podziękowali za gościnę, ucałowali po kolei córkę gospodarza i zaczęli się szykować do drogi.

Wędkarz wsiadł na rower.

- Pojadę pierwszy, i tak mnie dogonicie - powiedział i pojechał.

Odpalili harleye, pomachali Helenie stojącej na ganku i powoli ruszyli za nim.

Rower zatrzymał się na niewielkim, zarośniętym olszyną wzniesieniu, koło którego przejeżdżali już tyle razy.

„To niemożliwe - pomyślał Rolf. - To jednak tutaj?”

Zgasili silniki i zeszli z motocykli. Wędkarz, uśmiechając się tajemniczo, powiedział:

- Jesteśmy na miejscu, chodźcie za mną w te krzaki, pokażę wam resztki pniaka po dębie.

Przedzierali się za nim kilkanaście metrów przez olszynowe zarośla i wysoką trawę. W pewnym momencie stanął, rozgarnął kępę gęstych, dziko rosnących jeżyn i obrócił się w ich kierunku z triumfującym uśmiechem. Podeszli i spojrzeli na dół.

Tuż nad powierzchnią ziemi widniał krótko obcięty i częściowo już zmurszały pień wielkiego kiedyś dębu. Musiał mieć dobrze ponad metr średnicy.

- To ten, żadnego innego w tej okolicy nie było - powiedział wędkarz.

Rolf wyjął aparat fotograficzny i pstryknął kilka zdjęć.

- To niesamowite - powiedział. - Wprost nie mogę w to uwierzyć.

- Panie, nawet dęby nie są wieczne, a co dopiero ludzie - powiedział sentencjonalnie wędkarz, patrząc na niego z dziwnym uśmiechem.

Wyszli z zarośli na drogę.

- Jak obejdziecie to wzgórze i te zarośla, to z drugiej strony możecie zejść łąką w kierunku rzeki, będzie stąd jakie pół kilometra. Po prawej stronie, w krzakach dzikiego bzu, stoją jeszcze te ruiny baraków szpitala, o których mówiłem. Możecie sobie pochodzić i porobić zdjęcia, nikt wam nie będzie przeszkadzał, bo i nikt tutaj się nie kręci. Ja już pojadę, ryba czeka.

Podziękowali mu jeszcze raz za gościnę i pomoc, uścisnęli mu dłoń i patrzyli, jak odjeżdża na swoim rowerze do chwili, aż zniknął za zakrętem.

- Muszę chwilę odsapnąć, za dużo emocji naraz - powiedział Rolf i wyciągnął z

kieszeni mapę. - Otton mówił mi, że kilka metrów od dębu stała stara, murowana niewielka kapliczka. To za nią powinna być zakopana ta skrzynka.

- Idziemy zatem szukać kapliczki, nie mogę już dłużej czekać - powiedział Wojtek. - Rolf, później będziesz odpoczywał!

Weszli z powrotem w zarośla i odszukali ukryty w jeżynach pień wielkiego dębu.

- Niech każdy idzie w inną stronę, szukamy w promieniu do kilkunastu metrów od tego miejsca - zarządził Wojtek i pierwszy dał nura w dzikie zarośla. Były gęste, poplątane olchą i leszczyną, zarośnięte dzikimi jeżynami i pokrzywą do pasa. Ale szczęście im tego dnia dopisywało, bo po krótkiej chwili z pobliskich krzaków odezwał się Rolf.

- Koledzy, chyba coś znalazłem!

Rzucili się w jego kierunku, na słuch, bo nie było go widać przez gęstwinę. Po chwili byli przy nim. Stał trochę bliżej drogi, a w rozgarniętym na boki jeżynowym kobiercu widać było wyraźnie coś, co bez wątplenia wyglądało na pozostałości murowanej kapliczki. Zarys małego fundamentu i trochę zarośniętych trawą, popękanych cegieł mówiły wszystko.

- Rolf, ty szczęściarzu - powiedział Wojtek z uśmiechem.

* * *

Musieli działać szybko. Wprawdzie okolica wydawała się bezludna, ale chcieli uniknąć ryzyka. Zawsze mógł się ktoś napatoczyć i zainteresować tym, co robili. A socjalistyczna milicja nie była w takich przypadkach zbyt pobłażliwa.

Rolf z Andrzejem zaczęli czyścić z zarośli teren wokół murowanych pozostałości, a Wojtek poszedł do motocykli po małą siekierę, którą zawsze ze sobą woził, i po składaną saperkę. Jak do nich wrócił, zielsko i krzaki rosnące wokół kapliczki były usunięte, a z jednej strony, tuż za nią, spod warstwy zbutwiałych liści wystawały trzy leżące obok siebie polne kamienie.

- Według Ottona zakopana skrzynka powinna być pod tymi kamieniami - powiedział Rolf, dysząc ciężko.

- Jeśli tak, to trzeba to sprawdzić - powiedział bez chwili zastanowienia Chudy.

Pochylił się i szybko odrzucił na bok trzy otoczaki. bez słowa wziął od Wojtka saperkę, uklęknął i wbił ją głęboko w miękkie podłoże, prosto w zagłębienie po jednym z nich. Odrzucił na bok ziemię i wbił saperkę ponownie. A potem jeszcze raz. Wreszcie za którymś razem usłyszeli metaliczny odgłos i saperka stanęła w połowie drogi.

Chudy nie ustawał. Wyrzucał na bok lekką, wymieszaną z próchnicą ziemię i po chwili zobaczyli zarys zardzewiałej, metalowej skrzynki. Odkopał ją po bokach, złapał za widoczny z jednej strony metalowy uchwyt, mocno szarpnął i wyciągnął na powierzchnię.

Była solidnie zardzewiała, ale miała jeszcze miejscami na sobie resztki zielonej, matowej farby i co najważniejsze, była cała. Andrzej wstał z kolan, podniósł skrzynkę i z uśmiechem wręczył ją Rolfowi.

- Twój skarb wraca do ciebie. Gratuluję! No to co, panowie, chyba spływamy?

Popatrzyli po sobie z uśmiechem i ruszyli przez zarośla w kierunku drogi.

Gdy zadyszani wyszli z nich po chwili, stanęli jak wryci. Przy ich motocyklach stał rower, a obok niego, na trawie, siedział wędkarz i spokojnie palił papierosa.

- No i co, znaleźli, czego szukali? - zagadnął z uśmiechem, patrząc na zardzewiałą skrzynkę niesioną przez Rolfa.

Zaskoczyło ich to kompletnie i wszyscy trzej jak na komendę wybuchnęli śmiechem.

- Widzę, że przed naszym gospodarzem nic się nie ukryje - powiedział jak zwykle rezolutnie Wojtek i usiadł obok niego. Skąd pan wiedział, że czegoś szukamy?

- Panie, nie wiedziałem! Niby skąd? Rybki pod południe nie brały, to wróciłem. Patrzę, a wasze motory stoją, was nie ma i ktoś się po krzakach tłucze. To pomyślałem, zaczekam chwilkę i zapalę, ciekaw byłem, co tam robicie. No, a jakeście wyszli i zobaczyłem tę skrzyneczkę, to od razu mnie oświeciło. Głupi by się domyślił.

- Faktycznie, trudno zaprzeczyć. No to co, panowie - powiedział Wojtek, puszcżając oko do Andrzeja i Rolfa, którzy przysłuchiwali się ich rozmowie - wpadniemy może jeszcze raz do gospodarza i postaramy się tę skrzyneczkę otworzyć, zobaczymy co za skarb jest w środku... Solidnie zardzewiała, narzędzia jakieś będą?

- Mam wszystko, panie, młotki, mesle, cęgi, nawet buchwel się znajdzie.

- Tylko Helenie może lepiej nie pokazywać. Wie pan, baba, zaraz po wsi o skarbie rozgada - żartował dalej Wojtek z wyraźnym podochoconego wędkarza.

- Jej nie ma w domu, panie! Pracuje trochę u gospodarza w sąsiedniej wsi, sami będziemy, nikt się nie dowie.

- Skoro tak, to ruszamy stąd, szkoda czasu! Jedź pan pierwszy, zaraz u pana będziemy.

Wędkarz pognął przodem na rowerze, żeby przygotować narzędzia, a Wojtek powiedział do Rolfa:

- Zdziwi się chłopina, jak zobaczy zawartość. Wybacz, Rolf, ale nie mogłem sobie tego odmówić. Gościnnie nas człowiek potraktował, nie chciałem, żeby się czuł wykorzystany, należało mu się to. Zobacz, co tam jest, i się uspokoi.

- Rozumiem, nic się nie stało, ważne, że mamy skrzynkę. A ja nie mogę się już doczekać, żeby ją otworzyć. Jedźmy!

Wędkarz niecierpliwie ich wyglądał, gdy wjechali na podwórko.

- Tutaj, do szopki chodźcie, mam stół i narzędzia - jękał się podniecony.

Weszli do środka. Po kątach stały jakieś stare rupiecie, koszyki, wiadra, a całe ściany obwieszane były bambusowymi wędziskami. Rolf położył skrzynkę na drewnianym stole.

- Chudy, pomożesz? - zapytał. - Ręce mi się trzęsą, jeszcze sobie palec na dodatek obetnę...

Roześmiali się z niezamierzonego żartu. Chudy wziął skrzynkę w swoje mocne dłonie i uważnie obejrzał dwa zatrzaskowe rygle.

- Gdzie są te obcęgi? Daj pan też jakiś mocny śrubokręt i młotek - powiedział.

- Tu wszystko leży, na półce, zaraz podam. Trzymaj pan.

Chudy wziął do ręki śrubokręt, przyłożył pod język ryglu, przywalił solidnie młotkiem i rygiel puścił. Z drugim też nie było problemu.

- Solidna, niemiecka robota. - Zaśmiał się. - Sprawdzimy teraz, jak ta pokrywa trzyma.

Wziął młotek, opukał dookoła brzegi, potem walnął parę razy z góry, aż się posypała rdza. Wyprostował głowę, spojrzał na ich podniecone miny z uśmiechem i powiedział:

- Panowie, przygotujcie się, otwieram!

Złapał za boczny uchwyt skrzynki, pod pokrywą włożył końcówkę śrubokrętu, podlewarował i wieko puściło. Słysząc było tylko przyspieszone bicie ich serc, gdy Chudy powoli podnosił pokrywę.

Ze środka skrzynki buchnął zapach starej stęchlizny, a cztery pary oczu niczym strzały wbiły się w jej zawartość. Po krótkiej jak mgnienie oka chwili wędkarz odskoczył przerażony na bok i wrzasnął:

- Wszelki duch pana boga chwali, toż to ludzka noga!

Przeżegnał się szybko kilka razy, Chudy z Wojtkiem roześmiali się jak z dobrego żartu, a Rolf stał nieruchomo wpatrzony w swoje szczątki, uśmiechał się i dwie duże łzy spłynęły mu po policzkach.

Po chwili pochylał się nad skrzynką, pogrzebał we wnętrzu śrubokrętem i wyciągnął z niej jakiś niewielki, zaśnieżony przedmiot. Przetarł go energicznie kilka razy kawałkiem szmaty leżącej na stole, położył na otwartej dłoni i wyciągnął w ich kierunku. Wojtek pochylał się nad nim i przeczytał - „Herman von Dornhoff, lipiec 1879”.

- To był mój dziadek - powiedział Rolf, patrząc mu w oczy.

- A ta noga w pudełku też do pańskiego, świeć panie nad jego duszą, dziadka należała? - zapytał zdumiony i mocno podekscytowany wędkarz.

- Nie, noga jest moja - odpowiedział, uśmiechając się Rolf.

- Panie, nie przystoi ze starego żartować, a szczątkom ludzkim szacunek się należy,

czyje by one nie były - obruszył się chłopina.

Wojtek z Andrzejem nie odzywali się i obserwowali tę scenę, ciekawi, co z niej wyniknie. Rolf spojrzął na wędkarza i szybkim ruchem podciągnął do góry nogawkę swoich spodni. Pomiędzy nią a górną krawędzią jego buta zaświecił matowym, srebrzystym blaskiem dziwny, metalowy przedmiot.

Wędkarz opadł na stojący obok stołu taboret i pochylony wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę.

- Mogę dotknąć? - zapytał.

Rolf pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Tak, proszę.

Wędkarz wyciągnął dłoń i dotknął palcem srebrzystego pręta.

- Mocniej, to nic nie boli - powiedział Rolf. Schylił się i puknął w protezę trzymanym w ręku śrubokrętem. Zadzwoń jak w kościele i tym razem roześmiali się wszyscy.

- A tom się dał nabrać, stary a głupi, myślałem, żeście jaki skarb znaleźli - powiedział wreszcie wędkarz, kiwając z niedowierzaniem głową. - Ale pospieszyć się trochę musimy i posprzątać tu trzeba, bo córka wróci niedługo i lepiej, żeby nas przy tym nie złapała. Strachliwa jest i za dużo tłumaczenia by było - zakończył sprawę.

* * *

Rolf poszedł do motocykla po dwa specjalnie przywiezione, szczelne plastikowe pojemniki i zaczął przepakowywać do nich zawartość skrzynki. A oni wyszli na zewnątrz i usiedli na ławce przed domem. Nie chcieli mu przeszkadzać, w końcu grzebanie we własnych szczątkach to dosyć intymne zajęcie.

Wreszcie skończył, włożył pojemniki do jednego z bocznych kufrów elektry i z zadowoloną miną przysiadł się do nich.

- To co, panie Rolf, nogę pan odzyskał, a to duża okazja, uczcić by to chyba należało? - odezwał się wędkarz, któremu wyraźnie odeszła ochota na łowienie ryb tego popołudnia. - Córka zaraz wróci, jedzenia mamy pełno, coście wczoraj przywieźli, tylko do picia by się coś przydało, bo u mnie tylko woda w studni...

Popatrzyli po sobie i pomyśleli - czemu nie, dzień był pełen wysiłku i emocji, znaleźli to, po co przyjechali, pogoda była piękna i nie musieli się już do niczego spieszyć. Wojtek kiwnął potakująco głową.

- Z chęcią, panie gospodarzu - powiedział Rolf, wstając z ławki. - Chudy, przejedziemy się razem do miasta? Zrobimy zakupy i wrócimy, trzeba naszego gospodarza ugościć i podziękować za pomoc.

- Jechać z wami? - zapytał Wojtek.

- Nie, zostań, pogadajcie sobie. Damy we dwóch radę, za godzinę będziemy z powrotem.

I pojechali, a on musiał opowiedzieć wędkarzowi całą historię odnalezionej nogi. Mówił o tym, jak rannego Rolfa przewieziono w 1942 roku z frontu wschodniego do szpitala nad Pisą. O zakażeniu, które spowodowało, że nogę trzeba było amputować, i o doktorze Brinku, który na jego prośbę zakopał ją pod wielkim dębem. i o tym, jak Rolf latami myślał o jej odzyskaniu, aż wreszcie, dzięki przypadkowej znajomości z nimi, zdecydował się przyjechać do Polski i ją odszukać..

- Resztę już pan zna - Wojtek zakończył, uśmiechając się do niego.

- Bardzo piękna i prawdziwa opowieść - skomentował wędkarz. Po chwili usłyszeli znajomy dźwięk i obładowana paczkami electra wjechała na podwórko.

Wkrótce dołączyła do nich Helena i razem spędzili resztę dnia. Siedzieli do późnej nocy, jedli, pili i rozmawiali wesoło, jak to po wódce. Ale o nodze już nie wspominali, tylko patrzyli na siebie, uśmiechali się porozumiewawczo i żartobliwie odpowiadali na pytania Heleny o to, gdzie spędzili cały dzień i czemu ojciec dzisiaj ryb nie nałowił.

Rano wczesnie wstali i zaczęli się szykować do odjazdu. Rolf do wciąż leżących na stoliku, przyściśniętych wazonem dwustu marek dodał kolejne trzy banknoty. Spojrzał na Chudego, który, jak zwykle, mocował się ze swoim zamkiem błyskawicznym w spodniach.

- Wystarczy? - zapytał.

Ten zerknął na leżące na stole pieniądze.

- Z powodzeniem, to więcej niż on dostaje renty przez cały rok. W życiu nie mieli takiej sumy w rękach, zrobiłeś im piękny prezent.

Po śniadaniu pożegnali się serdecznie, tym razem tak, jakby znali się od zawsze. Wojtek z Andrzejem obiecali, że wpadną do wędkarza, gdy będą płynęli kiedyś łódką na Mazury, a Rolf uściskał Helenę i powiedział:

- Coś dla ciebie zostawiłem na stole, w pokoju na górze. bądź zdrowa i dziękuję za wszystko.

Wsiedli na harleye, odpalili i wolno wyjechali z podwórka. Jak tylko skręcili w polną drogę, Helena poleciała szybko na górę i po chwili jeszcze szybciej zbiegła na dół. Wyciągnęła w kierunku ojca rękę i zdyszana krzyknęła:

- Zobacz, ojciec, co nam zostawili!

Wędkarz popatrzył ze zdumieniem na banknoty i uśmiechnął się szeroko.

- Toż to fura pieniędzy! Skarb jaki znaleźli w tych szuwarach nad rzeką czy co? -

zażartował.

- A tam, od razu skarb. Dobre ludzie, to wszystko!

Rozdział 25

A tymczasem dobrzy ludzie po dwudziestu minutach jazdy dobrze już poznaną polną drogą wyjechali na szosę i skręcili w stronę Nowogrodu. Tym razem nie zatrzymali się ani tam, ani w Łomży.

Nastroje im dopisywały, a jazda w łagodnym, wrześnieowym słońcu sprawiała przyjemność. Rolf przyzwyczał się już do warunków jazdy panujących w Polsce i nie dawał się zaskakiwać furmankom ani traktorom wyjeżdżającym nagle na szosę.

Jechali płynnie i zatrzymali się dopiero na stacji benzynowej przed Wyszkowem. Zatankowali do pełna i zaczęli się zastanawiać, co zrobić z pozostawionym niedaleko zepsutym harleyem Andrzeja.

- Myślę, że wezmę cię na sznurek i powoli dojedziemy do twojego garażu w Warszawie - powiedział Wojtek. - Mam dobrą linkę i jest po drodze. Tam cię zostawimy, a ja odprowadzę Rolfa do hotelu.

Zgodzili się na propozycję, nie było sensu przyjeżdżać ponownie po motocykl do Wyszkowa. Wsiedli na motocykle i szybko przemknęli pozostały kawałek drogi.

Zatrzymali się na poboczu, naprzeciwko starej chałupy ogrodzonej drewnianymi sztachetami. Pieski znów zaszczekały i po chwili przy bramie pojawiła się znajoma postać. Uśmiechnęła się szeroko swoim jedynym, złotym zębem na powitanie.

- Co, już? Szybko obrócili. Zabieracie motór?

- Tak, wracamy do Warszawy, trzeba go tam zaciągnąć i naprawić.

Chudy chciał chłopinie wcisnąć stowę za pilnowanie, ale tamten obruszył się, schował ręce za plecy i nie chciał ich wziąć.

- Panie kochany, toż ja to z dobroci zrobił, żeby młodym pomóc, nie dla pieniędzy. Może kiedyś ja też będę coś od kogoś potrzebował...

Podziękowali, pożegnali się, uścisnęli jego twardą i grubą jak dwucalowa deska dłoń, po czym ruszyli w kierunku Warszawy. Jechali wolno, ale nie było dużego ruchu i po godzinie stanęli przed garażem Chudego na warszawskim blokowisku.

- Tu mieszkasz? - zapytał Rolf, rozglądając się ciekawie dookoła.

- Tak, Rolf, tutaj mieszkam. Tak wygląda w Polsce komunistyczna rzeczywistość szarych, przeciętnych ludzi. Ale nie narzekam, inni mają gorzej - dodał i uśmiechnął się do niego. - To ja tu zostaję, zobaczymy się wieczorem?

- Tak, wpadnijcie do mnie do hotelu, pójdziemy na Starówkę na jakąś kolację.

Pojutrze wyjeżdżam i musicie mi doradzić, jak mam to przewieźć przez granicę. Trudno byłoby mi wytłumaczyć, że to jest moja własna noga...

- Powiesz, że to resztki z kolacji, które zabrałeś dla swoich piesków. Taki doggy bag, to teraz modne...

Roześmiali się z makabrycznego dowcipu i Rolf pokiwał głową.

- Wszystko się zmieniło w moim życiu, koledzy. Jeszcze niedawno nie umiałbym się z tego śmiać...

* * *

- Dzisiaj my płacimy - powiedział Wojtek, patrząc na Rolfa, gdy usiedli w kawiarnianym ogródku na rynku Starego Miasta. - Tak się umówiliśmy w Utrechcie.

- Dobrze, niech będzie, dziękuję za zaproszenie.

Zamówili pieczoną kaczkę i popijając zimnego żywca, zaczęli się zastanawiać, co zrobić, żeby Rolf nie wpadł w razie kontroli celnej.

- Oficjalnie wywieźć tego nie możesz, naraziłbyś się na wielkie kłopoty. To są szczątki ludzkie i nawet to, że są twoje, nie oznacza, że możesz sobie z nimi robić, co chcesz. Potrzebne są specjalne zezwolenia, zgoda na ekshumację i różne takie bzdury. Nie możesz tego oficjalnie zgłosić, bo od razu ci to zabiorą i zaczną się dochodzenie. Nie znasz komunistów.

- To co mam zrobić? - zapytał wyraźnie zmartwiony Rolf.

- Musimy to gdzieś ukryć w twoim motocyklu. Pomyśl Chudy, ty się na tym znasz najlepiej.

- Nie mam co myśleć, jest tylko jedno takie miejsce w electrze. Schowam to w kanapie tak, że nikt tego nie znajdzie, chyba że by wszystko zaczęli pruć, a tego przecież nikt nie będzie robił.

- Da się to zrobić?

- Wszystko się da zrobić, jak się potraf. - Zaśmiał się. - Electra ma bardzo grubą kanapę i głębokie, podłużne przetłoczenia na metalowej płycie pod spodem. Zdejmę całą tapicerkę i gąbkę siedzenia, poukładam twoje kostki w te przetłoczenia, przykleję taśmą i zaszyję wszystko od nowa. Nic nie będzie widać i nikt nie zauważy, że coś tam było robione. Jak dojedziesz do domu, wyjmiesz to sobie - pokażę ci jak - i zaszyjesz z powrotem. Albo zamówisz sobie u dealera nową kanapę, jak wolisz.

- Widzę, że nie mam innego wyjścia. ile czasu będziesz na to potrzebował?

- Cały dzień zejdzie. Przyjedźcie jutro z rana do mojego garażu i na wieczór będzie gotowe. Tylko te swoje pamiątki powkładaj pojedynczo w woreczki foliowe, będzie mi

łatwiej to upakować. - Roześmiał się.

- Znaczy się, załatwione - powiedział Wojtek. - To napijmy się za powodzenie tej operacji. Prosit!

Zjedli po porcji pieczonej kaczki, która była znakomita, ale nie zrobiła na Rolfe takiego wrażenia jak schabowe w knajpie pod Kutnem.

- My, Bawarczycy, najbardziej lubimy świninę - powiedział. - Ale poza tym bardzo smaczna.

* * *

Chudy stanął na wysokości zadania. Gdy przyjechali do jego garażu odebrać electrę, wszystko było zrobione tak, jak obiecywał. Wojtek z Rolfem oglądali kanapę ze wszystkich stron, ugniatali wykonane z twardej gąbki siedzisko w różnych miejscach, ale niczego nie mogli zauważyć ani wyczuć. Rolf usiadł na siedzeniu, pobujał się na nim przez chwilę, zsiadł i jeszcze raz spojrzął na kanapę od spodu.

- Perfekcyjnie to wykonałeś, nic nie widać. Jest super!

Chudy tylko się uśmiechnął z zadowoleniem.

- Tak jak mówiłem, wszystko będzie dobrze i nikt nic nie zauważy. Na pewno. A co robiliście przez cały dzień? - zapytał.

- Jeździliśmy po Warszawie, bardzo mi się podobało. Najbardziej Łazienki i Wilanów. Dobrze mówię, Wojtek?

- Mówisz bardzo dobrze, Rolf. Po tych paru dniach z nami doskonale ci idzie, masz talent. - Zaśmiał się.

- Ta lektorka to samo mi powtarzała, ale myślałem, że trochę przesadza. Ale to nieważne. Chciałem z wami porozmawiać o czym innym i nie wiem, jak zacząć...

- Wal śmiało, najlepiej od początku.

- Dobrze. - Uśmiechnął się, patrząc na Wojtkę. - Powiem to po niemiecku, bo to za trudne na polski. bardzo mi pomogliście i jestem waszym dłużnikiem. Nie wiem, jak mam się za to odwdziaczyć.

- Daj spokój, Rolf, zrobiliśmy to, bo chcieliśmy ci pomóc i przeżyć przygodę, na nic nie liczyliśmy, wszystko jest OK.

- Wiedziałem, że tak powiesz, i dlatego to dla mnie takie trudne. Planowałem na początku zapłacić wam za pomoc - jestem, jak wiecie, zamożny. Ale chyba zrozumiałem, że staliśmy się przyjaciółmi i że mogłoby to was urazić. Polacy są bardzo wrażliwi na tym punkcie, prawda?

- Tak, to prawda i dobrze, że tego nie zrobiłeś. Nie wzięlibyśmy od ciebie pieniędzy,

tak się u nas nie robi, musisz to zrozumieć.

- Już to zrozumiałem i dlatego mam dla was inną propozycję. Przyjedźcie do mnie w przyszłym roku na wiosnę. Tylko załatwcie sobie długi urlop, minimum trzy miesiące albo dłużej. Dam wam pracę w mojej firmie, ale dobrą pracę, nie taką, jaką mieliście w Amsterdamie. Zarobicie więcej niż w Polsce przez pięć lat. Co wy na to?

- Na to możemy się zgodzić, to wspaniała propozycja i z chęcią do ciebie przyjedziemy. Prawda, Chudy?

* * *

Z samego rana zajechali pod hotel Victoria. Mieli tam spotkać Rolfę, żeby odprowadzić go za granicę Warszawy. Czekał już na nich, gotowy do drogi. Pojechali z nim aż do Łowicza i tam się rozstali. Uściskali się na pożegnanie i patrzyli za nim długo, aż zniknął im z oczu. A za dwa tygodnie przyszła do Wojtka pocztówka z Monachium. Na odwrocie ktoś skreślił zamasztyrzym pismem: „Wszystko się udało, czekam na was wiosną, napiszcie przed przyjazdem. Pozdrowienia. Rolf”.

Rozdział 26

Podróż powrotna minęła mu bez niespodzianek. Nie musiał zwalniać, czekając na wuelki, i szybko dojechał do polskiej granicy.

Przedstawienie wokół jego electry tym razem zakończyło się nieco szybciej i tak jak poprzednio polska służba celna nie wykazała żadnego zainteresowania jego bagażem. Pomachali mu życzliwie na pożegnanie i po chwili był już po drugiej stronie Odry.

Do NRD wjechał trochę spięty, ale celnicy zerknęli tylko w jego paszport i kazali mu jechać dalej. To go uspokoiło i poczuł się dużo lepiej.

Stara betonowa autostrada, pamiętająca jeszcze czasy, o których nieraz chciał zapomnieć, była prawie pusta. Mógł jechać znacznie szybciej i tuż przed osiemnastą, po równie zdawkowej kontroli wyjazdowej, wjechał wreszcie w ogrodzoną kolczastym drutem aleję, prowadzącą do posterunku RFN. A tam nikt już niczego nie zamierzał sprawdzać i Rolf z ulgą odetchnął. Całe napięcie związane z podróżą, a zwłaszcza ze świadomością nielegalnie przewożonych w kanapie harleya szczątków jego nogi, opuściło go w jednej chwili.

Nagle dotarło do niego, że sprawa, która leżała mu na sercu od trzydziestu lat, została wreszcie zamknięta.

Już dawno nie czuł się tak dobrze, mimo zmęczenia odczuwanego po kilkunastu godzinach jazdy.

Z kafeterii na przejściu granicznym, do której wstąpił, żeby coś zjeść, zadzwonił do Katrin. Odezwała się natychmiast.

- Rolf, gdzie jesteś? Denerwowałam się.

- Wszystko się udało, Katrin, mam to! Jestem już w RFN, jadę do domu i jutro się zobaczymy - powiedział z wyczuwalną w głosie radością.

Jechał szybko, zatrzymując się tylko dwukrotnie na tankowanie, i przed garażem swojej willi pod Monachium pojawił się tuż przed północą. Wstawił harleya do środka, na jego miejsce, i poklepał go z czułością po skórzanej kanapie.

- Śpij dobrze, zajmę się tobą jutro - powiedział i poszedł do domu.

Spał jak zabity przez dwanaście godzin. Kiedy się wreszcie zbudził, wstał, podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do Katrin.

- Zaraz będę - powiedziała krótko.

Po godzinie jej czarnopomarańczowy sportster wjechał na podjazd i zatrzymał się na gościnnym parkingu. Rolf czekał na nią w otwartych drzwiach, gdy wbiegała po szerokich,

kamiennych schodach, śmiejąc się do niego z daleka. Wziął ją w ramiona i trzymał w uścisku przez długą chwilę. A potem spojrzął na nią tak, jak jeszcze nigdy nie patrzył na żadną kobietę, i powiedział:

- bardzo za tobą tęskniłem i chcę ci koniecznie coś powiedzieć.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Właśnie teraz?

- Tak, teraz. Pamiętasz, jak się poznaliśmy i powiedziałem ci, że nie szukam stałego związku z kobietą?

- Oczywiście, że pamiętam. Czy coś się stało?

- Nic, ale muszę ci się do czegoś przyznać. Skłamałem wtedy...

** *

Cały dzień spędzili ze sobą. Musiał jej o wszystkim opowiadać po kilka razy, a Katrin słuchała go z zapartym tchem i wyraźnie poruszona dramaturgią opisywanych przez niego wydarzeń zadawała kolejne pytania.

Zamówili chińskie jedzenie, popijali je szampanem i doskonale się bawili. Potem chciała koniecznie zobaczyć jego „pamiątki” przywiezione z Pisy, więc poszli do garażu i tam opowiedział jej o tym, jak Chudy doradzał mu przeszmugłować je jako doggy bags. Śmiali się razem z tej historii, a ona z ciekawością oglądała kanapę harleya, nie mogąc uwierzyć, że wewnątrz są pozostałości jego nogi.

A potem zrobiło się późno i po raz drugi zgodziła się zostać u niego na noc.

** *

Od tego dnia już często u niego nocowała. Zaczęli spędzać ze sobą coraz więcej czasu i niechętnie się rozstawali.

Gdy była zajęta pracą w klubie, Rolf wszystkie wolne chwile spędzał w małym pomieszczeniu obok garażu, w którym miał urządzone niewielki, ale doskonale wyposażony warsztat. Przesiadywał tam godzinami przy dobrze oświetlonym stole i dłubał coś zapamiętałe, oglądając efekty swojej pracy przez duże, ustawione na specjalnym stojaku, szkło powiększające.

Wreszcie, po paru tygodniach, gdy Katrin jak zwykle wieczorem po pracy do niego przyszła, powiedział do niej:

- Chciałem ci coś pokazać.

Spojrzała na niego, zaskoczona trochę poważnym tonem w jego głosie.

- Teraz? - zapytała.

- Tak, właśnie teraz. Chodź ze mną, zobaczysz coś ciekawego.

Poprowadził ją do garażu, a stamtąd przez swój warsztat do niedużego pomieszczenia bez okien, z którego prowadziły w dół szerokie, ale dosyć strome schody. Ruszył pierwszy, prowadząc ją za rękę. Na dole otworzył jeszcze jedne drzwi - metalowe, dobrze okute i zaopatrzone w solidne zamki - wszedł do środka i zapalił światło.

Katrin stanęła w progu jak wryta.

Na drewnianych stojakach stały ustawione rzędami karabiny i pistolety maszynowe różnego rodzaju, a tuż za nimi, na specjalnych wieszakach widać było pokaźną kolekcję chorągwi i insygniów wojskowych. Całe ściany wyklejono plakatami propagandowymi, z dominującym na nich dobrze znanym motywem czarnej swastyki w białym polu. W szafach wzdłuż ścian rzędami wisiały mundury rozmaitych formacji wojskowych, a na półkach oszklonych witryn pełno było różnych przedmiotów, których przeznaczenia nie znała. Popatrzyła na niego zdumiona, nie wiedząc, jak zareagować.

- Ładne muzeum tu sobie urządziłeś, Rolfe von Dornhoff - powiedziała w końcu z dziwnym uśmiechem.

- To nie jest muzeum, Katrin. To jest pamiątka pewnych strasznych czasów, które przeżyłem, i która ma mi przypominać to, do czego może być zdolny nasz naród, gdy ulegnie manipulacjom szaleńca. Chciałbym, żebyś to dobrze zrozumiała. Nie trzymam tego, żeby się tym szczycić. Ma to być przestrożą, a nie próbą gloryfikacji.

- No już dobrze, rozumiałam. Ale przyznasz chyba, że to dosyć szokujące zbiory?

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Dlatego nikomu nigdy ich nie pokazuję. Jesteś jedną z nielicznych osób, które tutaj przyprowadziłem, mając nadzieję, że zrozumieją to właściwie, i cieszę się, że tak się stało. Ale nie to chciałem ci pokazać.

Wziął ją za rękę, poprowadził w kierunku bocznej ściany i zatrzymał się przed oszkloną gablotą, w której wisiał polowy, zakurzony i mocno zniszczony mundur oficera SS.

Porwany rękaw i wyraźne, ciemne brunatne plamy na piersi wskazywały na tragiczne przejścia jego właściciela. brak było prawej nogawki, tylko jakieś pobrudzone strzępy zwiślały tam, gdzie powinno znajdować się kolano.

Ale to nie mundur przykuł uwagę Katrin.

Na półce, tuż pod nim, pod przezroczystym, prostopadłościennym kloszem, wsparte na podstawce wykonanej z wypolerowanego, zręcznie powyginanego drutu, leżały szczątki ludzkiej nogi.

Ładnie spreparowane, precyzyjnie połączone ze sobą cienkimi, srebrzystymi drucikami kości śródstopia i stawu skokowego wyglądały tak jak podobne eksponaty widywane wielokrotnie przez Rolfa w instytucie Ortopedii w Zurychu.

A na niewielkiej, wypolerowanej, metalowej plakietce, przymocowanej do podstawki wygrawerowany był napis: „Noga Rolfa von Dornhoff. Opuściła właściciela w lipcu 1942 roku. Przeleżała 32 lata w Polsce, nad rzeką Pisą. Powróciła do niego we wrześniu, 1974 roku”.

* * *

Katrin ze zdumieniem patrzyła na ten niezwykły relikwiarz przez długą chwilę. A potem uśmiechnęła się, wzięła Rolfa za rękę i pociągnęła go w kierunku wyjścia.

- Chodźmy już, Rolfe von Dornhoff, mam ochotę się czegoś napić. Chyba oboje na to zasłużyliśmy...

KONIEC

Krzysztof Więckiewicz Józefów, czerwiec - wrzesień 2012